

JACK HIGGINS



**NAPIJ SIĘ
Z DIABŁEM**



Paramilitarna grupa irlandzkich protestantów dowodzona przez Michaela Ryana dokonuje zuchwałego napadu na transport złota wartości stu milionów funtów. W trakcie przewożenia łupu barka „Irish Rose” wraz z bezcennym ładunkiem idzie na dno. Dziesięć lat później terroryści podejmują próbę odzyskania złota, by z jego pomocą sfinansować wojnę domową w Irlandii. Były zawodowy zabójca Sean Dillon – obecnie na usługach brytyjskiego wywiadu – otrzymuje rozkaz, by ich powstrzymać. Tylko dwoje ludzi wie, gdzie leży zatopiona barka. Jednym z nich jest Ryan, drugim – Martin Keogh, którego prawdziwa tożsamość od lat pozostaje tajemnicą...

ISBN 83-7186-084-6



9 788371 860843

JACK HIGGINS uchodzi za najpopularniejszego brytyjskiego twórcę literatury sensacyjno-przygodowej. Jego powieści ukazują się w prawie 30 językach świata, a ich łączny nakład przekroczył 150 milionów egzemplarzy. Naprawdę nazywa się Harry Patterson. W początkach kariery pisarskiej używał wielu pseudonimów literackich, m.in. James Graham, Hugh Marlowe, Martin Fallon. Sławę przyniosła mu powieść „Orzeł wylądował” (1975) wydana pod pseudonimem Jack Higgins, przy którym pozostał. Napisał ponad pięćdziesiąt książek. Najbardziej znane to „Konfesjonał” (1985), „Noc Lisa” (1986), „Orzeł odleciał” (1991), „Oko cyklonu” (1992), „Skała Wichrów” (1993), „Saba” (1994), „Anioł Śmierci” (1995), „Córka prezydenta” (1997) i „Lot orłów” (1998). Najnowszy właśnie opublikowany bestseller nosi tytuł „Agent w Białym Domu” (*The White House Connection*, 1999), a w 2000 roku ukaże się „Odwet” (*Day of Reckoning*). Książki Higginsa doczekały się licznych ekranizacji. Należą do nich filmy pełnometrażowe „Modlitwa za konających” (z Mickeyem Rourke) i „Orzeł wylądował” (z Donaldem Sutherlandem) oraz kilkugodzinne seriale telewizyjne zrealizowane na podstawie „Konfesjonału”, „Nocy Lisa”, „Cold Harbour” i innych powieści.

Wychowany w Irlandii Północnej autor ukończył socjologię i psychologię społeczną na London University. Przez kilka lat pracował jako nauczyciel, następnie poświęcił się całkowicie twórczości literackiej. Obecnie mieszka na wyspie Jersey.

JACK HIGGINS

w Wydawnictwie PRIMA

W sprzedaży

GRA DLA BOHATERÓW
WSTĄPIĆ DO PIEKŁA
KONFESJONAŁ
EXOCET
SOLO
CZAS ZEMSTY
CICHY WIATR OD MORZA
KLUCZE DO PIEKIEŁ
MODLITWA ZA KONAJĄCYCH
NOC LISA
NOCNA AKCJA NA SINOS
ZAPŁAĆ DIABŁU
OKO CYKLONU
SABA
ANIOŁ ŚMIERCI
NAPIJ SIĘ Z DIABŁEM
CÓRKA PREZYDENTA
LOT ORLÓW
DOTKNIJ DIABŁA

W przygotowaniu

AGENT W BIAŁYM DOMU
ODWET

JACK HIGGINS

NAPIJ SIĘ Z DIABŁEM

Przełożył
MICHAŁ WROCZYŃSKI



WARSZAWA 1999

Tytuł oryginału:
DRINK WITH THE DEVIL

Copyright © 1996 by Higgins Associates Limited

Copyright © for the Polish edition by PRIMA 1996

Copyright © for the Polish translation by Michał Wroczyński 1996

Cover illustration © Kevin Tweddell/Artists Partners 1996

Redakcja: Anna Calikowska

Opracowanie graficzne: Andrzej Kuryłowicz

Redakcja techniczna: Janusz Festur

ISBN 83-7186-084-6

PRIMA Oficyna Wydawnicza sp. z o.o.

Świętokrzyska 30/52, 00-116 Warszawa

Adres do korespondencji: skr. poczt. 55, 02-792 Warszawa 78

tel./fax 652-0009

E-mail: wydawnictwo@prima.waw.pl

Dystrybucja:

Internovator, Zwrotnicza 1/3, 01-219 Warszawa

tel. (22)-632-2381, (22)-862-7011, 0-501-060-891

Sprzedaż wysyłkowa dla odbiorców indywidualnych:

Księgarnia Wysyłkowa Faktor, skr. poczt. 60, 02-792 Warszawa 78

tel. (22)-649-5599

Warszawa 1999. Wydanie II

Objętość: 14 ark. wyd., 17 ark. druk.

Skład: Zakład Poligraficzny „Kolonel”

Druk: Abedik, Poznań

Denise
— *najlepszej z dziewczyn*

BELFAST

1985

1

Kiedy skręcał za róg w zacinającym od Belfast Lough deszczu, z pogrążonego w mroku miasta dobiegł grzechot broni ręcznej, a po chwili głuchy odgłos eksplozji. On jednak bez wahania ruszył przez plac; drobny mężczyzna mający niewiele ponad sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, ubrany w dżinsy, dwurzędową kurtkę i czapkę z daszkiem. Na ramieniu dźwigał brezentową torbę żeglarską.

Na szyldzie widniał wprawdzie dumny napis „Hotel Albert”, lecz tak naprawdę była to zwykła noclegownia, z jakich korzystają marynarze. Ot, trzy połączone ze sobą wiktoriańskie budynki z tarasami. Frontowe drzwi stały otworem. Wyjrzał z nich niski łysiejący mężczyzna z gazetą w ręku.

Z oddali dobiegł huk kolejnej eksplozji.

— Jezu! — stwierdził. — Dzisiejszej nocy chłopaki są wyjątkowo aktywni.

Niski przybysz zatrzymał się u dołu schodków prowadzących do noclegowni.

— Dzwoniłem wcześniej w sprawie pokoju. Nazywam się Keogh — powiedział.

Jego nienaganna angielszczyzna była zabarwiona leciutkim charakterystycznym akcentem belfastskim.

— A, tak... pan Keogh. Prosto ze statku, prawda?

— Coś w tym rodzaju.

— Cóż, niech pan schroni się pod dach, a ja wszystko przygotowuję.

W tej samej chwili zza rogu wyłoniły się dwa land rovery ze spuszczoneymi dachami. W każdym za kierowcą przycupnęło po trzech spadochroniarzy, twardych, młodych ludzi w czerwonych beretach i kamizelkach kuloodpornych. Wszyscy uzbrojeni byli w pistolety maszynowe. Samochody przemknęły obok noclegowni, po czym natychmiast zniknęły w deszczu i mroku po drugiej stronie placu.

— Jezu! — powtórzył stary człowiek i wszedł do środka. Keogh ruszył za nim.

Hotelik był bardziej niż skromny. W kwadratowym holu stała lada recepcyjna, a na piętro wiodły wąskie schody. Biała niegdyś farba na suficie zżółkła przez lata, tapety na ścianach pomarszczyły się, a gdzieś tam widniały na nich plamy wilgoci.

Właściciel hoteliku pchnął w przez ladę w stronę Keogha księgę meldunkową.

— Takie są przepisy RUC *. Adres domowy, następny port, do którego się pan udaje... wszystko.

— Jak dla mnie, wystarczy.

Keogh szybko wypełnił stosowne rubryki i oddał księgę recepcjoniście.

— Martin Keogh, Wapping w Londynie — przeczytał starzec. — Od lat już nie byłem w Londynie.

— Piękne miasto — stwierdził Keogh, wyciągnął paczkę papierosów i zapalił jednego.

Stary człowiek zdjął z tablicy klucz do pokoju.

— Przynajmniej nie widać tam włóczących się po ulicach, uzbrojonych po zęby skoczków. Przemierzać w taki deszcz odkrytymi samochodami ulice miasta... to jakieś szaleństwo! Jaki w tym cel? To samobójstwo, jakby mnie ktoś pytał.

— Wcale nie — odrzekł Keogh. — To stara sztuczka skoczków, której nauczyli się przed laty w Adenie. Wtedy chodzili parami, żeby się nawzajem pilnować, ale nie mieli takiej broni, by mogli natychmiast odpowiedzieć na atak.

* *Royal Ulster Constabulary* — Królewska Policja Ulsteru. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

— A skąd pan o tym wie?

Keogh wzruszył ramionami.

— To powszechnie znana rzecz, ojczulku. Mogę prosić o klucz?

Wtedy właśnie stary człowiek spostrzegł, że oczy przyby-sza nie mają żadnej konkretnej barwy, ale są to najzimniej-sze oczy, jakie widział. Z jakiegoś powodu recepcjonistę ogarnął strach. Ale w tej samej chwili Keogh się uśmiechnął i teraz wyglądał zupełnie inaczej. Sięgnął przez kontuar po klucz.

— Ktoś mi mówił, że w pobliżu znajduje się całkiem przyzwoita knajpka. „The Regent”?

— Zgadza się. Przetnie pan placyk i dojdzie do Lurgen Street. To obok starych doków.

— Trafie — odparł Keogh, odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę schodów.

Bez trudu znalazł pokój, otworzył go i przekroczył próg. Zamek w drzwiach najwyraźniej wielokrotnie wyłamywano, pokoi-k był maleńki i śmierdziało w nim wilgocią. Znajdowa-ło się tam pojedyncze łóżko, na ścianie wisiała szafka, a pod nią stało krzesło. W rogu stała miska do mycia. Toalety nie było. Nie było nawet telefonu. Ale przy odrobinie szczęścia miał w tym hotelu spędzić tylko jedną noc.

Rzucił na posłanie brezentową torbę i rozsunął zamek błyskawiczny. W środku znajdowała się saszetka z przybo-rami toaletowymi, koszule na zmianę, kilka książek. Wycią-gnął wszystkie przedmioty, podważył grube tekturowe dno i wydobył na światło dzienne pistolet marki Walther PPK, kilka zapasowych magazynków oraz nowy, niewielki tłumik Carswell. Sprawdził broń, zważył ją w dłoni, nakręcił na lufę tłumik i wsunął pistolet z tyłu na biodro, za pasek od dzinsów.

— „The Regent”, synu — mruknął i pogwizdując pod nosem jakąś smętną melodię, opuścił pokój.

Obok lady recepcyjnej stała budka telefoniczna ze staro-świeckim automatem. Keogh skinął głową staremu czło-wiekowi, wszedł do budki i dokładnie zamknął za sobą

drzwi. Wyrzubał z kieszeni kilka jednofuntowych monet i wykręcił numer.

Jack Barry był wysokim mężczyzną o ujmującej powierzchowności, a okulary w rogowej oprawce nadawały mu wygląd mola książkowego. Przypominał też trochę dyrektora szkoły, którym zresztą kiedyś był. Ale już nie teraz; teraz pełnił funkcję szefa sztabu Tymczasowej IRA. Gdy odezwał się spoczywający pod jego ręką przenośny telefon, siedział właśnie przed kominkiem w swym mieszkaniu w Dublinie i czytał gazetę.

Sięgnął po słuchawkę i w tej samej chwili usłyszał wołanie swojej żony, Jean:

— Tylko długo nie rozmawiaj! Kolacja już prawie gotowa.

— Tu Barry — powiedział do telefonu.

— To ja — odezwał się po drugiej stronie po irlandzku Keogh. — Zatrzymałem się w hotelu „Albert” jako Martin Keogh. Teraz kolej na spotkanie z dziewczyną.

— To trudne?

— Nie. Wszystko już zorganizowałem. Zaufaj mi. Idę właśnie do tej knajpy „The Regent”. Należy do jej stryja.

— Doskonale. Informuj mnie o wszystkim. Ale dzwoń tylko pod numer przenośnego telefonu.

Wyłączył słuchawkę. Ponownie dobiegło go wołanie żony:

— Chodź do stołu. Kolacja stygnie.

Wstał i posłusznie ruszył da kuchni.

Do „The Regent” trafił bez trudu. Jedno z okien było zabite deskami. Szyba wyleciała zapewne podczas którejś eksplozji. Drugie okno pozostało nietknięte i Keogh widział przez nie całe wnętrze lokalu. Poza trzema starcami przy stoliku i siedzącą nie opodal nich zaniedbaną kobietą w średnim wieku, sprawiającą wrażenie prostytutki, w barze nie było innych klientów.

Za kasą rozparła się szesnastoletnia dziewczyna; znał jej

wiek, bo wiedział o niej wszystko. Nazywała się Kathleen Ryan i pod nieobecność stryja, Michaela Ryana, protestanta, który od najmłodszych lat walczył z bronią w rękę, pilnowała interesu. Była drobną, właściwie brzydką dziewczyną o czarnych włosach i gniewnych oczach osadzonych nad wydatnymi kośćmi policzkowymi. Miała na sobie ciemną bluzę, minispódniczkę z denimu i buty do połowy łydek. Kiedy Keogh przekroczył próg, siedziała na taborecie i czytała książkę.

— Ciekawa? — zapytał, pochylając się nad barem.

Dziewczyna spokojnie podniosła na niego wzrok. Miała spojrzenie kogoś znacznie starszego; na pewno nie szesnastolatki.

— Bardzo ciekawa. *The Midnight Court*.

— Ale to chyba po irlandzku!

Keogh sięgnął po książkę i zerknął na okładkę. Nie mylił się.

— A dlaczego miałyby nie być po irlandzku? Sądzi pan, że protestant nie powinien czytać w tym języku? Dlaczego nie? To również nasz kraj, proszę pana, i jeśli należy pan do Sinn Fein czy do którejś z innych idiotycznych organizacji tego typu, prosiłabym, żeby poszedł pan sobie gdzieś indziej. Niechętnie gościmy tu katolików. Od podłożonej na ulicy przez IRA bomby zginęli mój ojciec, matka i malutka siostrzyczka.

— Boże drogi, dziewczyno! — Keogh obronnym gestem uniośł ręce. — Jestem marynarzem z Belfastu i wpadłem tu tylko na filiżankę herbaty.

— Jeśli dobrze słyszę, pan wcale nie mówi jak ktoś z Belfastu. Powiedziałabym, że jest pan Anglikiem.

— A to dlatego, że gdy byłem jeszcze chłopcem, ojciec wywiózł mnie do Londynu.

Przez chwilę spoglądała na niego nachmurzona, po czym wzruszyła ramionami.

— W porządku — rzekła, a potem zawołała: — Mary, podaj jedną herbatę. — Znów zwróciła się do Keogha. — Na ciepło nic już pan nie dostanie. Niebawem zamykamy.

— Wystarczy mi herbata.

W chwilę później pojawiła się z filiżanką herbaty

siwowłosa kobieta przepasana fartuchem. Postawiła naczynie na kontuarze.

— Tam ma pan cukier i mleko. Proszę obsłużyć się samemu.

Keogh zastosował się do polecenia kobiety i pchnął w jej stronę funta. Mary wydała resztę, a dziewczyna, kompletnie go ignorując, zamknęła książkę, po czym wstała z taboretu.

— Mary, idę. Jutro ja popracuję dłużej, a ty wyjdiesz wcześniej — oświadczyła i zniknęła na zapleczu.

Keogh przeniósł się z herbatą do stojącego przy drzwiach stolika, usiadł i zapalił papierosa. W pięć minut później Kathleen Ryan pojawiła się w sali, lecz tym razem ubrana już w beret i podniszczony przeciwdeszczowy prochowiec. Minęła Martina, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem. Keogh jeszcze przez chwilę pił herbatę, a potem wstał i również wyszedł.

Rozpadało się jeszcze bardziej, więc Kathleen, kiedy skręciła na nabrzeże, nisko pochyliła głowę i przyspieszyła kroku. Gdy znalazła się w jasnym kręgu światła rzucanego przez uliczną latarnię, dostrzegło ją trzech młodziaków stojących w otwartych wrotach jednego z nieczynnych magazynów. Byli klasycznymi typami, jakich spotyka się we wszystkich miastach na świecie. Złośliwe, młode zwierzaki w dżinsach i skórzanych kurtkach z licznymi suwakami.

— Pat, to ona — odezwał się jeden z nich, chłopak w baseballowej czapce. — To ona, to ta dziwka Ryan z knajpy.

— Przecież widzę, kretynie — odparł ten o imieniu Pat. — Nie ruszajcie się. Dorwiemy ją, jak będzie nas mijać.

Kathleen Ryan była całkiem nieświadoma obecności stojących w głębokim cieniu chłopaków. Zaalarmował ją dopiero szybki stukot butów, ale wtedy było już na wszystko za późno. Czyjeś ramię chwyciło ją od tyłu za szyję tak, że dziewczyna zaczęła się dławić.

Staął przed nią Pat, wsunął jej palec pod brodę i uniósł głowę Kathleen.

— No tak, co my tu mamy? Malutką dziwkę, proda*. Nazywasz się Ryan, prawda?

Wierzgnęła nogą do tyłu, trafiając tego w baseballowej czapce w łydkę.

— Taig**. Zostaw mnie, ty skurwysynu.

— To za taiga-skurwysyna — odparł spokojnie Pat i wyrznął Kathleen w twarz. — Jesteśmy przyzwoitymi, katolickimi chłopakami! Wciągnijcie ją w tę alejkę. Najwyższy czas, żeby ktoś nauczył ją dobrych manier.

Nie wołała o pomoc, bo nie leżało to w jej naturze. Wrzasnęła tylko z wściekłości i wbiła zęby w dłoń zatykając jej usta.

— Kurwa! — wrzasnął Baseballowa Czapka, grzotną dziewczynę w plecy i powłókł ją wąskim, zalewanym deszczem przejściem.

Pod staroświecką gazową latarnią piętrzył się stos kartonów. Dwóch napastników pchnęło walczącą dziewczynę twarzą na któreś pudło, a Pat podszedł do niej i zadarł jej od tyłu spódniczkę.

— Czas na naukę — oświadczył.

— Tak, ale dla was! — rozległ się czyjś głos.

Pat odwrócił się i ujrzał zbliżającego się alejką Martina Keogha, który trzymał ręce w kieszeniach dwurzędowej kurtki.

— Zostawcie ją. Nie wiedziała, że tu jesteście.

— Spadaj, mikrusie — warknął ten w baseballowej czapce, puścił dziewczynę i próbował zadać Keoghowi cios.

Martin złapał go za nadgarstek, wykręcił mu rękę i z całych sił pchnął twarzą na mur.

— Ty skurwielu! — wrzasnął trzeci napastnik i ruszył na Keogha.

Keogh wyrwał z kieszeni lewą dłoń uzbrojoną w walthera i uderzył młodziaka lufą przez twarz. Rozdarł mu skórę na policzku od lewego oka do kącika ust.

* *Proda* — irlandzkie slangowe obraźliwe określenie protestanta.

** *Taig* — irlandzkie slangowe obraźliwe określenie katolika.

Uniósł pistolet i wypalił w powietrze. Monotonny szum deszczu zmąciło charakterystyczne kasznięcie pistoletu z tłumikiem.

Baseballowa Czapka klęczał na ziemi, drugi chłopak trzymał dłoń przyciśniętą do policzka, a spomiędzy jego palców ciekła krew. Pat stał bez ruchu z poczerwieniałą z wściekłości twarzą.

— Ty chamska świnió!

— Już mówiłem — Keogh przytknął mu między oczy wylot tłumika walthera. — Jeszcze słowo, a cię zabiję.

Młodziak skamieniał. Kathleen Ryan obciągnęła spodniczkę.

— Wracaj do baru, mała — powiedział Keogh. — Zaraz tam przyjdę.

Dziewczyna wahała się chwilę, a następnie odwróciła się na pięcie i pobiegła przesmykiem między magazynami.

Przez chwilę słychać było tylko jednostajny plusk wody i jęki poszkodowanych.

— Co jest, kurwa? — krzyknął ze złością Pat. — Robiliście dokładnie to, co nam kazałeś!

— Wcale nie — odwar knął Keogh. — Kazałem wam tylko trochę nastraszyć dziewczynę, ja miałem ją wybawić z opresji. — Wyciągnął papierosa i zapalił. — A wy co? Zbiorowy gwałt?

— To tylko gówniara, na dodatek prod. Kogo ona obchodzi?

— Mnie — odparł Keogh. — Też jestem katolikiem. Psujecie nam opinię.

Pat zaatakował. Keogh odsunął się na bok, podciął mu nogi prawą stopą i bardzo mocno przygniół przeciwnikowi kolanem kręgosłup. Pat leżał na mokrej ziemi i jęczał.

— To ty potrzebujesz lekcji, synu — stwierdził Keogh.

Wbił muszkę walthera młodziakowi w udo i nacisnął spust. Rozległ się głuchy dźwięk, a Pat wrzasnął z bólu.

Keogh się wyprostował.

— Uszkodziłem tylko mięśnie. Mogłem przestrzelić ci rzepekę.

— Niech cię szlag trafi! — jęknął z płaczem Pat.

— Zgodnie z umową — powiedział Keogh, wyciągnął z kieszeni kopertę i rzucił ją na ziemię. — Pięćset funciaków, na tyle się umówiliśmy. A teraz wynoś się na ostry dyżur do szpitala Royal Victoria. Mają tam duże doświadczenie w opatrywaniu ran postrzałowych.

Keogh, zostawiwszy chłopaków na deszczu, oddalił się pogwizdując pod nosem tę samą dziwną melodię.

Wrócił do knajpki. Gości już nie było, a za barem stały Kathleen Ryan i kobieta o imieniu Mary. Dziewczyna rozmawiała przez telefon. Keogh pchnął drzwi, ale okazało się, że są zamknięte od środka. Kathleen Ryan odwróciła się, po czym skinęła na Mary, która wyszła zza kontuaru i przekreśliła klucz.

— Powiedziała mi, ile panu zawdzięcza — odezwała się starsza kobieta, gdy Keogh już wszedł. — Niech pana Bóg błogosławi.

Keogh usiadł na skraju stolika i zapalił papierosa. Dziewczyna ciągle rozmawiała przez telefon.

— Nie. Nic mi się nie stało. Będę w „Drum” za dwadzieścia minut. Nie ma powodów do niepokoju. — Odłożyła słuchawkę i popatrzyła na Keogha. Twarz miała spokojną. — Rozmawiałam ze stryjem Michaeliem. Bardzo się o mnie niepokoi.

— Dziwisz się? — zapytał Keogh. — Żyjemy w dzikich czasach.

— Nie bierze pan jeńców, prawda?

— Nie widzę sensu.

— I nosi pan ze sobą tę zabawkę. Z tego, co się zorientowałam, walther?

— Posiadasz zadziwiającą wiedzę jak na panienkę w twoim wieku.

— O, znam się na broni, proszę pana. Wychowałam się z nią. Co pan zrobił po moim odejściu?

— Posłałem ich własną drogą.

— Poklepał pan ich po głowach i odesłał do domu?

— Nie, na najbliższy ostry dyżur. Potrzebowali surowej

lekcji. I dostali ją. Jeśli ma cię to pocieszyć, to ich prowodyr przez jakiś czas pochodzi o kulach.

Zmrużyła swe ciemne oczy.

— W co pan gra?

— W nic nie gram. Nie podoba mi się tylko to, co się dzieje, to wszystko. — Wstał i zgniótł niedopałek. — No dobrze, skoro już się przekonałem, że nic ci nie jest, ruszam dalej.

— Nie, niech pan zaczeka — powiedziała szybko, kiedy otwierał drzwi, a potem dodała: — Czy mógłby mnie pan odprowadzić do pubu mego stryja? Lokal nazywa się „Orange Drum” i znajduje się na Connor's Wharf. To niecałe pół kilometra stąd. Jestem Kathleen Ryan. A jak się pan nazywa?

— Martin Keogh.

— Proszę poczekać na mnie przed barem.

Keogh wychodząc przed pub dostrzegł, że dziewczyna znów podchodzi do telefonu. Zapewne jeszcze raz dzwoni do stryja — pomyślał. Niebawem Kathleen dołączyła do niego, tym razem miała ze sobą duży parasol.

Kiedy go rozłożyła w lejącym się z nieba deszczu, Keogh zapytał:

— Nie byłoby bezpieczniej taksówką?

— Lubię miasto nocą — odparła dziewczyna. — Lubię deszcz. Mam prawo żyć tak, jak mi się podoba, i mam gdzieś tych łobuzów fenian*.

— To kwestia zapatrywań — odparł i ruszyli przed siebie.

— Proszę, niech się pan schowa — powiedziała, biorąc go pod rękę i wciągając pod parasol. — Mówił pan, że jest pan marynarzem.

— Załedwie od kilku lat.

— Wychowany w Londynie i noszący przy sobie walthera marynarz z Belfastu.

Zabrzmiało to jak pytanie.

* *Fenian Brotherhood* — tajna organizacja irlandzka powołana do życia w roku 1858 w Stanach Zjednoczonych w celu obalenia władzy angielskiej w Irlandii.

— Dziś wieczorem przekonałaś się na własnej skórze, że to stare miasto bywa niebezpieczne.

— To dla pana jest niebezpieczne, dlatego nosi pan broń. — Zmarszczyła brwi. — Nie należy pan do fenian, bo nie zrobiłby pan tego, co pan zrobił.

— Dziewczyno miła, do nikogo nie należę.

Zamilkł i zajął się zapalaniem papierosa.

— Mógłby pan mnie poczęstować? — przerwała milczenie.

— Nie, bo jesteś za młoda i masz przed sobą jeszcze wiele lat życia. Boże, Kate, ale jesteś ciekawska i zadajesz dużo pytań.

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem.

— Dlaczego pan mnie tak nazwał? Nikt tak do mnie nie mówi.

— Och, moim zdaniem Kate pasuje.

Szli nabrzeżem. W przystani stał zacumowany kontenerowiec, a dalej błyskały czerwone i zielone światła wychodzącego w morze frachtowca.

— A zatem pistolet — wróciła do tematu Kathleen Ryan. — Po co pan go nosi?

— Jezu Chryste, ale jesteś namolna. Kiedyś, dawno temu, służyłem w wojsku. Trzy razy stacjonowałem w tym mieście i wiem, że zawsze może trafić się ktoś, kto żywi do mnie złość, a na dodatek jest pamiętliwy.

— W której brygadzie?

— W Pierwszej Spadochronowej.

— Chyba nie chce mi pan powiedzieć, że podczas Krwawej Niedzieli był pan w Londonderry?

— Dokładnie tak. Mówiłem już, że to dawne dzieje.

Mocniej zacisnęła dłoń na jego łokciu.

— Boże, wasi chłopcy zdrowo wtedy przypiekli fenianom tyłki. Ilu pan zabił? Trzynastu?

Po drugiej stronie wyłożonej brukiem przystani pojawiły się światła pubu.

— Ile masz lat? — odparł pytaniem Keogh.

— Szesnaście.

— Jesteś taka młoda, a już tyle w tobie nienawiści.

— Mówiłam, IRA zabiła mego ojca, matkę i małą siostrzyczkę. Został mi tylko stryj Michael.

Wymalowany na ceglanym murze napis głosił: „The Orange Drum”. Obok widniało hasło: „To również nasz kraj”.

Dziewczyna złożyła parasol, pchnęła drzwi i pierwsza weszła do lokalu.

Był to typowy belfastski pub z kilkoma łozami, kilkoma stolikami i krzesłami oraz długim, mahoniowym szynkwasem. Przy wyłożonej wielkim lustrem ścianie stały półki z butelkami pełnymi alkoholi wszystkich możliwych marek. W pomieszczeniu zasiadało sześciu gości, sami starzy mężczyźni. Czterech grało w karty przy płonącym kominu, a dwaj pozostali prowadzili półgłosem rozmowę. Sprawiający wrażenie twardziela młody człowiek z jedną tylko ręką siedział za barem i studiował *Belfast Telegraph*.

Na dźwięk otwieranych drzwi podniósł głowę i odłożył gazetę.

— Nic ci się nie stało, Kathleen? — zapytał. — Michael mówił, że spotkała cię paskudna przygoda.

— Nic mi nie jest, Ivor. Dzięki temu tu panu Keoghowi. Czy stryj Michael jest na zapleczu?

W tej samej chwili otworzyły się prowadzące na tyły lokalu drzwi i stanął w nich mężczyzna. Keogh rozpoznał go natychmiast, ponieważ Barry pokazał mu podczas odprawy w Dublinie jego zdjęcia. Michael Ryan, pięćdziesiąt pięć lat, żarliwy lojalista*, bojownik UVF** i Czerwonej Ręki Ulsteru***, najbardziej radykalnej ze wszystkich organizacji protestanckich, był człowiekiem, który w imię wyznawanych zasad niejednokrotnie już zabijał. Średniego wzrostu, miał przyprószone siwizną włosy, bardzo błękitne źrenice i niespożytą energię.

— To jest właśnie Martin Keogh — przedstawiła swego wybawcę Kathleen.

Ryan wyszedł zza baru z wyciągniętą ręką.

* Przeciwnik oderwania Irlandii Północnej od Wielkiej Brytanii.

** *Ulster Voluntary Force* — Ochotnicze Siły Ulsteru.

*** *Red Hand of Ulster*.

— Od dziś mam u pana wielki dług. Nigdy o nim nie zapomnę.

— Szczęśliwy zbieg okoliczności, że akurat tamtędy przechodziłem.

— Na to wygląda. Ale tak czy siak, jestem panu winien przynajmniej dużą wódkę.

— Chętnie kropnę sobie whiskey Bushmills — odparł z uśmiechem Keogh.

— Proszę tam. — Ryan wskazał jedną z łóż w rogu sali.

Dziewczyna zdjęła prochowiec i beret, po czym zajęła miejsce za stolikiem. Obok niej usiadł jej stryj, a Keogh naprzeciwko. Ivor przyniósł butelkę z trunkiem i dwie szklaneczki.

— Kathleen, co sobie życzysz? — zapytał.

— Nic, Ivor, dziękuję.

Najwyraźniej uwielbiał dziewczynę, ale skinał tylko głową i bez słowa się oddalił.

— Dzwoniłem właśnie do szpitala Royal Victoria — odezwał się Ryan. — Niedawno przyjęto tam trzech bardzo poturbowanych młodzieńców. Jednego z kulą w udzie.

— Naprawdę? — zdziwił się Keogh.

Kathleen Ryan rzuciła mu szybkie spojrzenie.

— Nic mi pan o tym nie wspomniał.

— Bo nie było takiej potrzeby.

— Zobaczmy, co pan nosi — odezwał się Ryan. — I proszę się niczego nie obawiać. Jest pan wśród przyjaciół.

Keogh wzruszył ramionami, wyciągnął z kieszeni walthera i podał go przez stół Ryanowi. Ten obrzucił broń bardzo fachowym spojrzeniem.

— Tłumik Carswell, najnowszy typ. Miła zabawka. — Wyciągnął z kolejki ze swej kieszeni browninga i przekazał go Keoghowi. — A ja najbardziej lubię tę.

— Należy do standardowego uzbrojenia SAS — mruknął Keogh, podnosząc i ważąc w dłoni broń. — Używa ich również brygada spadochronowa.

— On w niej służył — wyjaśniła dziewczyna. — Krwawa Niedziela.

— Naprawdę? — zainteresował się Michael.

— Dawne czasy. Ostatnio pływałem po morzach.

— Pochodzi pan z Belfastu, ale wychował się w Londynie? Tak twierdzi Kathleen.

— Matka umarła przy moim porodzie. Ojciec w poszukiwaniu pracy wyjechał do Londynu. Teraz i on już nie żyje.

Ryan wyjął z kolby walthera magazynek z nabojami.

— Jest pan również uczciwym prodem... Musi tak być, skoro stanął pan w obronie Kathleen.

— Szczerze mówiąc, religia nic mnie nie obchodzi — powiedział Keogh. — Ujmijmy to tak: wiem, po czyjej jestem stronie.

W tej samej chwili z impetem rozwarły się drzwi wejściowe i do pubu wtargnął mężczyzna w czapce z daszkiem, w przeciwdeszczowym płaszczu i z rewolwerem w rękę.

— Michael Ryan, ty skurwysynu! — ryknął, wznosząc broń. — Wreszcie cię dopadłem!

Ryan znalazł się w pułapce. Wyjęty magazynek z walthera leżał na stole obok rozbrojonego pistoletu.

— Mam go zastrzelić? — zapytał gwałtownie Keogh. — Doskonale. Trach, jesteś martwy!

Uniósł browninga i wypalił. Uzbrojony intruz łagodnie opuścił dłoń z rewolwerem.

— To ślepek, panie Ryan — poskarżył się Keogh. — Mogę to stwierdzić już po wadze broni. Proszę mi powiedzieć, w co gramy?

Ryan wybuchnął śmiechem.

— Joseph, kropnij sobie kielicha przy barze.

Niedoszły zabójca odwrócił się. Starcy kontynuowali grę, jakby nic się nie stało.

Michael Ryan podniósł się z krzesła.

— To była tylko próba, synu, jeśli tak to można określić. Chodźmy do salonu. Tam utniemy sobie pogawędkę.

W niewielkim salonie na zapleczu pubu na ruszcie kominka płonął ogień, a okno zasłaniała firanka, za którą w szyby bębnił deszcz. W pokoju było ciepło i przytulnie. Keogh i Ryan zajęli miejsca naprzeciwko siebie, a Kathleen przyniosła na tacy z kuchni dzbanek z herbatą, mleko i filiżanki.

— Każdy marynarz ma jakieś papiery — odezwał się Ryan.

— Naturalnie — powiedział Keogh.

Ryan wyciągnął rękę, a Martin wzruszył ramionami. Rozpiął dwurzędową kurtkę i z wewnętrznej kieszeni wyciągnął portfel.

— Proszę. Zaświadczenie ze statku, legitymacja związkowa, wszystko.

Dziewczyna nalewała herbatę, Ryan natomiast uważnie studiował każdy dokument.

— Wypłata sprzed dwóch tygodni na „Venturze”. Cieśla okrętowy i nurek. Co to znaczy?

— „Ventura” jest statkiem dostawczym obsługującym platformy wiertnicze na podmorskich polach naftowych na Morzu Północnym. Do moich obowiązków należało również nurkowanie. Nie głęboko. Ot tak, podwodne naprawy, trochę spawania, gdy zachodziła konieczność.

— Interesujące. Człowiek wielu talentów. A czy nabył pan jakichś szczególnych umiejętności w brygadzie spadochronowej?

— Nauczyłem się zabijać ludzi. Posiadłem ogólną umiejętność obchodzenia się z bronią. Znaczną znajomość materiałów wybuchowych. — Keogh zapalił papierosa. — Do czego pan zmierza?

— Umie pan prowadzić motocykl? — Ryan zignorował pytanie Keogha.

— Nauczyłem się, mając szesnaście lat. Od tego czasu upłynęło już kupę lat. Ale dlaczego pan pyta?

Ryan, rozparł się w fotelu, wyjął fajkę i napełnił ją tytoniem ze starego kapciucha.

— Przyjechał pan tu w odwiedziny do krewnych?

— Nie mam rodziny — odparł Keogh. — Tylko kilku dalekich kuzynów porozrzucanych po całym kraju. Przyjechałem tu z czystego kaprysu. Nostalgia, jeśli pan chce. Niezbyt mądry pomysł, ale ostatecznie w każdej chwili mogę zająć jakąś nową koję.

— A jeśli zaproponuję panu pracę? — zapytał Ryan, a dziewczyna podała mu przyniesioną z kominka płonąca drzazgę, od której odpalił fajkę.

— Jaką pracę? Tutaj, w Belfaście?

— Nie, w Anglii.

— Co miałbym robić?

— Mniej więcej to samo co dziś wieczorem. To, w czym jest pan dobry.

Zapadło głucho, przeciągające się milczenie. Keogh był świadom tego, że dziewczyna bacznie mu się przygląda.

— Czyżbym czuł smrodek polityki?

— Od sześćdziesiątego pierwszego roku służę sprawie lojalistów — wyjaśnił Ryan. — Odsiedziałem sześć lat w więzieniu Maze. Nienawidzę fenian. Nienawidzę przeklętej Sinn Fein, ponieważ gdyby zwyciężyli, przepędziliby nas stąd na cztery wiatry. Wypędziliby z tego kraju każdego protestanta. Czystki etniczne. Tak więc jeśli sprawy ułożą się źle, zamierzam zabrać za sobą do piekła jak największą liczbę katolików.

— Ale co konkretnie pan mi proponuje?

— Robotę w Anglii. Bardzo lukratywną robotę. Zdobyć funduszy dla naszej organizacji.

— Innymi słowy, mamy je komuś ukraść? — zainteresował się Keogh.

— Proszę pana, potrzebujemy pieniędzy — powiedział bez ogródek Ryan. — Pieniądzy na broń. Ta przeklęta IRA ma swych irlandzko-amerykańskich sympatyków i sponsorów, którzy zapewniają jej niezbędne fundusze. My kogoś takiego nie mamy. — Pochylił się w stronę gościa. — Nie żądam od pana patriotyzmu. Proponuję panu dużą gotówkę. Pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Znów nastąpiła długa przerwa. Ryan i dziewczyna czekali. Jej twarz był poważna, zupełnie jakby spodziewała się odpowiedzi odmownej.

Keogh uśmiechnął się.

— To bardzo dużo pieniędzy, panie Ryan. Niemało będzie pan żądał w zamian.

— Potrzebuję ludzi, którzy potrafią zrobić wszystko, a sądząc po pańskich wyczynach dzisiejszego wieczoru, wnoszę, że należy pan do takich właśnie osób.

— A wasi ludzie? — spytał Keogh. — Przecież macie na

ulicach tyle samo uzbrojonych i gotowych na wszystko bojowników co IRA. Nawet więcej. Pamiętam to jeszcze z czasów, gdy służyłem w wojsku. — Zapalił papierosa i rozparł się w fotelu. — Chyba że ma pan na myśli coś innego. Może chodzi wam tylko o forszę i myślicie wyłącznie o sobie.

Kathleen Ryan zerwała się jak oparzona.

— Niech pana szlag trafi! Mój stryj zrobił dla ludzi więcej niż ktokolwiek inny! Lepiej niech pan się stąd wynosi!

Ryan uspokajająco uniósł rękę.

— Spokojnie, dziecko, każdy inteligentny człowiek wie, że to możliwe. Bóg świadkiem, że w przeszłości już tak bywało. I to po obu stronach.

— A więc? — zapytał Keogh.

— Mogę być równie zachłanny na pieniądze jak każdy inny, ale sprawa, o którą walczę, jest dla mnie w życiu najważniejsza i stanowi moją jedyną ostoję. Wszystkie pieniądze, jakie przechodzą przez moje ręce, co do grosza służą sprawie protestantów. Po to żyję.

— Dlaczego więc nie zatrudniacie swoich ludzi?

— Ludzie mają długie języki. To słaba strona wszystkich ruchów rewolucyjnych. IRA boryka się z tym samym problemem. Zawsze wolałem opierać się na czymś, co nazywam płatną pomocą, i dlatego zszedłem do podziemia. Uczciwy złodziej, który pracuje za uczciwe pieniądze, jest dużo więcej wart niż rewolucyjny zapaleniec.

— A więc w to mam wejść — mruknął Keogh. — Płatną pomoc, kogoś takiego pan potrzebuje?

— Dokładnie tak. A zatem wchodzi pan czy nie? Jeśli nie, proszę uczciwie powiedzieć. Po tym, co zrobił pan dziś dla Kathleen, nie spadnie panu włos z głowy.

— Miło mi to słyszeć — odrzekł Keogh i wruszył ramionami. — Och, do licha, właściwie mogę spróbować. To lepsze niż Morze Północne. Tam o tej porze roku panuje okropna pogoda.

— Mądry człowiek — uśmiechnął się Ryan. — Kathleen, przynieś bushmillsa. Oblejemy tę umowę.

- Gdzie się pan zatrzymał? — zapytał Ryan.
- W zapchlonej dziurze o szumnej nazwie „Hotel Albert” — wyjaśnił Keogh.
- To faktycznie zapchlona dziura — zgodził się Ryan. — Jak zresztą cały nasz kraj.
- Zawsze może pan umrzeć w Irlandii — odpowiedział Keogh.
- Sentymenty — stwierdził Ryan i jednym haustem opróżnił szklaneczkę bushmillsa.
- I co dalej?
- Powiem panu w Londynie. Polecimy samolotem. Pan, ja i Kethleen. Muszę się tam z kimś spotkać.
- Keogh odwrócił się do dziewczyny.
- Działaczka? Jak na mój gust trochę za młoda.
- Do cholery, mówiłam już panu, panie Keogh, że kiedy miałam dziesięć lat, wysadzili w powietrze całą moją rodzinę! — wybuchnęła. — Po czymś takim dorasta się bardzo szybko.
- Ciężki jest świat, w którym przyszło nam żyć.
- I proszę mi wierzyć, że uczynię wszystko, aby dla drugiej strony był jeszcze cięższy.
- Jesteś zajadła i umiesz nienawidzić — stwierdził Keogh i odwrócił się do jej stryja. — Co teraz? W co się naprawdę pakuję? Powinienem chyba dowiedzieć się czegoś więcej.
- W porządku, ale tylko troszeczkę, tak na dobry początek. Zna pan północno-zachodnią Anglię? Konkretnie Okręg Jezior?
- Nigdy tam nie byłem.
- Dzikie i odludne tereny. O tej porze roku nie ma tam nawet turystów.
- I co dalej?
- Będzie tamtędy przejeżdżała pewna ciężarówka. Mam na myśli samochód-chłodnię do transportu mięsa. Porwiemy ją. Bardzo prosto, bardzo szybko. Robota na pięć minut.
- Co to znaczy: samochód-chłodnia do transportu mięsa?
- Ryan uśmiechnął się.

— To właśnie ta ciężarówka. A co będzie wiozła, to już całkiem inna sprawa. Dowie się pan tego później.

— Co dalej?

— Udamy się na pewną opuszczoną przystań na wybrzeżu Cumbrian. Wsiądziemy do czekającej tam na nas łodzi, do barki Siemans. Wie pan co to takiego?

— Podczas drugiej wojny światowej Niemcy używali tych jednostek do transportu ludzi i ciężkiego sprzętu i do ataków na wybrzeża.

— Jest pan świetnie poinformowany... Zatem wjedziemy ciężarówką na pokład barki i popłyniemy do Ulsteru. Wynalazłem tam odpowiednie miejsce. Nieczynną od lat przystań w pobliżu dawnych kamieniołomów. Zjedziemy z barki, znikniemy w mroku nocy i szukaj wiatru w polu. Bajecznie proste.

— Na to wygląda — odrzekł Keogh. — A załoga siemansa? Co to za ludzie?

— Zarabiają pieniądze. Zajmują się właśnie takimi nielegalnymi transportami i przewozami. Robią to przez całe życie. Tacy to już ludzie.

— Chce pan powiedzieć łapserdaki i kombinatory.

— Dokładnie. Obecnie barka stoi w pobliżu Wapping. Dlatego właśnie polecimy do Londynu. Tam sfinalizujemy sprawę.

Nastąpiła chwila milczenia, które przerwała dopiero Kathleen Ryan.

— I co pan o tym sądzi, panie Keogh?

— Zaczynicie mówić mi po imieniu. Martin. Wszystko wskazuje na to, że spędzimy razem jakiś czas.

— Sądzisz, że plan się powiedzie?

— Jak mówił twój stryj, jego główną zaletą jest prostota. Wszystko może zadziałać bezbłędnie jak w szwajcarskim zegarku. Ale czasami nawet szwajcarskie zegarki się psują.

— Człowieku małej wiary! — roześmiał się Ryan. — Oczywiście, że wszystko się powiedzie. Moja organizacja potrzebuje środków na zakup broni. To sprawa podstawowa. A w Koranie jest ustęp mówiący, że w jednym mieczu tkwi więcej prawdy niż w tysiącu słów.

— Rozumiem twój punkt widzenia — odparł Keogh i wstał. — Muszę już wracać do hotelu.

— Proszę przyjść do nas na śniadanie — zaprosił Ryan. — Złapiemy południowy samolot. Bilety kupię.

— A zatem dobranoc.

— Bar już zamknięty. Kathleen, wyprowadź Martina tylnym wyjściem. A twego walthera zatrzymam. Nie ma sposobu, żeby prześlizgnąć się z nim przez kontrolę na lotniskach. Ale to żaden problem. Mam w Londynie kontakty. Dostaniemy tam taką broń, jakiej tylko zapagniemy.

Dziewczyna otworzyła drzwi i w twarze uderzył ich pędzony wiatrem rześisty deszcz.

— Paskudna noc — stwierdziła.

— Może dla ciebie. — Keogh postawił kołnierz kurtki. — Ja już cieszę się na ciepłe ulsterskie śniadanko, zwłaszcza jeśli to ty je przygotujesz. Dwa sadzone jajka i nie zapomnij o kiełbasie.

— No, zmykaj już.

Kathleen wypchnęła go za drzwi, wybuchnęła tym swoim charakterystycznym, ostrym śmiechem i zamknęła drzwi.

Keogh miał kłopoty ze znalezieniem budki telefonicznej. Większość była zniszczona. Szczęście uśmiechnęło się do niego dopiero niedaleko hotelu. Zamknął za sobą szklane drzwi, żeby do środka nie wpadał deszcz, i wykręcił dubliński numer. Barry, gdy zadzwonił telefon, siedział w swym niewielkim gabinecie i naradzał się z Johnem Cassidym, szefem wywiadu do spraw Ulsteru.

— To ja — odezwał się Keogh. — Poszło jak po maśle. Siedzę w tym po uszy. Ryan zaprosił mnie na pokład.

— Opowiedz.

Keogh w kilku zdaniach zrelacjonował ostatnie wydarzenia i na koniec powiedział:

— Co będzie w tej chłodni?

— Jeśli to, o czym myślę, to sztaby złota. Mniej więcej

rok temu skoku zamierzała dokonać rada wojskowa lojalistów, ale w końcu odrzucono pomysł jako zbyt ryzykowny.

— A zatem Ryan postanowił to zrobić na własną rękę.

— Dokładnie, ale to desperat. Dlatego, gdy dotarła do mnie od informatora wiadomość, że coś zamyśla, postanowiłem, że w to wejdiesz.

— To jakaś spora afera.

— Tak. Bądź ze mną w kontakcie. Masz mój drugi numer telefonu i miej oczy z każdej strony głowy.

Barry w zamyśleniu rozparł się w fotelu i zapalił papierosa.

— Kłopoty? — zapytał Cassidy.

— Michael Ryan zaczął stare sztuczki.

Przedstawił pokrótce to, czego dowiedział się od Keogha.

— Dobry Boże! — westchnął Cassidy. — Jeśli są to sztaby złota, łobuzy będą mieli dosyć pieniędzy, żeby wywołać wojnę. Co zamierzasz w tej sytuacji zrobić?

— Nie muszę nic robić. Przygotujemy odpowiedni komitet powitalny na wybrzeżu Ulsteru, gdzie dobije barka z ciężarówką. Wtedy z kolei my będziemy mieli dosyć pieniędzy, żeby rozpocząć wojnę domową.

— Czy jesteś pewien, że w porę będziesz znał czas i miejsce?

— O, tak. Człowiek, który do mnie dzwonił, siedzi już na dobre w tym interesie. Dostał się do Ryana pod fałszywym imieniem i nazwiskiem. Teraz już nie odstąpi go na krok.

— Czy ten człowiek jest dobry?

— Najlepszy.

— Znam go?

Barry ujawnił prawdziwe imię i nazwisko Keogha.

Cassidy wybuchnął głośnym śmiechem.

— Bóg nas ustrzegł. To sam diabeł, więc niech Bóg pomoże Michaelowi Ryanowi.

Gdy Keogh wkroczył do hotelu, w recepcji nikogo, nie było. Szybko wbiegł po schodach i otworzył swój pokój. Pomieszczenie było tak obskurne, że Martin rozejrzał się

po nim z niesmakiem. Doszedł do wniosku, iż nawet nie warto zdejmować ubrania. Wyłączył światło, zapalił papierosa, położył się na łóżku i jeszcze raz zaczął przetrawiać w myślach aferę, w którą się wdał.

Najbardziej zdumiewała go prostota samego planu. Kiedy już Ryan wprowadzi go w szczegóły, trzeba będzie naturalnie wszystko ponownie przemyśleć. Miły człowiek ten Ryan — pomyślał. — Człowiek, którego trudno nie polubić. Poza tym ta dziewczyna. Młodziutka, a już przepojona nienawiścią rozpaloną w niej przez bombę, która zabiła jej rodzinę.

Keogh potrząsnął głową. Kryło się w tym więcej, musiało być coś dużo więcej.

Sam nie wiedział, kiedy zapadł w sen.

Kathleen Ryan, zanim poszła do łóżka, zaniósła stryjowi filiżankę herbaty. Michael siedział przed kominkiem i w zadumie palił fajkę.

— Jak myślisz, uda się? — zapytała dziewczyna.

— Od samego początku nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości, a teraz, z Keoghiem... — Wzruszył ramionami. — Kathleen, pomyśl tylko, pięćdziesiąt milionów funtów w sztabach złota.

— On jest dziwny — odparła bratanica. — Wierzysz mu?

— Nigdy nikomu w życiu nie wierzyłem — odparł szczerze. — Nawet tobie. Ale Keoghiem się nie przejmuj. Będę miał go na oku.

— Jesteś pewien?

— Oczywiście. Znam go tak, jak znam siebie, Kathleen, kochanie. Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Podobnie jak ja, ma rozum, to rzecz pewna. Tak samo jak ja jest zabójcą. To jego natura. Będzie działać dokładnie tak, jak ja bym to robił na jego miejscu. — Pocałował Kathleen w policzek. — A teraz, mała, zmykaj spać.

Gdy dziewczyna wyszła, rozparł się w fotelu i popijając małymi łykami herbatę, rozmyślał o opustoszałej szosie w Okręgu Jezior. Nawet jego bratanica nie wiedziała, że zwiedził już tamte okolice i dobrze tę drogę poznał.

LONDYN
OKRĘG JEZIOR

1985

2

Jeśli istnieje w Londynie dzielnica irlandzka, jest nią z całą pewnością Kilburn z licznymi pubami, które sprawiają, że żadnemu Irlandczykowi niczego tam nie brakuje do szczęścia. Ale są w tej dzielnicy również puby protestanckie, jakby żywcem przeniesione z Belfastu. Jednym z takich przybytków jest „William & Mary”. Jego właściciel, Hugh Bell, do szpiku kości oranżysta*, był w Londynie dla ruchu lojalistów tym, czym Sinn Fein dla IRA.

Pod wieczór tego samego dnia, kiedy przybyli do Londynu, Ryan, Keogh i Kathleen siedzieli w pokoju na zapleczu pubu i przeglądali rozłożony na stole arsenał ręcznej broni. Bell, jowialny mężczyzna o potężnej posturze białych włosów, nalał sobie whiskey.

— Cokolwiek sobie życzysz, Michael. Tam, skąd ta broń pochodzi, jest jej znacznie więcej.

Ryan sięgnął po browninga, zważył go w dłoni i wsunął do kieszeni. Keogh wybrał walthera.

— Może macie też do niego carswella? — zapytał.

— Widzę, że jest pan bystrym człowiekiem, obdarzonym dobrym smakiem — zauważył Bell, wstał, podszedł do szafy, chwilę w niej bobrował, po czym wrócił do stołu. — Proszę, oto najnowszy model.

* *Orangeman* — członek tajnego stowarzyszenia powstałego w Irlandii Północnej w roku 1795 w celu zachowania w Irlandii religii protestanckiej i protestanckiej dominacji. W ogólnym znaczeniu każdy irlandzki protestant, szczególnie mieszkaniec Irlandii Północnej.

Keogh nakręcił tłumik na lufę.

— To moja wizytówka.

— A młoda dama? — zainteresował się Bell.

— Ona nie nosi broni — wyjaśnił Ryan.

Dziewczyna natychmiast się zjeżyła.

— Strzelam równie dobrze jak ty, stryju Michaelu. Sam o tym najlepiej wiesz. A w jaki inny sposób mogłabym się obronić? Kopiać ich po jajach?

Bell roześmiał się.

— Znajdziemy jakieś rozwiązanie. — Wrócił do szafy i po chwili wygrzebał automatyczny rewolwer. — Colt .25. Rzadkość. Bardzo łatwo ukryć go w damskiej torebce lub za pończochą.

— Siły rażenia wielkiej nie ma — zauważył Ryan.

— Ale wystarczająca, jeśli przeciwnik stoi blisko — odrzekł Bell.

Dziewczyna z uśmiechem odebrała broń.

— To mi wystarczy — stwierdziła i wsunęła rewolwer do torebki.

— W porządku — zmienił temat Ryan. — Co z „Irish Rose”?

— Barka Siemans zacumowana jest w Wapping, niedaleko Pool of London. Kapitan nazywa się Frank Tully, ale o tym już wiesz. Taki szcurek, który dla forsy zrobi wszystko. Dostarczy najgorszych narkotyków, wykona każde zlecenie, byleby tylko miał z tego pieniądze. Już dwukrotnie przewoził do republiki broń dla IRA.

— A załoga?

— Cztery osoby. — Bell otworzył szufladę i wyjął z niej kartkę papieru, po czym skrupulatnie założył na czubek nosa okulary do czytania. — Mick Dolan i Jock Grant pochodzą z Liverpoolu, a Bert Fox z Londynu. Czwarty to szkop nazwiskiem Muller. Hans Muller. Wszyscy mają kartoteki... siedzieli.

— Cóż, przynajmniej wiemy, z kim mamy do czynienia — zauważył Keogh.

— To racja — zgodził się Ryan. — Typowe męty.

— Ale to nie są profesjonaliści, Michael — wtrącił Bell. — Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

— Zazwyczaj tak. — Ryan wyszczerzył zęby i wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę. — Tu masz spis potrzebnych mi rzeczy. Sprawdź, czy jesteś w stanie je dostarczyć.

Bell rzucił okiem na papier.

— Granaty ogłuszające, granaty dymne... w porządku. Dwa karabiny AK... ślicznie. Semtex? Czy to konieczne?

— Być może będę musiał utorować sobie drogę wybuchem.

— W porządku. Zobaczą, co da się zrobić.

— A więc ustalone. — Ryan uśmiechnął się do bratanicy i Keogha. — Przekażmy coś, a później pojedziemy spotkać się z Tullym.

Nad Tamizą panował przenikliwy ziąb. Po prawej stronie majaczył Tower Bridge, a tuż za nim kąpała się w blasku reflektorów londyńska Tower. Od strony Pool of London płynęły rzeką dwa statki, w wieczornym mroku jaskrawo pobłyskiwały ich czerwone i zielone światła. Taksówka zatrzymała się u wylotu Cable Wharfe i wysiedli z niej Ryan, Keogh i Kathleen. Gdy samochód odjechał, ruszyli nabrzeżem.

Barka stała na samym końcu, zamocowana do przystani napiętymi cumami. W mdłym, żółtym świetle dwóch lamp dostrzegli na rufie napis: „Irish Rose”.

— Od razu poczułem się jak w domu — mruknął z przekąsem Ryan.

— Nie jestem pewien, czy to odpowiednie słowo — odparł Keogh.

Ruszyli w górę trapem i natychmiast pojawił się mężczyzna w dwurzędowej kurtce i w czapce z daszkiem.

— A wy dokąd? — zapytał z twardym liverpoolskim akcentem.

— Jesteśmy umówieni — odparł Ryan. — Zawiadom pan kapitana Tully'ego.

Marynarz wybuchnął głośnym śmiechem.

— Kapitana Tully'ego? To on tak się teraz nazywa? — Roześmiał się ponownie. — W porządku, chodźcie za mną.

Barka miała około stu pięćdziesięciu metrów długości

i zupełnie pusty, płaski pokład. W trzech czwartych jego długości licząc od dziobu wznosiła się sterówka.

— Co o tym powiesz? — zapytał szeptem Keogha Ryan, gdy przemierzali rozległy pokład.

— Nie jest przeznaczona do pływania w trudnych warunkach atmosferycznych — odparł również szeptem Keogh.

Wspięli się po drabince do sterówki i przystanęli na metalowym podeście. Eskortujący marynarz otworzył drzwi i puścił ich przodem.

— Jesteśmy — powiedział. — Oto oni.

— Dziękuję, panie Dolan.

Siedzący przy stole nakresowym mężczyzna miał na sobie marynarski płaszcz, włosy do ramion, a twarz tak zniszczoną alkoholem i hulaszczym trybem życia, że nie sposób było określić jego wieku.

— Znów się spotykamy, panie Ryan. — Wstał i wyciągnął rękę. — A kim jest ta olśniewająca, młoda dama?

— Moją bratanicą, kapitanie Tully. Zapewne dobrze pan pamiętasz. A to mój współnik, Martin Keogh.

— Cała przyjemność po mojej stronie, panie Keogh — powiedział Tully, z entuzjazmem potrząsając dłonią Martina.

— W to nie wątpię — odrzekł Keogh.

— A więc przystąpmy do interesów — odezwał się Tully. Ryan otworzył teczkę i wyjął z niej złożoną mapę.

— To jest wasz punkt docelowy. Marsh End, na południe od Ravenglass na wybrzeżu Cumbrian. Masz pan dwa dni, żeby się tam dostać. Zdażycie?

Tully dłuższą chwilę studiował mapę.

— Nie ma sprawy. Co później?

— Przyjadę ciężarówką, którą należy przetransportować do Kilalla na wybrzeżu hrabstwa Down. — Wyciągnął kolejną mapę. — Tu znajduje się opuszczona przystań, skąd niegdyś ładowano na barki kamień z nieczynnych już dziś kamieniołomów. Tam ciężarówka opuści waszą barcę, a wy pożegłujecie własną drogą.

— Tak właśnie zrobimy, panie Ryan. Oczywiście. Istnieje jeszcze tylko drobna kwestia. Rekompensata.

Ryan wyciągnął z teczki dużą kopertę i podał ją przez stół.

— Tutaj jest pięćdziesiąt tysięcy funtów. Drugie tyle po zakończeniu operacji w Kilalla. Odpowiada to panu?

— Och, bardzo mi odpowiada, panie Ryan. Daję na to najświętsze słowo honoru.

— Wyśmienicie. A zatem widzimy się w piątek rano w Marsh End.

— Nie ma sprawy — odrzekł Tułły. — Nie zawieziemy pana.

— Świetnie. Zatem do zobaczenia.

Kiedy szli już nabrzeżem, Kathleen zwróciła się do Ryana:

— Nie podoba mi się ten opój.

— I nie musi. To nie twoja sprawa — odrzekł Ryan i spojrzał na Keogha. — A co ty powiesz?

— Rozerznie ci gardło, jeśli dojdzie do wniosku, że ukryłeś tam funta.

— Dlatego cię wziąłem. Wracajmy.

Ryan doszedł do rogu i machnął na taksówkę.

Gdy Dolan, marynarz, który przywitał ich przy trapie, wszedł do sterówki, Tully studiował właśnie otrzymane od Ryana mapy.

— I co o tym myślisz?

— To jakiś duży numer — odparł kapitan. — Pięćdziesiąt tysięcy na dzień dobry i kolejne pięćdziesiąt, jak dotrzemy do wybrzeży Ulsteru. Cokolwiek będzie w tej ciężarówce, warte jest dużo więcej.

— A zatem co?

— Numer telefonu, który mi dał, żeby się z nim kontaktować. To pub w Kilburn o nazwie „William and Mary”. Sądzę, że osobiście się tam pofatyguję i trochę powęszę. — Złożył mapy. — Ty pilnuj spraw tutaj. — Ruszył w stronę drzwi, ale w progu się odwrócił. — To może być dzień najwspanialszej wypłaty, Mick.

— Zgadzam się z tobą w zupełności — odparł Dolan. — Bez względu na to, o co w tym wszystkim chodzi.

— Spryciarz z ciebie — odrzekł Tully i wyszedł.

W barze „William & Mary” panował ścisk. Przy szynkwasię tłoczyli się ramię przy ramieniu popijający różnorodne trunki mężczyźni. Tully zająrzył przez okno do pubu. Mimo strasznego hałasu panowała tam miła atmosfera.

Marynarz postanowił zbadać tyły budynku. Ruszył wąskim przejściem, które zaprowadziło go do wysokiego muru z otwartą bramą wychodzącą na dziedziniec. Dostrzegł błysk światła w jednym z okien o niedokładnie zasuniętych firankach. Zbliżył się i ostrożnie zerknął przez szybę.

Przy stole nad rozłożoną mapą siedzieli Ryan, Bell i Kathleen. Keogh stał przy płonącym kominku. Bell coś powiedział, Ryan się roześmiał — Tully to widział, lecz nie słyssał. Ale dostrzegł ukryte w cieniu boczne drzwi. Delikatnie nacisnął klamkę i przekroczył próg.

Znalazł się w ciasnym korytarzyku. Panował w nim mrok i kapitan wymacał jedynie wiszące na wieszakach płaszcze. W tej samej chwili otworzyły się drzwi w końcu korytarza i do pomieszczenia wpadła smuga blasku. W progu pojawił się Bell.

Tully skamieniał, kryjąc się za płaszcami.

— Za chwilę wracam! — zawołał przez ramię Bell.

Przeszedł obok skulonego Tully'ego, wszedł do jakiegoś pomieszczenia. W kilka minut później rozległ się odgłos spuszczenia wody w toalecie. Bell wrócił, wszedł do pokoju na zapleczu baru i dokładnie zamknął za sobą drzwi. Tully podszedł do nich, przyłożył ucho do dziurki od klucza i zaczął z uwagą podsłuchiwać.

— W porządku, karty na stół — odezwał się Ryan. — Pora, Martin, żebyś dowiedział się o tym, o czym my już wiemy.

— Będę wdzięczny — odparł Keogh.

— Robotę tę wymyśliłem już dobry rok temu. Pomagał mi w tym Hugh, nasz człowiek w Anglii. Niestety rada wojskowa zrezygnowała z tej akcji, uważając, że jest zbyt ryzykowna.

— Banda tchórzliwych bab — mruknął Bell.

— Ale o co w tym wszystkim chodzi? — zapytał Keogh.
- Co będzie w tej ciężarówce do przewozu mięsa?

— Złoto, Martinie — wyręczyła stryja Kathleen. — Sztaby złota. Warte pięćdziesiąt milionów funtów.

— Jezu Chryste! — wykrzyknął Keogh, udając zdumienie. — Ale dlaczego przewożą je w taki właśnie sposób?

— Zaraz ci to wyjaśnię — powiedział Ryan. — Sztaby złota przyływały zazwyczaj Tamizą do London Docks, lecz te przystanie, nie remontowane od dwudziestu pięciu

lat, chyła się ku upadkowi i spedytorzy wołają Amsterdam, Stąd przesyłają towar do Glasgow.

— Od jak dawna?

— Od pięciu lat. Wtedy to w Barrow-in-Furness zbudowano nowy piec do wytopu metali. Spójrz na mapę. To tu, na samym dole Okręgu Jezior. W tym rejonie głównie budują okręty. Ostatni nasz atomowy okręt podwodny wyszedł właśnie z tamtych stoczni.

— Ale co ma wspólnego piec do wytapiania metali z naszą sprawą?

— Przetapiają w nim złoto i formują w mniejsze sztabki. Banki tak wołają. Złoto to ciężki towar.

— Rozumiem — mruknął Keogh.

— Ciężarówka wyrusza z Glasgow i jedzie do Carlisle — kontynuował Ryan. — Później podąża do Maryport na wybrzeżu i drogą wzdłuż morza jedzie do Barrow.

— A my przejdziemy ją po drodze?

— Dokładnie. W najbliższy piątek.

— Ale w jaki sposób zatrzymamy ciężarówkę? W jaki sposób dostaniemy się do środka?

— Nie jest to zwykły samochód. Jedzie kierowca, a w kabinie za nim dwóch uzbrojonych strażników. Ciężarówka wygląda jak zwykła chłodnia, ale jest zabezpieczona na wszelkie możliwe sposoby. Znajduje się w niej cała bateria elektronicznych urządzeń zabezpieczających i pierwszorzędny system radiowy.

— Jak zamierzasz sobie z tym poradzić? — zapytał Keogh.

Bell otworzył szufladę w stole i wyciągnął przenośny, czarny komputer z rzędem guzików i ekranem.

— Wiem, że przypomina to bardziej pilota do telewizora, lecz tak naprawdę jest to prawdziwy geniusz, tak zwany Howler. Rozumiesz... to jest kolejna zastrzeżona informacja... Znamy kod systemu bezpieczeństwa zainstalowanego w ciężarówce. Howler już go wybrał. Wystarczy nacisnąć trzykrotnie ten czerwony guzik i całe zabezpieczenie ciężarówki, elektroniczne zamki w drzwiach, radio, wszystko zostanie wyłączone. A to znaczy, że drzwi będą stały otworem.

— Skąd, do licha, wytrzasnąłeś to urządzenie? — zdziwił się Keogh.

— Stworzył je pewien dzieciak z Queen's University w Belfaście, geniusz elektroniki, a przy okazji sympatyk naszej sprawy.

Keogh powoli pokiwał głową.

— A kierowca i strażnicy? Co z nimi?

— Na nich wystarczy granat ogłuszający. — Ryan przez chwilę ponuro się uśmiechał. — Wybacz, jeśli będę musiał, zabiję ich. To poważna sprawa.

Keogh znów pokiwał głową.

— A kiedy już tę ciężarówkę zwędzimy?

— Pojedziemy nią do Marsh End, gdzie będzie czekać „Irish Rose”. — Uśmiechnął się. — My znajdziemy się daleko na morzu, a policja wciąż jeszcze będzie się kręcić wokół własnego ogona.

Keogh zasepił się i zapadło długie milczenie. W końcu skinął głową.

— Wiesz, masz rację. To rzeczywiście może się udać.

Ryan roześmiał się z zadowoleniem.

— Równy z ciebie chłop, Martin. Napijmy się za powodzenie.

Bell wstał od stołu, otworzył szafę i wyciągnął z niej flaszkę bushmillsa oraz trzy szklanki. W tej samej chwili z dziedzińca dobiegł brzęk wywracanego kubła na śmieci.

Kiedy Ryan zaproponował whiskey, Tully zdecydował, że najwyższy czas się wycofać. Otworzył prowadzące na podwórko drzwi, cichutko je za sobą zamknął i zaczął

chyłkiem przekradać się przez dziedziniec. Wtedy też przez nieuwagę wlaźł na pojemnik na śmieci i stracił metalową pokrywę, która z donośnym łoskotem spadła na kamienne podwórko. Marynarz ruszył biegiem do otwartej bramy, po czym skręcił w wąskie przejście. Gdy dotarł do jego końca, w bramie pojawił się Keogh, ale było już za późno i Tully przebiegłszy ruchliwą jezdnię, wmieszał się w tłum wieczornych przechodniów.

Zanim Keogh wrócił do domu, Ben zdążył zapalić światła na dziedzińcu i stał teraz w tylnych drzwiach w towarzystwie Ryana i dziewczyny.

— Widziałeś kogoś? — zapytał Ryan.

— Jasne — odparł Keogh. — I nie spodoba ci się to, co powiem. Mignęły mi tylko plecy naszego nieproszonego gościa, kiedy skręcał w ulicę. Do złudzenia przypominał Tully'ego.

— Skurwysyn postanowił nas sprawdzić — oświadczył Ryan i zawrócił do salonu na tyłach baru.

— Co teraz? — zapytał Bell. — To przecież rozwala nam cały plan.

— Nie, z tym bym się nie zgodził — odparł Keogh. — Chciał się zorientować w sprawie, bo bardzo zależy mu na reszcie pieniędzy.

— To ma sens — mruknął Ryan, kiwając głową.

— Powiedziałbym, że tylko węszył, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

— A to cwana świnią — wtrąciła Kathleen.

— A skoro nas podsłuchał, wie więcej, niż powinien — dodał Keogh, wkładając swą dwurzędową kurtkę.

— Dokąd się wybierasz? — zapytał Ryan.

— Na „Irish Rose”. — Keogh wyciągnął walthera i sprawdził magazynek. — Teraz z kolei ja powęszę.

— Pójdę z tobą — powiedział Ryan.

— Nie trzeba, poradzę sobie — odparł z uśmiechem Keogh. — W końcu za to mi płacisz.

Już odwracał się w stronę drzwi, kiedy Kathleen powiedziała:

— Uważaj na siebie, Martin.

— Och, dziewczyno miła, zawsze uważam.

Uśmiechnął się i wyszedł. Do uszu zebranych w pokoju dotarł szcęk otwieranej, a następnie zamykanej bramy na dziedzińcu.

Znów się rozpadało. Keogh zapłacił taksówkarzowi, wysiadł z samochodu i ruszył wzdłuż Cable Wharfe. Wokół panowała ciemność, w powietrzu snuła się mgła. Keogh trzymał się cienia rzucanego przez opuszczone, stare magazyny. Kiedy znalazł się już blisko prowadzącego na barcę trapu, zatrzymał się. Przystań była jak wymarła. Przez chwilę rozważał sytuację, po czym zeskoczył na rufę „Irish Rose”, która w tym miejscu znajdowała się poniżej poziomu nabrzeża.

Przypadł do pokładu, przez chwilę trwał bez ruchu, a następnie ruszył w stronę mającej w mroku sterówki. Nad przybudówką paliła się lampa. Keogh wspiął się po metalowej drabinie na podest, podszedł do drzwi i przykucnął. Usłyszał ludzkie głosy i zapach papierosowego dymu. W środku byli wszyscy; Tully i jego załoga. Keogh zamarł w bezruchu, natężył słuch i zasłonięty tratwą ratunkową nasłuchiwał.

— Złoto? — dotarł doń głos Dolana. — Chyba żartujesz, Frank!

— Cholera jasna, nie żartuję. Ciężarówka, którą mamy zabrać z Marsh End, będzie nim wyładowana. Zamierzają ją porwać w drodze z odlewni metali w Barrow-in-Furness.

— Ale kim oni są? — dopytywał się Dolan.

— Z całą pewnością Irlandczykami. Pozornie z IRA, ale nie sądzę.

— Dlaczego?

— Z dwóch powodów. Po pierwsze, miejsce, dokąd mamy dopłynąć. Kilalla. To Ulster, nie republika. Po drugie, ten pub „William and Mary” w Kilburn. To lokal prodów, nie katolików. Podejrzewam więc, że stoją po drugiej stronie.

— Lojaliści? — zapytał Dolan.

— A cóż to za różnica? — odparł Tully. — Nie obchodzi mnie, po czyjej są stronie. Mnie interesuje tylko to złoto.

Wśród załogi rozszedł się szmer.

— Sądysz, że moglibyśmy je odbić? — spytał Dolan.

— Kto wie? — wybuchnął śmiechem Tully. — Ostatecznie daleko od brzegu może zdarzyć się wszystko. Biermy się do roboty. Przygotujcie barkę do odpłynięcia. Mamy tylko dwa dni, żeby tam dotrzeć.

Gdy ze sterówki wysypała się załoga i zaczęła schodzić po drabinie na pokład, Keogh jeszcze bardziej skulił się za tratwą. Chwilę tkwił tam, ważąc jakąś myśl, po czym wyprostował się i ruszył prosto do drzwi.

Tully stał pochylony nad stołem nakresowym. Niewielki przeciąg poruszył róg mapy przedstawiającej wybrzeże Cumbrian. Kapitan uniósł głowę i ujrzał Keogha, który stał oparty o drzwi i zapalał papierosa.

— Jak pisywała w swych powieściach Agata Christie, wszystko jasne. Stałem pod sterówką, staruszku, i słyszałem twoją przemowę do tej pstrokatej zbieraniny. — Tully odskoczył od stołu i próbował wydostać się z kabiny, lecz Keogh wyciągnął z kieszeni dłoń, w której trzymał walthera. — Nie bądź głupi.

— Czego chcesz? — zapytał kapitan, obrzucając go płonąącym spojrzeniem.

— Wiem, że byłeś w „William and Mary”. Powinienem wpakować ci kulę między ślepią, ale możemy ułożyć się o te pięćdziesiąt tysięcy funtów, które dostałeś od Ryana.

— Idź do diabła!

Keogh uniósł walthera i wypalił. Rozległo się, jak zwykle, głucho kaszlnięcie i płatek ucha Tully'ego zniknął w jednej sekundzie. Kapitan wrzasnął przenikliwie i chwycił się za głowę, spomiędzy palców płynęła mu krew.

— To na dobry początek — wyjaśnił Keogh. — Oddawaj pieniądze.

Tully wolną ręką otworzył szufladę, wyciągnął kopertę i podał ją Keoghowi. Ten wsunął ją do kieszeni, a marynarz sięgnął po chustkę i przyłożył ją do ucha.

— Boże drogi, popatrz, co zrobiłeś.

— A co to za różnica? — odrzekł Keogh. — I tak już gorzej wyglądać nie mogłeś.

— Pierdziel się! — Jedną ręką otworzył szafkę, wyciągnął z niej butelkę szkockiej, zębami usunął korek i pociągnął solidny łyk. — Co teraz?

— Teraz nic — odrzekł Keogh. — W piątek spotkamy się w Marsh End.

Tully popatrzył nań ze zdumieniem.

— Nie rezygnujecie ze swych planów?

— Za późno, żeby wynająć kogoś innego — wyjaśnił Keogh. — A sytuację nazwałbym „wiem-że-wiesz-że-ja-wiem”. Więc zachowuj się rozsądnie i przyzwoicie, a po przybyciu do Kilalli dostaniesz tę kopertę plus drugie pięćdziesiąt tysięcy.

— Oż ty w dupę!

— Tak, wiem — odpowiedział spokojnie Keogh. — Ale będziesz w piątek w Marsh End.

— Niech cię cholera, jasne, że będę.

— Równy z ciebie chłop. A teraz odprowadź mnie do trapu i tam pożyczymy sobie dobrej nocy.

W tej chwili na barce włączono maszynę.

Tully ruszył przodem. Z trudem pokonał drabinę, z ucha lała mu się krew. Na pokładzie stali Dolan i Niemiec. Muller związał cumę, a Dolan miał właśnie wciągnąć na pokład trap. Zdumiony uniósł głowę.

— Ej, co się dzieje?

— To się dzieje, że masz zabrać łapska z tego trapu i poczekać, aż nim zejdziemy — odparł Keogh.

Dolan ruszył na niego, lecz Keogh rąbnął go w twarz łufą walthera. Z rykiem bólu Dolan zachwiał się i cofnął o krok, a Martin wkroczył na trap. Gdy doszedł do końca, odwrócił się i przesłał Tully'emu uśmiech.

— Do miłego zobaczenia w Marsh End.

— Ty skurwysynu! — wrzasnął Tully.

Keogh roześmiał się i zniknął w strugach deszczu.

Zadzwonił przenośny telefon. Barry siedział przy biurku w gabinecie.

— To ja — odezwał się w słuchawce głos Keogha.

— Gdzie jesteś? — zapytał Barry.

- Na Wapping High Street w starym dobrym Londynie.
- Co się wydarzyło?
- Miałeś rację z tym złotem.
- Naprawdę?
- To skomplikowane, ale słuchaj.

I Keogh, krok po kroku, wprowadził go w całą historię.

— Jezu, ale z ciebie kawał zimnego drania. Myślisz, że Tully wejdzie do gry? — spytał Barry, gdy Keogh skończył opowiadać.

— Pewnie. Za sto tysięcy funtów? Nie zamierza ich sobie odpuścić.

— Racja. Dajmy na to, że wszystko się uda. Co się wydarzy, kiedy już „Irish Rose” wypłynie na morze? Nie spróbują was załatwić?

— Oczywiście, że spróbują, ale my będziemy na to przygotowani.

— Ty, Ryan i jego bratanica! Niech Bóg was chroni!

— Ochroni, ochroni. Co z Kilallą?

— Och, sądzę, że mogę ci obiecać bardzo ciepłe przyjęcie. To znaczne wsparcie finansowe dla IRA. Pomoże nam wygrać wojnę.

— O tym właśnie myślę — odparł Keogh. — Jak dotąd zajęło nam to zaledwie siedemset lat.

Barry roześmiał się.

— Daj spokój, czarny bohaterze. Idź i bądź ze mną w kontakcie.

W salonie na zapleczu „William & Mary” Ryan i Kathleen siedzieli przy stole i słuchali opowieści Keogha, który uprzednio skrzepił się solidną porcją bushmillsa.

— Postrzeliłeś go? — zapytał Bell.

— Troszeczkę. — Keogh ponownie łyknął whiskey. — W płatek prawego ucha.

Na twarzy Kathleen malowało się niekłamane podniecenie.

— Dałeś łobuzowi dobrą szkołę.
— Myślisz, że pojawi się w Marsh End? — zapytał Ryan.
— Oczywiście. Chce tych stu tysięcy funtów.
— Ale w drodze do Ulsteru spróbuje zdobyć coś więcej.
— Tak, tylko my będziemy na to przygotowani.
— Też tak sędzę — odparł Ryan, po czym wziął głęboki wdech. — Złapiemy poranny ekspres do Glasgow. Wsiądziemy w Carnforth i do Barrow pojedziemy lokalnym pociągiem.

— A tam co?

— Jesteśmy umówieni — powiedział Ryan. — Jest jeszcze coś, o czym ci nie mówiłem. Mam kuzynkę, która w Okręgu Jezior, niedaleko od Ravenglass, prowadzi owczą farmę. Ale teraz basta. Idę spać. Jutro wczesnie wstajemy.

„Irish Rose” płynęła w dół Tamizy. Przy sterze stał Tully. Zza postumentu z kompasem okrętowym wystawała mu tylko głowa. Na prawym uchu miał opatrunek zaklejony plastrem. Otworzyły się drzwi sterówki i do pomieszczenia wszedł Dolan z kubkiem w rękę. Postawił naczynie obok koła sterowego.

— Herbata — powiedział. — Nic ci nie jest?

— Nic — burknął Tully.

— Zdecydowałeś już, co zrobimy z tym nędznym skurwysynem?

— O, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, zamierzam oderznąć mu jaja. — Tully sięgnął po kubek i upił herbaty. — Sinn Fein mówi: „Nadejdzie nasz dzień”. Zgoda, jeśli chodzi o Keogha, mój również nadejdzie.

3

W ekspresie do Glasgow nie było szczególnego tłoku. Ceogh zajął miejsce z brzegu stolika naprzeciwko Kathleen. Obok niego usiadł Ryan, który natychmiast otworzył eczkę, wyciągnął z niej jakieś papiery i założywszy na :zubek nosa okulary do czytania, pogрузzył się w lekturze.

Dziewczyna wyjęła z podróźnej torby *The Midnight Zourt* oraz słownik irlandzko-angielski, który położyła obok siebie na stoliku. Dziwne — stwierdził w duchu Ceogh. — Zaiste, bardzo dziwne. Siedział, gapił się w okno myślał, co by Kathleen miała do powiedzenia i jaka byłaby jej reakcja, gdyby dowiedziała się, że Martin reprezentuje sobą wszystko, czego najbardziej w życiu nienawidziła, że jest katolikiem i bojownikiem IRA. Boże, któregoś dnia jednak szydło wyjdzie z worka, lecz wtedy na wszystko będzie już za późno.

Mniej więcej w godzinę po opuszczeniu Londynu pojawił się steward z wózkiem z herbatą, kawą, kanapkami i gazetami. Ryan przerwał pracę i poprosił o kawę. Dziewczyna zażyczyła sobie herbatę, podobnie jak Keogh, który dodatkowo kupił *Timesa* i *Daily Mail*, więc kolejną godzinę spędził na przeglądaniu wiadomości.

O sytuacji w Irlandii pisano niewiele. W Derry na jednej z ulic bomba zniszczyła sześć sklepów — cios za cios, odwet za śmierć dwóch katolików na Falls Road, co z kolei stanowiło odpowiedź na zastrzelenie protestantów w Shanhill. Lecący na posterunek dowódstwa w Crossmaglen

helikopter z Army Air Corps dostał się w ogień karabinu maszynowego. Dzień jak co dzień, jak mawiano w Ulsterze.

Gdy był w połowie lektury *Timesa*, natrafił na artykuł zatytułowany „Jak długo, na Boga, jak długo?” Autor, emerytowany członek parlamentu i były minister do spraw Irlandii Północnej, z jakichś niewyjaśnionych względów doszedł do wniosku, że sześćdziesiąt lat krwawej wojny w Irlandii wystarczy. Proponował rozwiązanie, w myśl którego Ulster odzyskałby niepodległość w ramach Wspólnoty Brytyjskiej. Zdumiewające, jak bardzo naiwni w tej kwestii potrafią być nawet politycy.

Keogh złożył gazetę, zapalił papierosa, rozsiadł się na fotelu i obserwował Kathleen. Ku swemu rozbawieniu spostrzegł, że dziewczę nieustannie zerka do słownika. W pewnej chwili Kathleen podniosła głowę i dostrzegła na jego twarzy uśmiech.

— Co cię tak bawi? — zapytała marszcząc brwi.

— Nic. Obserwuję, jakie masz z tym kłopoty.

— Nie idzie mi łatwo. Irlandzkiego zaczęłam uczyć się zaledwie przed trzema miesiącami. Mam tutaj zdanie, z którym kompletnie nie potrafię sobie poradzić.

Keogh po irlandzku mówił płynnie, mógłby więc bez trudu jej pomóc, lecz to stanowiłoby poważny błąd. Ludzie znający irlandzki są katolikami i nacjonalistami. Proste.

Ryan skończył przeglądać papiery, schował je do teczki, wsunął się w kąt i zamknął oczy.

— Wygląda na zmordowanego — zauważył Keogh.

— Za dużo pracuje, wręcz się spala. Widzisz, on jest fanatykiem. Nasza sprawa to dla niego wszystko. Chleb i sól.

— Podobnie jest z tobą, jak sądzę.

— W życiu trzeba w coś wierzyć.

— W twoim przypadku tę wiarę zaszczepiła śmierć rodziny?

— Zamordowanie mojej rodziny, Martin. Zamordowanie.

Nie znalazł na to odpowiedzi, bo żadna odpowiedź nie istniała. Dziewczyna miała pobladłą i napiętą twarz, w jej oczach palił się gniew.

— Uspokój się, dziewczyno miła, uspokój — powiedział. — Wracaj lepiej do książki.

Sięgnął po *Daily Mail* i zagłębił się w lekturze.

Upłynęło pół godziny i wrócił steward. Przywiózł następną herbatę i kanapki z szynką. Ryan ciągle spał.

— Nie budźmy go. Niech odpocznie — powiedziała dziewczyna.

W pogodnym milczeniu zjedli posiłek. Gdy skończyli, Keogh zapalił kolejnego papierosa.

— Kate, masz szesnaście lat i całe życie przed sobą. Co chciałabyś robić, gdyby w Irlandii zapanował pokój?

— O, wiem bardzo dobrze, co chciałabym robić. Zawsze pragnęłam zostać pielęgniarką, a już na pewno od czasu, gdy leżałam w szpitalu po wybuchu bomby. W Royal Victoria spędziłam trzy miesiące. Tam były fantastyczne siostry.

— Pielęgniarką? Cóż, żeby zostać pielęgniarką, trzeba zdać specjalne egzaminy. A ty nawet nie skończyłaś szkoły.

Znów wybuchnęła tym swoim charakterystycznym, chrapliwym śmiechem.

— O nie, panie szanowny, popełnił pan największy w życiu błąd. Pierwsze egzaminy zdaje się zazwyczaj mając lat szesnaście. Ja miałam ich czternaście. Maturę robi się w wieku osiemnastu lat. Ja świadectwo dojrzałości dostałam cztery miesiące temu; zdawałam egzaminy z literatury angielskiej, francuskiej i hiszpańskiej. Wiesz, mam dryg do języków. — W jej głosie zabrzmiały nutki niekłamanej dumy. — Choć skończyłam dopiero szesnaście lat, w każdej chwili mogę wstąpić na uniwersytet.

— I co?

Wzruszyła ramionami.

— Mam ważniejsze sprawy na głowie. W tej chwili liczy się tylko nasza walka. A teraz, Martin, zamknij się i pozwól mi poczytać.

Pochyliła się nad stolikiem i otworzyła *The Midnight Court*.

Z pociągu wysiedli w Carnforth. Stacyjka była wyludniona, peron zmywał rześisty deszcz.

Ryan zerknął na zegarek.

— Pociąg do Barrow-in-Furness mamy za czterdzieści minut. Chodźmy na herbatę. Muszę z wami porozmawiać.

W kawiarni poza podstarzałą barmanką nie było nikogo. Kathleen Ryan zamówiła herbatę, postawiła filiżanki na tacy i przyniosła je do stolika.

— Pamiętam czasy, kiedy ruch panował tu dwadzieścia cztery godziny na dobę — odezwał się Ryan. — Parowozy dudniły jeden za drugim. — Potrząsnął głową. — Wszystko się zmienia.

— Dobrze znasz te okolice? — zainteresował się Keogh.

— O, tak. W ubiegłych latach wielokrotnie odwiedziłem Okręg Jezior. Ostatni raz byłem tu cztery tygodnie temu.

Bratanica obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem.

— Nic o tym nie wiedziałam, stryju Michaelu.

— Sądziłaś, że pojechałem do Dublina, prawda? — odparł z zadowoleniem Ryan. — No cóż, wcale tam nie byłem. Przyjechałem tutaj, żeby na miejscu wszystko osobiście przygotować. Ale istnieje jeszcze wiele rzeczy, o których wam nie mówiłem. Pora najwyższa, żebym was we wszystko wtajemniczył.

— Słucham z uwagą — mruknął Keogh.

Ryan wyciągnął mapę sztabu generalnego, z którą zapoznali się jeszcze w Londynie, i rozłożył ją na stoliku.

— Tutaj, na wybrzeżu, leży Ravenglass. Od Barrow to tylko kawałek drogi krętą szosą... jakieś czterdzieści kilometrów. Marsh End znajduje się około ośmiu kilometrów od Ravenglass.

— I co?

— Popatrzcie tu, z jednej strony Ravenglass dolina pnie się w górę, wrzynając się w masyw górski. Nazywa się Eskdale. Mieszkają tam ludzie, których można nazwać naszymi przyjaciółmi.

— Nigdy nawet nie zająknąłeś się na ten temat słowem — przerwała zdumiona Kathleen.

— Ale mówię teraz, prawda? O, tu, tędy prowadzi droga. Mój kuzyn, Colin Power, miał żonę Angielkę

o imieniu Mary, córkę farmera z Eskdale. Colin dzierżawił folwark w hrabstwie Down, lecz po śmierci rodziców Mary farma w Eskdale jej przypadła w udziale.

— A więc wyprowadzili się z hrabstwa Down?

— Dokładnie tak. Dwadzieścia lat temu. Zabrali ze sobą chłopca imieniem Benny, siostrzeńca Colina. Mały od urodzenia cierpiał na defekt mózgu. Jego rodzice chcieli umieścić go w zakładzie, ale Mary nie miała własnych dzieci, więc zatrzymała chłopca przy sobie i zajęła się jego wychowaniem.

— I teraz mieszkają tutaj, w Eskdale? — domyśliła się Kathleen.

— W samym końcu doliny. Odległe, samotne miejsce. Nazywa się Folly's End i jest to nazwa bardzo trafna*. Nieustannie pada tam deszcz, nieustannie wieją porywiste wiatry. Owce marnieją. — Ryan wzruszył ramionami. — Dla Colina było to stanowczo za dużo. Przed pięcioma laty zmarł na atak serca. Obecnie mieszka tam tylko Mary z Bennym.

— Powiedziałbym, że mają zbyt wiele pracy jak na dwie osoby — mruknął Keogh.

Ryan głośno się roześmiał.

— Poczekaj, aż zobaczysz Benny'ego.

W tym samym momencie na stację wtoczył się pociąg i Ryan wyrżał przez okno.

— To nasz — stwierdził. — Idziemy.

Wstał od stolika i ruszył przodem.

W Barrow-in-Furness z pociągu wysiadła zaledwie garstka pasażerów. Ryan, dziewczyna i Keogh minęli barierkę kontrolera, przeszli przez poczekalnię i stanęli przed budynkiem.

— Wuju Michaelu, to ja! — zawołał ktoś tubalnym, choć bełkotliwym głosem.

Po drugiej stronie placyku zaparkowany był land rover, a stojący obok niego mężczyzna wyglądał wręcz cudacznie.

* *Folly's End* można przetłumaczyć jako „kraniec szaleństwa”.

Miał co najmniej sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, był zbudowany jak buhaj i miał niezwykle rozróżnione ramiona. Nosił tweedową czapkę i sfatygowany tweedowy garnitur z łatami na rękawach. Wielkolud ruszył radośnie w ich stronę, na jego mięsistej twarzy malował się wyraz dziecięcego wprost szczęścia.

— To ja, wuju Michaelu — powtórzył.

Ryan szybko go uściskał.

— Doskonale, Benny. Jak się miewa twoja ciocia?

— Bardzo dobrze. Nie może się już was doczekać.

Mówił z trudem, powoli cedząc słowa.

— To moja bratanica, Kathleen — oświadczył Ryan. — Jesteście dalekimi kuzynami.

Benny ściągnął z głowy czapkę, spod której wyłoniła się strzecha brudnych, przetłuszczonych, żółtawych włosów. Skinął głową i uśmiechnął się błogo.

— Kathleen — powiedział.

Dziewczyna wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

— Bardzo się cieszę z naszego spotkania.

Benny był w siódmym niebie, skwapliwie potrząsał głową. Ryan przedstawił Keogha, który wyciągnął rękę na powitanie. Uścisk Benny'ego okazał się tak mocarny, że Martin aż skrzywił się z bólu.

— Spokojnie, synu... wystarczy. — Odwrócił się do Ryana. — Już teraz rozumiem, dlaczego mówiłeś, że na farmie nie ma nadmiaru pracy. Ten chłopak jest w stanie wykonać robotę za dziesięciu tęgich chłopów.

— Co najmniej — odparł Ryan. — No, ale chodźmy do samochodu.

Benny chwycił torby Kathleen i Keogha, po czym ruszył kłusem do land rovera.

— Choć w każdej barowej bójce pokonałby pięciu mężczyzn, tak naprawdę jest tylko dużym dzieckiem — odezwał się do Kathleen i Keogha Ryan. — Pamiętajcie, żeby go nie poganiać, jak mówi. Często ma trudności z wymową.

Benny wrzucił niedbale bagaże na tył samochodu. Keogh musiał nieco przestawić swą torbę. Chłopak obiegał samo-

chód, otworzył przednie drzwi od strony pasażera. Znów ściągnął czapkę i zaczął gorączkowo gestykulować w stronę Kathleen.

— Siadź z przodu, Kate — odezwał się Keogh. — Spraw chłopakowi przyjemność. My pojedziemy z tyłu.

Kiedy wszyscy już zajęli miejsca, Benny wskoczył za kierownicę.

— To wyśmienity kierowca. Nigdy jeszcze nie popełnił błędu. — Ryan poklepał Benny'ego po ramieniu. — Jedźmy, Benny. Czy ciężarówka jest sprawna?

— O, tak — pokiwał energicznie głową Benny.

Kiedy skręcili już na główną drogę, bratanica Ryana zapytała:

— Jaka znów ciężarówka?

— Uspokój się, dziewczyno, wszystko w swoim czasie. Teraz siedź i podziwiał widoki. Piękniejszych nie znajdziesz w całej Anglii.

Dotarli do biegnącej wzdłuż wybrzeża szosy i wtedy się rozpadało.

— Tutaj tak zawsze — zauważył Ryan. — Podejrzewam, że to przez te góry.

Z prawej strony ciągnął się przepyszny widok na spowite płynącymi nisko chmurami wierzchołki. Po lewej rozpościerało się wzburzone morze zryte wielkimi grzywaczami z białą pianą; nadciągała od niego gęsta mgła.

— Tam jest wyspa Man, a dalej już tylko kochana, stara Irlandia — odezwał się Ryan.

— Nie wiem, czy słuchałeś prognozy na piątek — zainteresował się Keogh — ale jedno wiem na pewno. Jeśli utrzyma się taka pogoda, siemans nie przyda się na nic.

— Zobaczmy — odrzekł Ryan.

Mniej więcej w czterdzieści pięć minut po opuszczeniu Barrow dotarli na ciągnące się w stronę niewidocznego morza moczary, które ginęły w siwych oparach. Przy drodze pojawiła się tablica i Ryan trącił Benny'ego w ramię.

Olbrzym zwolnił, a Michael powiedział:

— Marsh End. Benny, chcemy się tu na chwilę zatrzymać i rozejrzeć po okolicy.

Benny posłusznie zjechał z szosy, a potem powoli ruszył polną drogą. Okolica była kompletnie opustoszała, otaczały ich niknące we mgle trzciny i wysoka trawa. Minęli stojącą po prawej stronie starą chałupę. Niebawem dostrzegli wrzynającą się na jakieś sto metrów w morze przystań. Benny wyłączył silnik.

— O co chodzi? — zapytał Keogh.

— Chodzi o to — odparł Ryan — że tylko siemans o płytkim zanurzeniu jest w stanie dopłynąć do tej przystani. Przy odpływie pozostaje tu jedynie bagno i szlam.

Poklepał Benny'ego po ramieniu.

— Jedziemy, Benny.

Wielkolud posłusznie skinął głową i zawrócił samochód.

W górnym piętrze doliny Eskdale zamajaczyły przed nimi górskie stoki. Benny wjechał na szeroki trakt i zredukował bieg. Po obu stronach drogi ciągnęły się murki z szarego kamienia, za którymi tuliły się do siebie owce.

— Ależ odludzie — stwierdził Keogh.

— Życie nie jest tu łatwe — przyznał Ryan.

Minęli drewnianą tablicę z napisem „Folly's End”.

— Ten napis wyjaśnia wszystko — zauważył Ryan.

W chwilę później dotarli do szeroko rozwartej bramy, a kawałek dalej wyłoniły się dwie wielkie stodoły oraz zabudowania farmy; wszystkie budynki wzniesiono ze zwietrzałego, szarego kamienia. Benny wyłączył silnik i wysiadł z auta. Gdy zbliżali się do domu, drzwi się otworzyły i wypadł z nich owczarek w czarno-białe łaty. Za nim w progu stanęła kobieta. Ubrana w gruby, robiony na drutach sweter, męskie spodnie i zielone kalosze typu Wellington, miała przyprószone siwizną włosy, lecz twarz zdumiewająco młodą. Ryan wysunął się do przodu i kobieta rozłożyła ręce. Padli sobie w ramiona. Po chwili Ryan wyswobodził się z objęć i odwrócił się.

— Przedstawiam wam moją kuzynkę, Mary Power.

Jasna kuchnia miała strop podparty drewnianymi belkami, podłogę wyłożoną płytami z kamienia, a w otwartym piecu płonęły wielkie polana. Mary osobiście obsługiwała gości, obchodząc ich z wielkim garem i warząchwią. Na obiad przygotowała gulasz z jagnięcia i ziemniaki. Kiedy już wszyscy mieli pełne talerze, zajęła miejsce w końcu stołu.

— Cieszę się, że cię widzę, dziewczyno — powiedziała do Kathleen. — Gdy osiągniesz mój wiek, sama się przekonasz, że krewni odwiedzają cię bardzo niechętnie.

— Również bardzo cieszę się z naszego spotkania — odparła Kathleen.

— A jaka jest pana specjalność? — zwróciła się do Keogha Mary.

— Chlubię się tym, że potrafię robić bardzo wiele rzeczy. — Zaczerpnął łyżką gulaszu, włożył go do ust i uśmiechnął się. — Ale takim kucharzem jak pani, nigdy nie zostanę.

Ryan odsunął od siebie talerz.

— Dołożyć jeszcze? — natychmiast spytała Mary Power. Ryan pokręcił odmownie głową.

— Nie, dziękuję, mam już ochotę tylko na herbatę.

Wstała od stołu i razem z Kathleen zaczęła znosić brudne talerze.

— O co tu chodzi? — zapytał nieoczekiwanie Keogh.

— Chodzi ci o sytuację Mary? — odparł Ryan. — To proste. Bardzo mi pomogła. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, dostanie sto tysięcy funtów. A to znaczy, że będzie mogła pocałować na pożegnanie to miejsce i wrócić do hrabstwa Down.

Kobieta nie odpowiedziała. Włożyła do zlewu talerze, sięgnęła po imbryk i zaczęła robić herbatę.

— Wszystko jest w jak najlepszym porządku — oświadczyła. — Ciężarówka czeka w stodole. Poza tym przewieźrzyłam chałupę w Marsh End i napaliłam w piecu. Ktoś musi tam pojechać.

Ryan skinął głową i odebrał z jej rąk kubek z mocną herbatą.

— Kathleen zostanie z tobą, a ja z Martinem przenocujemy w chacie.

— Doskonale. — Mary otworzyła blaszane pudełko i wyjęła z niego ciasto. — Spróbujcie, sama piekłam. Sięgnęła po nóż i zaczęła je kroić.

Przy wejściu do stodoły stał na podnóżku motocykl, na jego kierownicy wisiała czarna skórzana kurtka i kask. Keogh natychmiast rozpoznał markę maszyny.

— Ej, skąd masz taką ślicznotkę, Benny? — zapytał. — To terenowa montesa.

— Znasz ten model? — zainteresował się Ryan.

— Oczywiście. Hiszpański. Po kamieniach można nim się wlec nawet z szybkością ośmiuset metrów na godzinę.

— Naprawdę jest aż tak dobry? — wtrąciła się do rozmowy Kathleen.

— Jeśli człowiek jest pasterzem i pilnując swych stad porusza się w terenie górzystym — wyjaśnił Keogh — taka maszyna dowiezie go wszędzie. — Odwrócił się do Ryana. — Ty kupiłeś Benny'emu ten motor?

— Niezupełnie. Po części. Pomyślałem sobie, że przyda się do naszych celów. Później ci wszystko wyjaśnię. — I zwracając się do Mary, dodał: — Rzućmy okiem na ciężarówkę.

Mary popatrzyła na Benny'ego.

— Pokaż nam ciężarówkę, Benny.

Ten skwapliwie pokiwał głową i prawie pobiegł w głąb stodoły. Odgarnął kilkanaście snopów siana i sięgnął do ukrytego zamka. Rozchyliły się drewniane wrota. W przedłużeniu stodoły stał ogromny samochód pomalowany na zielono i biało.

Na bokach pojazdu widniały napisy „Shelby Meat Importers”.

— Czy to jest to, o czym myślę? — zapytał nieoczekiwanie Keogh.

— Dokładna replika samochodu, który zamierzamy zwędzić.

— Ale o co w tym chodzi?

— Pułapka, wabik. Benny porzuci go na szosie ciągnącej się wzdłuż wybrzeża. Drzwi zamkniemy na głucho i wszystko będzie jak w oryginalnym samochodzie. Policja trochę się namozoli, zanim dostanie się do środka. A to da nam więcej czasu, jeśli naturalnie będziemy go potrzebować, aby uciec z prawdziwą, niesamowitą McCoy.

— Bardzo pomysłowe. Ale czy Benny sobie z tym poradzi?

— Zdziwiłbyś się, jak Benny potrafi załatwiać sprawy, gdy w grę wchodzi silnik samochodowy. Ten chłopak mógłby startować nawet w wyścigach formuły pierwszej, ale jest niestety za duży na bolidy.

Na te słowa Benny z zadowoleniem pokiwał głową.

— Doskonale, wracajmy do domu, napijmy się herbaty, a potem Benny zawiezie nas, że tak się wyrażę, na pierwszą linię frontu.

Land rover zatrzymał się w miejscu, gdzie do ciągnącej się wzdłuż wybrzeża szosy dochodziła wąska lokalna droga idąca skrajem lasu. Ryan dał znak i wysiadł z samochodu. Za nim pospieszyli Keogh, Kathleen i Benny.

— A więc to tu? — odezwał się Keogh.

— Tak — odparł Ryan. — O szesnastej w piątek, plus minus kwadrans, wóz dostawczy znajdzie się na połączeniu tych szlaków. Daję ci na to słowo honoru. Wszystko bardzo dokładnie sprawdziłem.

— Nie rozumiem tylko jednego — zaczął Keogh. — W jaki sposób zamierzasz zatrzymać ten pieroński pojazd, kiedy już howler zajmie się systemami bezpieczeństwa zainstalowanymi w samochodzie?

— Bardzo trafne pytanie. — Ryan objął bratanicę w pasie. — Tu właśnie do akcji wkroczy Kathleen. Ale wszystko wyjaśnię wam w domu.

W drugiej stodole trzymano maszyny rolnicze, narzędzia i wszelkie urządzenia niezbędne do prowadzenia farmy. Znajdowała się tam również stara furgonetka marki Ford.

— Nie przystaniesz, jeśli jedziesz pustą szosą i nagle zobaczysz płonąca furgonetkę, a obok leżącą na skraju jezdni młodą dziewczynę z zakrwawioną twarzą? — zapytał Ryan.

— Jasne, że przystanę — odparł Keogh.

— No właśnie. I oni zrobią dokładnie tak samo. — Ryan znów objął Kathleen. — No, dziewczyno, będziesz miała szansę zdobyć Oscara.

— Nie zawiodę was.

— Jestem o tym głęboko przeświadczony. Wracajmy do domu. Tam wszystko szczegółowo wam wyjaśnię.

— Jak już wspominałem, wóz dostawczy dotrze do połączenia dróg w piątek mniej więcej o czwartej po południu.

Znajdowali się w kuchni. Mary i Kathleen usiadły przy stole, Ryan z Bennym zajęli miejsce przy drzwiach, a Keogh przy piecu.

— Ja z Kathleen pojedziemy na miejsce fordem — wyjaśniał Ryan. — Ty, Martin, pojedziesz za nami montesą. Zorganizowałem radiotelefony. Jeden weźmiesz ze sobą. Wyprzedzisz nas o kilka kilometrów i będziesz czekał na samochód dostawczy. Gdy go zobaczysz, dasz mi znać przez radiotelefon. Będziesz nazywał się „Orzeł Jeden”, a ja „Orzeł Dwa”.

— A później?

— Wyprzedzisz ciężarówkę i dołączysz do nas. Podpalimy forda i zajmiemy się Kathleen. Mam ze sobą trochę farby, za pomocą której aktorzy symulują krew. Wysmarujemy nią twarz Kathleen.

— Oni się zatrzymają... miejmy nadzieję, że się zatrzymają... a ty użyjesz howlera do spieprzenia elektronicznego zabezpieczenia samochodu.

— Tak, wtedy będą kompletnie odcięci od świata.

— A jeśli podejmą walkę?

— Nie ma problemu. Dysponujemy dwoma karabinami AK oraz granatami ogłuszającymi i gazowymi. Mam nawet semtex i zapalnik z przełącznikiem czasowym, a drzwi i tak

będą odblokowane dzięki howlerowi. W piętnaście minut po opuszczeniu przez nas farmy Benny wyjedzie repliką ciężarówka, porzuci ją na szosie, po czym piechotą wróci do domu.

— No dobrze, neutralizujemy strażników. Co dalej?

— Ty z Kathleen ruszycie montesą do przystani w Marsh End, a ja pojedę za wami ciężarówką.

— Dlaczego nie pojedziemy razem? — zapytał Keogh.

Ryan ponownie objął bratanicę.

— Ponieważ ciężarówka jest newralgicznym elementem całego przedsięwzięcia. Jeśli sprawy wezmą zły obrót, wszystko skrupi się na mnie. A nie chcę ciągnąć za sobą Kathleen. Jeśli sprawy pójdą źle, a wy zdołacie dotrzeć na „Irish Rose”, będziecie mieli szansę cało wyjść z opresji.

— I co o tym powiesz, Martin? — zapytała Kathleen.

— Że będzie to piekielny piątek — odparł krótko Keogh.

O zmierzchu, kiedy Hugh Bell siedział przy biurku na zapleczu pubu w Kilburn, nieoczekiwanie otworzyły się drzwi jego gabinetu i do środka zajrzał barman.

— Jacyś džentelmeni do pana — oznajmił.

W następnej sekundzie został brutalnie odepchnięty i do pokoju wkroczył ogromny mężczyzna w granatowym płaszczu przeciwdeszczowym. Ręce trzymał w kieszeniach.

— Wreszcie cię dorwałem, stary łobuzie.

— Scully! Czego chcesz?

— Nasz stary kumpel pragnie zamienić z tobą kilka słów.

Ustąpił z drogi, a przez próg przeszedł człowiek o drobnej posturze. Twarz miał szczupłą i wycieńczoną, na nosie okulary w drucianej oprawce. Ubrany był w filcowy kapelusz oraz płowy prochowiec.

— Pan Reid — stęknął Bell czując, że ma kompletnie sucho w ustach.

— Miło mi cię widzieć, Hugh. — Mężczyzna mówił z bardzo wyraźnym akcentem belfastskim. — Krążą o tobie różne pogłoski.

— Pogłoski? — zapytał Bell. — Nie rozumiem.

— Nie rozumiesz? — Reid zdjął kapelusz i przysiadł na

skraju stołu. — A mnie rada wojskowa przysłała tu aż z Belfastu.

— Czego ode mnie chcą?

Reid wyciągnął staroświecką, srebrną papierośnicę i wybrał z niej papierosa. Scully podpalił mu go zapalniczką.

— Nie pleć, Hugh. W zeszłym roku Michael Ryan przedstawił głupi plan odbicia w północno-zachodniej Anglii jakiegoś samochodu przewożącego sztabki złota. Nie zaprzeczaj, ponieważ i ty byłeś w to zaangażowany. Rada wojskowa zdecydowanie plan odrzuciła.

— To prawda — przyznał Bell. — Pamiętam, że coś takiego było.

— Nie opowiadaj głupot, Hugh. Szydło zawsze wychodzi z worka i natychmiast zaczynają krążyć plotki, że Michael organizuje tę robotę na własną grabę. — Uśmiechnął się blade. — To oczywiste, że jesteś człowiekiem, który o wszystkim wie. — Odwrócił się do Scully'ego. — Zgadzasz się ze mną?

— Naturalnie, panie Reid — odparł z przerażającym uśmiechem Scully.

Bell wiedział, że wpadł w srogie tarapaty, ale wiedział też, że wyznanie prawdy również nie wyjdzie mu na dobre. Zawsze, ilekroć pojawiał się na horyzoncie Scully, koniec bywał żałosny. Nie na darmo nazywano go Rzeźnikiem z Shankill. Bell zaczerpnął głęboko tchu i podjął natychmiastową decyzję.

— Jasne, nie zaprzeczam, że co nieco o tej sprawie wiem, panie Reid. Któregoś dnia pojawił się tu Michael, żeby przedyskutować pewne szczegóły.

— Dotarła do mnie wieść, że Michael zamierza uprowadzić ciężarówkę ze złotem. Czy to prawda?

— Cóż, taki był pierwotny plan przedstawiony radzie wojskowej.

— A następnie zamierza przetransportować ten samochód gdzieś do hrabstwa Down. Wiesz dokładnie dokąd?

— Na Boga, skąd mam to wiedzieć?!

— Scully — powiedział Reid.

Wielki mężczyzna wyciągnął z kieszeni browninga i postąpił krok do przodu.

— Nie musisz tego robić. Wiem, gdzie Ryan zatrzymał się w Londynie. Zaprowadzę was do niego.

Scully wyraźnie się odprężył, a Reid uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Bardzo rozsądna decyzja, Hugh.

— Poczekajcie, wezmę tylko płaszcz.

Bell przeszedł do sypialni, sięgnął po kurtkę, włożył ją, po czym szybciotko otworzył tylne drzwi, przebiegł przez korytarz, wypadł w alejkę ciągnącą się obok pubu i skręcił w główną ulicę.

W holu na farmie Folly's End zadzwonił telefon. Odebrała go Mary Power. Po chwili wróciła do kuchni i powiedziała do Ryana:

— Do ciebie. Bell.

Ryan wyszedł do holu i sięgnął po słuchawkę.

— O co chodzi, Hugh?

— Mamy kłopoty. Pojawił się u mnie Reid z polecenia rady wojskowej. Towarzyszy mu ten bydlak Scully. Michael, o wszystkim wiedzą, dotarły do nich plotki.

— Powiedziałeś im coś?

— Do licha, jasne, że tak. Chodziło przecież o moją skórę. Ale i tak znali cały plan. Przecież sam im go przedstawiłeś.

— W bardzo ogólnych zarysach, Hugh. Nie wspomniałem słowem o Folly's End ani nie sprecyzowałem celu, a sam pomysł z barką był wówczas bardziej niż mglisty. Czy mówiłeś im o „Irish Rose”? Czy powiedziałeś, że jedziemy do Kilalli?

— Oczywiście, że nie.

— To dobrze. Ciągniemy zatem wszystko, jakby nic się nie stało. A tymczasem dobrze chowaj twarz i oglądaj się za siebie. I zaszyj się pod ziemią.

Odłożywszy słuchawkę, Ryan stał jeszcze w holu długą chwilę, palił papierosa i głęboko się zastanawiał. Nie było sensu nikogo niepokoić. Nie było najmniejszego sensu.

Wrócił do kuchni.

— Hugh Bell — poinformował. — Nic ważnego. —

Przesłał Keoghowi uśmiech. — Zostanę jednak na farmie na wypadek, gdyby były jeszcze inne telefony od Hugh'a. Dzisiejszą noc spędzisz w chałupie w Marsh End sam. Tutaj nie ma miejsca. Weź forda.

— W takim razie jadę. — Keogh dokończył herbatę i wstał. — Do zobaczenia rano.

Bell nie wiedział, dokąd iść. Chwilę się wahał, po czym wkroczył na jezdnię, żeby przejść na drugą stronę Kilburn High Street. W tej samej chwili pojawił się model starej limuzyny Mercedes. Za kierownicą siedział Scully, obok niego Reid.

— To on, przechodzi przez jezdnię — powiedział Reid. — Walnij go.

Scully nacisnął pedał gazu. Ryk silnika spowodował, że zaalarmowany Bell odwrócił się. Próbował uciec i skryć się w deszczu. Jadący z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę mercedes uderzył go, cisnął nim w rysztoł i odjechał.

Jakaś kobieta wrzasnęła, zaczęli gromadzić się gapie. Umundurowana policjantka przepchnęła się przez tłum, ale zanim uklękła obok Hugh'a Bella, ten już nie żył.

4

Ranek był zimny i mroczny, wierzchołki gór spowijały ciężkie chmury. Po śniadaniu Ryan siedział przy stole, popijał herbatę i rozmyślał o Bellu, Reidzie i tym bydłaku Scullym. Dopóki nie dostaną Bella, Ryanowi nic z ich strony nie zagraża. Pierwotny plan przedstawiony radzie wojskowej opierał się na ogólnym i bardzo mglistym pomysłe. Powiedział wtedy tylko tyle, że wie o samochodzie przewożącym gdzieś w północno-zachodniej Anglii sztabki złota, że można ten samochód porwać i wywieźć morzem do Ulsteru. Tak więc bez Bella Reid tkwi w ślepych zaułku.

Postanowił zaryzykować, przeszedł do holu i wykręcił numer pubu „William & Mary”. Barman odebrał prawie natychmiast.

— Angus, tu Ryan. Chciałbym prosić Hugh'a na słówko. Kręci się gdzieś w pobliżu?

— Hugh nie żyje, panie Ryan. Wczoraj wieczorem zginął na Kilburn High Street.

— Co się stało?

— Gdy przechodził przez jezdnię, potrącił go samochód. Kierowca zbiegł. Policja odnalazła porzucony wóz kilka przecznic dalej.

— Wiadomo już, kto był w tym aucie?

— Przed godziną dzwonił sierżant z policji. Oświadczył, iż samochód przed rokiem skradziono w Hampstead. Sądzi, że trzymano go w jakimś garażu.

— Oj, to straszne nieszczęście.

- To prawda, panie Ryan. Czy pan tu przyjedzie?
- Nie. Mam do załatwienia bardzo ważną sprawę.
- Cóż, jeśli powie mi pan, gdzie pan jest, i poda mi swój numer telefonu, będę pana informować na bieżąco.

Co za dużo to niezdrowo — pomyślał Ryan i uśmiechnął się pod nosem.

— Muszę już kończyć... aha, jeszcze jedno, Angus. Daj mi do telefonu pana Reida.

— Pana Reida? Nie rozumiem.

— Przestań chrzanić i dawaj go.

Reid, który stał obok Angusa i śledził przebieg rozmowy, odebrał słuchawkę i pchnął barmana w stronę Scully'ego.

— Michael, synu. Nie sądzisz, że najwyższy czas zacząć zachowywać się rozsądnie?

— Kto siedział za kierownicą, ty czy Scully? Zresztą nieważne. W stosownym czasie przerobię was na mięso.

— Zawsze miałeś w sobie dużo z aktora teatralnego, Michael. Zatem chcesz zrealizować ten swój poroniony plan?

— Żegnaj, Reid — powiedział Ryan i odłożył słuchawkę.

Otworzył tylne drzwi wyjściowe, zapalił papierosa i spoglądając w zasnuty deszczem krajobraz, rozmyślał o Hughu Bellu, długoletnim przyjaciolem i towarzyszu broni. W każdym razie Scully nie będzie miał okazji wydusić z niego prawdy. I tylko to stanowiło niejaka pociechę.

Z kuchni wyrzała Kathleen.

— A, tutaj jesteś. Wszystko w porządku?

— Jasne.

— Pomyślałam sobie, że byłoby dobrze zawieźć Martinowi do chaty jedzenie. Zawiezie mnie tam Benny.

— Doskonale. Ja muszę jeszcze raz wszystko dokładnie poukładać sobie w głowie. Jedź.

— Do zobaczenia.

Zniknęła w kuchni, Ryan zaś wpatrując się w deszcz zaczął rozmyślać o Reidzie i Scullym. Teraz wrócą do domu, bo w Londynie nic już ich nie trzyma. Między Ryanem a nimi dojdzie do starcia, musi dojść, ale wszystko w stosownym czasie.

Pomyślał o Reidzie, człowieku w okularach w drucianej

oprawie, z obliczem przypominającym czaszkę, pomyślał o jego przerażającym uśmiechu.

— Ty nędzny gnoju — powiedział cicho. — Chciałbyś złoto zagarnąć dla siebie, prawda? Ale prędzej spotkamy się w piekle, niż do tego dopuszczę.

W niewielkiej chacie Keogh nie pofatygował się nawet posłać łożka. Po prostu rozpałił w piecu i legł na posłaniu. Spał wyjątkowo dobrze, obudził się o siódmej i nastawił imbryk.

Stanął w otwartych drzwiach, spojrzął w zamazany deszczem krajobraz i po prawej stronie dostrzegł strumień. Pod wpływem impulsu wrócił do chaty, rozebrał się, z maleńkiej łazienki zabrał ręcznik i nago przebiegł podwórko.

Zawiesił ręcznik na krzaku i wskoczył do strumienia. Przepłynął szybko na drugą stronę i wszedł w sitowie, płosząc dzikie ptactwo, które z donośnym krzykiem, chmurą wzbilo się w sine, deszczowe niebo. Woda była zimna, dodawała energii.

— Cóż za wspaniały początek dnia — powiedział cicho Keogh, po czym wskoczył do potoku, przepłynął na drugi brzeg i sięgnął po ręcznik.

Wrócił do chaty, energicznie wytarł się puszystym ręcznikiem, włożył ubranie i zaparzył herbatę. W spizarnce znalazł mleko, chleb, jajka i bekon. Stał właśnie, siorbiąc herbatę, i zastanawiał się, czy nie powinien przygotować śniadania, kiedy z podwórka dotarł do niego odgłos silnika samochodowego. Wyjrzał przez okno i dostrzegł land rovera, a w nim Benny'ego i Kathleen.

W Londynie, w pubie „William & Mary”, Reid i Scully rzeczywiście zbierali się do wyjazdu. Mimo że dokładnie przeszukali niewielki gabinet Bella, nie natrafili w nim na żaden ślad.

— Nic, panie Reid — odezwał się Scully. — Co robimy?

— Jedziemy do Belfastu — odparł Reid. — Nie przejmuj

się. Ryan musi kiedyś wrócić do domu, bo nie ma takiego miejsca, gdzie by się ukrył. Uzbrójmy się w cierpliwość, a w końcu dorwiemy drania. — Podniósł głos. — Angus, chodź tutaj.

Do pokoju wkroczył na chwiejnych nogach barman.

— Słucham, panie Reid.

— Czy coś... czy jest jeszcze coś, o czym chciałbyś nam powiedzieć?

— Pojechali pociągiem, tylko tyle wiem. Wspominali o ekspresie do Glasgow.

— Glasgow? — zdziwił się Scully. — Po co mieliby tam jechać?

— Nie do Glasgow, baranie. Ta linia przebiega przez północno-zachodnie rejony kraju. Wysiedli gdzieś po drodze. — Odwrócił się do Angusa. — Coś jeszcze?

— Chyba nic... — Twarz barmana nieoczekiwanie pojaśniała. — O, tak. W zeszłym tygodniu podsłuchałem rozmowę, jaką pan Bell prowadził przez telefon. Dzwonił do jakiegoś biura okrętowego. Chciał wyczarterować płaskodenną barcę. Taką, którą można przewozić ciężarówki. Później mówił coś o „Irish Rose” i kapitanie Tullym. Była to rozmowa miejscowa... — Angus skinął głową. — Tak, o tym właśnie mówił.

— Czy przy jakiejś innej okazji wymienił jeszcze tę nazwę?

— Tuż przed ich wyjazdem byłem w spiżarni i sprawdziłem butelki. Usłyszałem, że Ryan powiedział do Bella, iż „Irish Rose” jest już w drodze i że spotkają się z nią w piątek rano.

— Wspominał gdzie?

— Nic, na ten temat nie padło ani jedno słowo.

— W porządku — mruknął Reid. — Masz numer mojego telefonu. Jeśli coś jeszcze obije ci się o uszy, natychmiast dzwoń do Belfastu.

— Tak, proszę pana.

— I jeszcze jedno, trzymaj gębę na kłódkę. Spraw mi tylko jakieś kłopoty, a przyślę tu Scully'ego. Znajdą cię w Tamizie z oderzniętymi jajami.

Reid ruszył do drzwi, a śmiertelnie przerażony Angus ustąpił mu z drogi. Scully poklepał barmana po policzku.

— Dobry chłopiec. Ale pamiętaj słowa pana Reida — powiedział i wyszedł z pokoju.

Keogh, siedząc przy końcu stołu, jadł kanapki z szynką, które przywiozła Kathleen. Dziewczyna z kubkiem herbaty w dłoniach zajęła miejsce naprzeciwko niego. Benny wrócił na farmę.

Martin skończył śniadanie i zapalił papierosa.

— Jak leci? — zapytał. — Jakie nastroje?

— Chodzi ci o naszą robotę? — Kathleen wzruszyła ramionami. — Doskonale. Robiłam już dla stryja Michaela podobne rzeczy, niebezpieczne rzeczy. Potrafię sama o siebie zadbać.

— W twoim wieku jeszcze nie powinnaś. — Keogh wstał od stołu. — Chodź, łyknijmy trochę świeżego powietrza.

Unosząca się mgła sprawiała, że otaczający ich świat był dziwny, obcy i posępny. Po obu stronach strumienia rosło sitowie, na błotnistych płycznach bulgotała woda, a kiedy posuwali się szerokim traktem, po obu jego stronach zrywało się dzikie ptactwo i głośno protestowało przeciw zakłócaniu mu spokoju.

— Bardzo osobliwe miejsce — stwierdził Keogh.

— Tak, ale nie jestem pewna, czy mi się podoba. — Zmarszczyła brwi. — Okolica działa mi na nerwy i ogarnia mnie dziwny niepokój.

— Rozumiem, o co ci chodzi.

Dotarli do przystani i tam się zatrzymali. Właśnie był odpływ, więc opadająca woda odsłaniała skorodowane żelazne dźwigary.

— Zastanawiam się, po co ją w tym miejscu wybudowano — odezwała się Kathleen.

— Bóg raczy wiedzieć. Tę przystań zbudowano bardzo dawno. Sądząc po wyglądzie, jeszcze w czasach wiktoriańskich. Ale wciąż sprawia bardzo solidne wrażenie.

Ruszyli przystanią, fale z głuchym, tępyym odgłosem biły w stalowe podpory. W pewnej chwili balustrada urywała się i sam koniec przystani był nie zabezpieczony. Keogh

zerknął za kamienną krawędź i w płytkiej wodzie dostrzegł granitowe bloki.

— Oto masz odpowiedź na swoje pytanie — powiedział. — Kiedyś transportowano stąd granit.

— Rozumiem.

Kathleen stała z dłońmi zaciśniętymi na poręczy i patrzyła w morze; dziwacznie żałosna postać ubrana w przeciwdeszczowy płaszcz i берет.

Keogh przystanął obok niej i oparł się o balustradę.

— Czego ty właściwie chcesz, Kate? — zapytał. — Czego tak naprawdę chcesz od życia?

— Bóg raczy wiedzieć. Zawsze znałam tylko Kłopoty. Zaczęły się, ledwie się urodziłam. Znam jedynie huk wybuchających bomb i zabijanie. Moja rodzina, moi przyjaciele, wszyscy zginęli. — Twarz miała bladą. — Człowiek powinien cieszyć się życiem, ale ja wokół siebie widzę tylko śmierć. Czy to, co mówię, ma dla ciebie jakikolwiek sens?

— Wielki — skinął głową Keogh. — Przerazający świat, a ty jesteś taka młoda.

Wybuchnęła śmiechem.

— Ty też nie jesteś staruszczykiem z siwą brodą.

— Jestem bardzo stary; mam trzydzieści trzy lata — odparł i również wybuchnął śmiechem.

Za ich plecami rozległy się czyjeś kroki. Obejrzeni się i dostrzegli idącego w ich stronę Ryana.

— Co za parszywy dzień — stwierdził Michael.

Keogh wskazał wodę.

— Miejmy nadzieję, że jutro przypływ nastąpi o odpowiedniej porze.

— Nastąpi. Sprawdziłem to dokładnie. Wtedy będzie tu naprawdę głęboko. — Wyciągnął papierosa. — Aha, jeszcze jedno. Hugh Bell nie żyje.

— Wielki Boże! — wykrzyknęła Kathleen. — Co się stało?

Ryan wyjaśnił.

— Jak już pojawisz się z samochodem dostawczym, Reid nie będzie w stanie tknąć cię nawet palcem — powiedział w drodze powrotnej Keogh. — Zgoda, może wasza rada wojskowa nie lubi, jeśli jej ludzie postępują po swojemu i działają bez rozkazów, ale staniesz się dla niej cholernym bohaterem. Gdy usłyszą o złocie, przywitają cię z otwartymi ramionami.

— Miejmy nadzieję. Ale ja myślę o Reidzie. Jeśli mnie instynkt nie myli, chciałby to złoto zagarnąć dla siebie.

— Niech się pieprzy! — mruknęła ze złością Kathleen.

— Wyrażaj się — burknął Ryan.

— Skoro nie wie o Kilalli, nie może nam w niczym zagrozić — zauważył rozsądnie Keogh.

— Kiedy wylądujemy nie, ale później — powiedział Ryan i wzruszył ramionami. — Kto to zresztą może wiedzieć? Tak czy siak, wracajmy na farmę. Land rovera zostawiłem przy chałupie.

O trzynastej Mary Power wniosła prosty obiad: zupełną jarzynową, sałatkę serową i nieodłączną herbatę. Później, gdy już sprzątnęła ze stołu, powiedziała do Benny'ego:

— Nie zapominaj o swoich obowiązkach. Trzeba dojrzeć owce na północnym pastwisku.

Benny skwapliwie pokiwał głową, naciągnął czapkę i wyszedł. W chwilę później stojący przy oknie Keogh ujrzał go przechodzącego przez podwórko, z peleryną zarzuconą na ramiona i psem przy nodze.

— Ten chłopak to doskonały robotnik. Powiem mu o tym.

— Ale umyślowo to dziecko — odrzekła Mary. — Zrobi wszystko, co mu się powie.

Ryan dokończył herbatę i wstał od stołu.

— Chciałbym jeszcze raz zerknąć na miejsce, gdzie zastawimy pułapkę. Zabiorę tam Kathleen fordem, a ty jedź za nami montesą. Weźmiesz ze sobą radiotelefon. Kiedy dotrzemy na miejsce, dam ci znać, a ty pojedź z pięć kilometrów w górę szosy i stamtąd się ze mną skontaktujesz.

Pamiętaj, co ci mówiłem. Twój sygnał wywoławczy to „Orzeł Jeden”, a mój „Orzeł Dwa”.

— Rozumiem — odparł Keogh.

Gdy ford skręcił w drogę prowadzącą w dół doliny Eskdale, Ryan przekazał kierownicę Kathleen. Dziewczyna zerknęła na stryja.

— Wiesz, że nie mam prawa jazdy. Jestem niepełnoletnia.

— Ale od czternastego roku życia prowadzisz samochody, jakbyś się urodziła za kółkiem. Pamiętam noc, kiedy w pobliżu Kilkelly dostałem kulę i rozbiłem samochód.

— I zadzwoniłeś do mnie z przydrożnego automatu, żebym przysłała po ciebie chłopców.

— A ty pojawiłaś się osobiście i w dodatku kradzionym samochodem.

— No dobrze, ale kto nauczył mnie uruchamiać samochody za pomocą krótkiego spięcia?

— Ja i bardzo się tego wstydzę. — Wybuchnął śmiechem. — A poza tym stan, w jakim mnie znalazłaś. Przemoczony do suchej nitki, w cuchnącej wodzie w przydrożnym rowie i z kulą w ramieniu. Roztrzaskałaś po drodze szlaban postawiony przez RUC.

— To były piękne czasy, stryju Michaelu.

— Co ty powiesz? — Zapalił papierosa i otworzył okno. — Czasami wcale nie jestem o tym przekonany. Chyba się starzeję. — Nieoczekiwanie się uśmiechnął. — Ale jedno wiem na pewno. Jesteś wyjątkową dziewczyną, Kathleen, i zasługujesz na lepszy los. Do cholery jasnej, mogłabyś wcześniej wstąpić na uniwersytet.

— Och, zamknij się — odparła. — Czekają mnie w życiu ważniejsze rzeczy niż studia.

Ryan przetrawiał w myślach słowa dziewczyny. W końcu dotarli do połączenia dróg i Kathleen zatrzymała samochód.

Keogh trzymał się dwieście metrów za fordem. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę i kask. Mimo zacinającego

deszczu czuł ogromną, rozpierającą go radość z jazdy motorem, a maszyna zdawała się odwzajemniać jego uczucia.

Ford przystanął na placyku parkingowym obok szosy kilka metrów za połączeniem dróg. Keogh podniósł w pozdrowieniu zaciśniętą pięść i pojechał dalej.

Ryan siedział w furgonetce, w dłoni trzymał radiotelefon i przez otwarte drzwi spoglądał na placyk.

— To doskonałe miejsce. Ostatecznie nie zamierzamy tak dokładnie blokować szosy płonącym fordem, żebym nie mógł później wyminąć go chłodnią.

W tej chwili w radiotelefonie zaskrzeczał głos Keogha.

— Orzeł Dwa, tu Orzeł Jeden. Słyszysz mnie?

— Głośno i wyraźnie — odrzekł Ryan. — Co u ciebie?

— Nic. Ptaki, morze i ten przekłęty deszcz. Mogę już do was wracać?

— Spotkamy się na farmie. Skończyłem.

Ryan wyłączył radio i uśmiechnął się do Kathleen.

— Obejrzałem już wszystko, co chciałem, dziewczyno. Możemy wracać do Folly's End.

O dziewiętnastej Mary Powers podała kolację: pieczone jagnię, ziemniaki, marchewkę i kapustę. Keogha niebywale fascynowało, ile jedzenia potrafi pochłonąć Benny.

— Jezu Chryste, można by pomyśleć, że to jego ostatni posiłek w życiu — stwierdził.

— Skoro pracuje za trzech, ma prawo za trzech jeść — odparła Kathleen.

— Ale nie powinien zapominać o dobrych obyczajach — stwierdziła Mary i trąciła Benny'ego w dłoń drewnianą łyżką. — Bądź dobrym chłopcem i idź wydoić owce.

Benny włożył czapkę i chwycił pajdę chleba z wielkim kawałkiem sera.

— Dobrze, ciociu — wymamrotał i wyszedł.

— Przejdźcie do salonu, tam podam herbatę — zarządziła Mary.

Kathleen Ryan zaczęła sprzątać ze stołu, lecz Keogh przerwał jej tę czynność i oświadczył kategorycznym tonem:

— Dziś moja kolej. Ty zajmij się stryjem. Dobra z ciebie dziewczynka.

— Sam jesteś dobrą dziewczynką — odburknęła, ale posłusznie ruszyła za Ryanem do salonu.

— Żaden Irlandczyk nie zgłosiłby się na ochotnika do pracy, która należy do kobiety — przerwała panujące w kuchni milczenie Mary Power. — Wnoszę z tego, że chce pan ze mną porozmawiać w cztery oczy.

— Coś w tym rodzaju — odparł Keogh i zaczął znosić talerze ze stołu. — Czy, jak dotąd, jest pani szczęśliwa?

— Szczęśliwa? — Napełniła zlew ciepłą wodą i włożyła do niej talerze. — Zapomniałam już, co to słowo znaczy. Przybyliśmy tu wraz z mężem pełni nadziei, ale okazało się, iż w Folly's End tylko się umiera. W Folly's End bardzo trudno utrzymać się przy życiu. Ta kraina to surowa władczyni.

— Przekonałem się o tym na własne oczy.

— Tak więc, gdy pojawił się u mnie Michael i powiedział, co zamierza zrobić, było to tak, jakby ktoś tonącemu rzucił linę. Kiedy już zdobędziecie to złoto, zabiorę Benny'ego i wrócę do Ulsteru.

— A jeśli się nam nie uda?

— Ugrzęźniemy tu na zawsze. Michael zapewnił mnie, że bez względu na to, co się wydarzy, policja nie będzie mnie nękać. Nie prowadzą do mnie żadne tropy.

— I przy odrobinie szczęścia tak już zostanie.

— Miejmy nadzieję. Polityka nic mnie nie obchodzi, ale Michael jest dobrym człowiekiem i ufam mu.

Keogh opuścił kuchnię i przeniósł się do salonu. Dziewczyna siedziała przy oknie zagłębiona w lekturze *The Midnight Court*. Ryan przy kominku skończył właśnie nabijać fajkę i zapalał ją węgielkiem wyjętym z ognia.

— Mary to dobra kobieta — stwierdził Keogh. — I ciężko doświadczona przez los.

— Najciężej — uściślił Ryan. — Ale jeśli Bóg pozwoli, nadejdą jeszcze dla niej lepsze czasy. Zanim dostaniemy herbatę, sprawdzmy broń w stodole.

— Nie mam nic przeciwko temu.

— A ja? — zapytała Kathleen. — Również chcę wypróbować colta, którego dostałam od pana Bella.

— W porządku, wypróbujesz i ty — zgodził się Ryan, lecz w tej samej chwili do salonu weszła Mary Power z kubkami herbaty na tacy.

Później w kiepsko oświetlonej stodole Keogh i Ryan wyciągnęli broń z wielkiej torby Michaela. Były tam dwa karabiny AK, zapasowe magazynki, granaty gazowe i ogłuszające oraz semtex z zapalnikami czasowymi. Znalazł się nawet dodatkowy walther w skórzanej kaburze przypinanej do kostki.

Keogh sięgnął po pistolet.

— Skąd to masz?

— Och, pomyślałem, że może się przydać. Zawsze lubię mieć jakiegoś asa w rękawie — odrzekł Ryan.

Keogh sprawdził dokładnie każdy AK, przesuwając fachowo palcami po różnych elementach broni. Naładował jeden z karabinów i przekazał go Ryanowi.

— To tłumik najnowszej generacji — powiedział. — Jest świetny. Wypróbuj.

Z głębi stodoły przyniósł deskę, oparł ją o stertę siana i wrócił do Michaela. Kathleen i Ryan w milczeniu obserwowali jego czynności.

Ryan uniósł karabin i oddał trzy strzały. Rozległ się znajomy trzask broni z tłumikiem, a w desce pojawiły się trzy otwory.

Keogh naładował drugiego AK i również podał go Ryanowi.

— Teraz sprawdź ten egzemplarz.

Ryan trzykrotnie nacisnął spust równie celnie jak poprzednio. Opuścił broń i położył ją na stole zrobionym z szerokiej deski wspartej na drewnianych koziołkach.

— W porządku — oświadczył.

Do przodu wystąpiła Kathleen z automatycznym coltem .25 w dłoni.

— Teraz moja kolej.

Uniosła rewolwer w obu rękach, dokładnie wymierzyła i nacisnęła spust. Obok deski wzbił się w powietrze kłęb siana.

— Spróbuj jeszcze raz — poradził Keogh.

Choć na jej twarzy odmalował się gniew, ponownie wycelowała i strzeliła. Z podobnym rezultatem.

Wpadła w furję.

— Posłuchaj, większość ludzi nie potrafi z rewolweru trafić w drzwi stodoły, więc cóż dopiero mówić o sercu — odezwał się uspokajająco Keogh. — Chodź ze mną. — Przystanęli dwa lub trzy metry od deski. — Na twoim miejscu nigdy nie próbowałbym z tej broni strzelać z większej odległości. A teraz po prostu wyceluj i naciśnij spust.

Pierwsza kula trafiła w sam skraj deski, odłupując drzazgę; druga utkwiała już w środku celu.

— Znacznie lepiej — pochwalił Keogh. — Ale najlepszy rezultat uzyskasz, przykładając lufę do celu.

Odwrócił się i podszedł do śmiejącego się serdecznie Ryana. Chichotał nawet Benny; a to już doprowadziło Kathleen do szewskiej pasji.

— A ty co? — wrzasnęła na Keogha. — Masz całą gębę porad dla innych, ale sam nic nie pokazałeś!

Keogh odwrócił się, twarz miał spokojną, lecz dopiero teraz Kathleen po raz pierwszy zauważyła, jak bardzo lodowato patrzającego oczy. Jego dłoń błyskawicznie powędrowała pod kurtkę na plecy, wyrwał walthera i sześciokrotnie nacisnął cyngiel. Deska w chmurze drzazg rozpadła się na połowy, które przewróciły się, każda w inną stronę.

Mimo że pistolet zaopatrzony był w tłumik, Benny zasłonił rękami uszy, a w oczach Kathleen odmalowało się zdumienie. Keogh bez słowa wyciągnął pusty magazynek i wsunął nowy.

— Koniec lekcji — przerwał ciszę Ryan. — Idziemy do łóżek. Jutro czeka nas piekielny dzień.

Około czterech mil na południe od Marsh End i pięciu od głównego wybrzeża płynęła „Irish Rose”, kołysząc się gwałtownie na wzburzonym morzu. Wiatr wiał z siłą cztery

do pięciu. W sterówce za kołem stał Niemiec Muller. Tully siedział przy stole nakresowym, przed sobą miał tekturowe pudło. Wokół niego tłoczyła się załoga.

— Mamy tu siedem czy osiem pistoletów, więc niech każdy wybierze coś dla siebie. Chcę, żebyśmy wszyscy byli uzbrojeni.

— W sam raz dla mnie — oświadczył Dolan, sięgając po smith & wessona .38.

Pozostali również wybrali broń.

— Kiedy dotrzemy do celu? — zapytał Jock Grant, mechanik.

— Około jedenastej rano, ale nie jestem pewien. Nie znam Marsh End, więc nawigacja nie będzie prosta i musimy się tam dostać na fali przypływu.

— I co dalej? — zapytał Dolan.

— Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Kiedy po raz pierwszy rozmawiałem z Bellem, powiedział mi, żebyśmy byli gotowi do podniesienia kotwicy późnym popołudniem. Oświadczył też, że wtedy właśnie zacznie się odpływ i dlatego synchronizacja wszystkiego w czasie jest tak niebywale istotna. Dobijemy do przystani i poczekamy. Gdy pojawi się Ryan, sfinalizujemy całą rzecz.

— Ale po tym, co się wydarzyło, zapewne będzie spodziewać się kolejnych kłopotów — odparł Dolan.

— Posłuchaj, on nie ma wyboru. Ze zdobytą ciężarówką musi natychmiast wynosić się z Anglii. Wyjaśnię mu, że wszystko to okazało się zwykłym nieporozumieniem, że nic nie kombinowałem i że teraz już zamierzamy zachowywać się uczciwie. A to, co się stanie na morzu, to już całkiem inna sprawa.

— Ale ten mały Keogh jest narwany i bardzo niebezpieczny — odrzekł Dolan. — Zobacz, co ci zrobił z uchem.

— Nigdy o niczym nie zapominam, ale nas jest pięciu, a ich dwóch i dziewczyna. Ona jest najważniejsza. Jeśli dostaniemy ją w ręce, Ryanowi natychmiast zmięknie rura, spuści z tonu i ulegnie. Musimy to zrobić na morzu. Do wybrzeży Irlandii dotrzemy dopiero o świcie. Do tego czasu coś wymyślę, ale jak już raz zaczniemy, nie będzie odwrotu.

— Czy ja wiem? — powiedział z wahaniem Bert Fox. — Sprawa zaczyna cuchnąć.

Tully wybuchnął dzikim gniewem.

— To największy zarobek, jaki nam się w życiu trafia! Wchodźcie w interes, czy nie? Zastanówcie się.

— Jesteśmy z tobą, panie Tully — odparł za pozostałych Dolan. — Nie ma sprawy. Prawda, chłopcy?

Pozostali przytaknęli chórem.

— No to do roboty!

Wszyscy zgodnie opuścili sterówkę, zostawiając w niej tylko Mullera przy kole. Tully wyszedł na mostek i zapatrzył się w mrok. Dotykając zabandażowanego ucha, które wciąż bolało go jak sto diabłów, rozmyślał o Keoghu. Rozmyślał o tym, co skurwysynowi zrobi, gdy nadejdzie stosowna pora.

5

Następnego ranka Keogh obudził się o siódmej. Pogoda była jeszcze gorsza. Nad bagnami wisiał ciężki opar mgły, a z nieba nieustannie lały się strugi deszczu.

Martin wypił filiżankę herbaty, włączył stojące na parapecie okna tranzystorowe radio, nastawił je na poranne wiadomości BBC i zaczął się golić nad kuchennym zlewem. Kiedy mył już twarz, zaczęła się prognoza pogody. Uważnie jej wysłuchał. Na Morzu Irlandzkim szalał wiatr w skali trzy do czterech, lał deszcz i zalegała gęsta mgła.

A zatem stało się najgorsze. Dokończył herbatę i zaczął się ubierać, kiedy zza okna dobiegł dźwięk samochodowego silnika. Włożył buty i podszedł do okna. Ujrzał wysiadającą z forda Kathleen.

Zdjął z haka dwurzędową kurtkę i otworzył drzwi.

— Kolejny parszywy dzień! — przywitał dziewczynę pogodnym tonem.

— Pomyśleliśmy, że z przyjemnością zjesz normalne śniadanie. Przyjechałam cię nakarmić.

— Nie śniadanie mi teraz w głowie — odparł, zajmując fotel pasażera. — Najpierw pojedźmy na przystań. Chcę wiedzieć, jak się tam rzeczy mają.

— Mnie to odpowiada.

Ruszyli szerokim traktem, dojechali do przystani. Keogh wysiadł z auta i zerknął do wody.

— W tej chwili ma tylko metr głębokości — stwierdził. — Chyba ciągle trwa odpływ.

— Czy to źle?

— Nie wpłyną. Ale około wpół do jedenastej powinien się zacząć przypływ. — Popatrzył na morze. — Ta cholerna mgła zakrywa wszystko. Może „Irish Rose” znajduje się już w zasięgu wzroku, ale mu jej nie widzimy. — Nieoczekiwanie się uśmiechnął i ścisnął dziewczynę za ramię. — Nieważne, wszystko będzie dobrze. Intuicja mi to mówi. A teraz wracajmy na obiecane śniadanie.

„Irish Rose” rzeczywiście rzuciła kotwicę w odległości mili od maleńkiego portu. Przy sterze ciągle czuwał Muller. Tully nie opuszczał mostka, a obok niego bezmyślnie gapił się w mgłę Dolan.

— Przekłęta pogoda — mruknął. — Nic nie widać. Może ta przystań jest zupełnie gdzieś indziej?

— Do licha, wiesz przecież, że na niczym się tak nie znam jak na nawigacji — odwarknął Tully. — Nie, poczekamy na przypływ i wtedy ruszymy. — Odwrócił się gwałtownie w stronę Dolana. — Nic nie powstrzyma mnie przed położeniem łapy na tej ciężarówce. Nic.

Powiedziawszy to, poszedł do sterówki.

Mniej więcej o wpół do jedenastej Keogh z Ryanem siedzieli w stodole i po raz ostatni dokładnie przeglądali broń. Martin sięgnął po walthera w kaburze przypinanej do kostki.

— Mogę go wziąć? — zapytał. — Ja też lubię mieć asa w rękawie.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

— Założę go przed samym wyjściem — oświadczył chowając broń do kieszeni kurtki.

— Wszystko inne załadujemy do tej dużej torby — wyjaśnił Ryan. — Zabiorę ją do ciężarówki.

— Aby wyrzeć odpowiednie wrażenie na naszym koleźce Tullym?

— Właśnie.

Do stodoły zajrzała Kathleen.

— Wezmę fordą i pojedę z Bennym do Marsh End —

poinformowała. — Zaginęło mu kilka owiec i sądzi, że zabłąkały się gdzieś we mgle.

— W porządku — odparł Ryan. — Ale jeśli zobaczycie „Irish Rose”, nie pokazujcie się załodze. Za chwilę wybieram się tam z Martinem.

— No to do zobaczenia — mruknęła Kathleen i wyszła.

Dziewczyna wysiadła z forda przed chatą i ruszyła z Bennym w głąb moczarów. Nieustannie padało, nad ziemią unosiła się gęsta mgła. Nieoczekiwanie dobiegło ich żałosne beczenie owcy. Benny przystanął, jego twarz przybrała zdumiewająco czujny wyraz, ale po chwili wielkolud uśmiechnął się, skinął głową i bardzo żwawo jak na swoją posturę ruszył w stronę, skąd dobiegał głos zwierzęcia. Kathleen bez wahania ruszyła za nim.

Znaleźli pięć owiec. Stały po brzuchy w wodzie, bezradne i nieszczęśliwe, jak mogą być tylko żywe stworzenia. Benny roześmiał się, przebrnął potok, dźwignął jedną owcę i przeniósł ją na suchy ląd.

— Dobrze — powiedział.

Kathleen skinęła głową.

— Pójdę na przystań — oświadczyła i odwróciła się, Benny zaś brnął po następne zwierzę.

Drogę spowijała lepka, zawieszona mgła. Gdzieś zaszczekał pies i nieoczekiwanie z burego oparu wyłoniła się rufa zacumowanej w przystani „Irish Rose”. Ponieważ przyплыw dopiero się zaczął, stan wody był stosunkowo niski i z barki nie zrzucano jeszcze rampy wjazdowej. Na skraju przystani stał mniej więcej dwunastoletni chłopiec w anoraku z kapturem i przyglądał się przybyszom. Dzieciak trzymał wędkę, a przy nodze kręcił mu się terier.

Na tle rufy wyraźnie odbijał się napis „Irish Rose”. Gnane ciekawością dziecko podeszło jeszcze bliżej, żeby lepiej się przyjrzeć barce. W tej samej chwili przez reling przeskoczył Tully.

— Czego tu szukasz, szczyłu?

Chwycił chłopca za anorak i potężnie potrząsnął. Kathleen Ryan biegiem ruszyła w ich stronę.

— Puść go, bydlaku! — wrzasnęła.

Wpadła na Tully'ego, który zdumiony puścił chłopaka. Dzieciak odwrócił się na pięcie i pobiegł przystanią, za nim pies.

Z kolei Tully chwycił za nadgarstek dziewczynę.

— A, to ty, prawda?

— Zostaw mnie!

Uderzyła go w twarz, lecz w tej samej chwili na rufie pojawili się rozradowani Dolan i Fox.

— Mamy naszą perełkę, kapitanie! Trzeba jej zrobić małe kuku. Poradzisz sobie, czy mamy ci pomóc?

Kathleen ponownie wyrznęła Tully'ego w twarz i tym razem już kapitan wpadł w złość.

— Ty mała kurwo. Już ja cię nauczę rozumu.

Chwycił ją za nadgarstki i przyciągnął do siebie. W tej samej chwili rozległ się okropny krzyk i z mgły wynurzył się sadzący olbrzymimi susami Benny. Chwycił Tully'ego od tyłu, pociągnął i rąbnął nim o ziemię. Odwrócił się do dziewczyny.

— Idź — powiedział.

Tully zerwał się na równe nogi i uderzył Benny'ego w plecy.

Ten odwrócił się, po czym jakby od niechcenia palnął Tully'ego tak mocno, że kapitan ponownie się przewrócił.

— Dolan, do mnie! — wrzasnął Tully.

Przez reling wskoczyli na molo Dolan i Fox. Fox trzymał w rękę stalowy pręt. Dolan trafił Benny'ego pięścią w twarz, ale cios nie wywarł na chłopaku najmniejszego wrażenia. W odpowiedzi olbrzymi mężczyzna trzepnął przeciwnika w mostek tak, że marynarz zwałił się na plecy.

— Przestańcie! — krzyknęła Kathleen.

Z kolei, wymachując stalowym prętem, zaatakował Fox. Benny przyjął cios na lewe ramię, po czym chwycił napastnika za nadgarstek, wykręcił mu rękę i wyłuskał ze zmartwiałej dłoni pręt, który z brzękiem upadł na beton przystani. Teraz olbrzym walnął bezbronny już Foga zewnętrzną stroną dłoni w twarz z taką mocą, że marynarz zakręcił się w miejscu i upadł na brzuch.

— Benny, uważaj! — wrzasnęła Kathleen.

Tully, który dźwignął się właśnie na nogi, chwycił

porzucony pręt i zamachnął się, zamierzając ugodzić Benny'ego w czaszkę. Olbrzym odwrócił się jednak w porę i żelastwo ześlizgnęło mu się po ramieniu. Wyrwał kapitanowi z ręki pręt, chwycił przeciwnika swą ogromną dłońią za gardło i uniósł wysoko w powietrze.

Rozległ się stłumiony szumem deszczu wystrzał i z mgły wybiegli Keogh i Ryan.

— Benny, nie! — zawołał Ryan.

Benny, wciąż trzymając Tully'ego wysoko nad ziemią, znieruchomiał, po czym powoli postawił kapitana na nogi. Marynarz bezwładnie osunął się na zimny beton przystani, a następnie usiadł i wtulił głowę w kolana.

— Co tu się stało? — zapytał Ryan.

Kathleen w kilku słowach wyjaśniła sytuację. Gdy skończyła mówić, Keogh powiedział:

— A zatem jakiś chłopiec widział łódź. I co z tego? Może to mieć znaczenie później, ale nie teraz.

— Zgadzam się — odparł Ryan i odwrócił się do Benny'ego. — Dobry z ciebie chłopak, Benny. Dziękuję ci za to, że pilnowałeś Kathleen. Odprowadź ją teraz na farmę. — Skinął na dziewczynę. — Wracaj z nim. My musimy uporządkować sprawy tutaj.

— Przepraszam, stryju Michaelu.

— To nie twoja wina, dziewczyno. To skutek zadawania się z mętami.

Kathleen wzięła Benny'ego za rękę i odeszli. Zmalretowani Tully, Dolan i Fox zdążyli już podnieść się z ziemi. Ryan chwilę bacznie ich obserwował.

— Co za kupa gówien — mruknął. — Marsz na pokład, bo wszystkim łby podstrzelam.

W sterówce Tully zajął miejsce za stołem nakresowym, a załoga skupiła się wokół niego.

Pierwszy odezwał się Ryan:

— Dlatego tylko jeszcze z wami rozmawiam, bo jesteście mi potrzebni. Wrócimy tu z samochodem między szesnastą trzydzieści a siedemnastą. Macie być gotowi do natychmiastowego podniesienia kotwicy. Zrozumiano?

Marynarze poruszyli się niespokojnie.

— Tak, będziemy gotowi — powiedział Tully.

— Łaziłeś za nami i węszyłeś w „William and Mary” — ciągnął Ryan. — Powiedział mi to pan Keogh. Gadaj zaraz, dlaczego to zrobiłeś.

— Bałem się — wyjaśnił Tully. — Chciałem się przekonać, że wszystko jest koszerne.

— A ja za koszerne uważam cię ostrzec, że poodstrzelam wam wasze pierdziełone łepetyny, jeśli w drodze do Kilalli znów zaczniecie coś kombinować. Jasne?

— Tak.

— To dobrze. Teraz idziemy, a wy macie czekać tu w pogotowiu.

Zszedł po drabince, za nim Keogh. Przeskoczyli przez reling i znaleźli się na przystani.

— I co o tym myślisz? — zapytał Keogh.

— W połowie drogi spróbują poodrzynać nam głowy.

— I nie boisz się tego?

— A dlaczego miałbym się bać? Przecież po to mam ciebie, Keogh.

— Co to był za małopold? — zapytał Dolan. — King Kong?

— Nie wiem — odparł Tully i pomasaował szyję. — Ale w pewnej chwili myślałem już, że po mnie.

— I co teraz? — zapytał Fox.

— Poczekamy. Tak jak ustaliliśmy wcześniej, poczekamy. Tylko pamiętajcie o jednym. King Kong w rejs z nami się nie wybiera. A wtedy zamienimy się miejscami.

Tuż przed piętnastą Keogh stał w stodole obok montesy i wkładał skórzaną kurtkę. Później podciągnął szeroką nogawkę czarnych marynarskich spodni i nad kostką zamocował kaburę z waltherem. Drugi pistolet, ten z tłumikiem, wsunął z tyłu za pasek, wtedy był już gotowy do drogi.

Kathleen miała na sobie džinsy i kurtkę z denimu. W kieszeń wsunęła colta. Ryan przejrzał jeszcze raz zawar-

tość torby z bronią, zatrzasnął zamki i wsunął bagaż na tył forda.

Odwrocił się, uściśnął Mary Power i podał Benny'emu rękę.

— Benny, musimy już iść. Rozumiesz?

Benny skwapliwie skinął głową.

— Tak, wuju Michaelu.

— Rób dokładnie to, co ci powie ciocia Mary.

— Tak, wuju Michaelu.

— Jesteś bardzo porządnym chłopcem.

Michael Ryan odwrócił się do Kathleen i Keogha.

— Czas w drogę. Czeka nas chwila prawdy.

Zupełnie jak podczas próby — myślał Keogh, posuwając się za fordem w strugach deszczu. Kiedy samochód dotarł do miejsca parkingowego przy szosie i zahamował, Keogh zatrzymał motocykl po drugiej stronie drogi. Ryan szybko obszedł forda, z rozmachem otworzył tylne drzwi i sięgnął do torby z bronią. Wyciągnął AK ze złożoną lufą, przebiegł przez jezdnię, rozpiął kurtkę Keogha i wsunął mu pod nią karabin.

— W drogę, chłopcze!

Keogh uruchomił silnik, w piętnaście sekund osiągnął szybkość osiemdziesięciu kilometrów na godzinę i po trzech minutach był już na miejscu. Zatrzymał motocykl i czekał.

Kiedy mijał go zielono-biały samochód-chłodnia z napisami „Shelby Meat Importers” na bokach, identyczny jak ten w stodole, Keogh odniósł wrażenie, że śni i nic się naprawdę nie wydarzyło. Szybko włączył radiotelefon.

— Orzeł Jeden do Orła Dwa. Właśnie minął mnie cel.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym z radia dobiegł trzask.

— Tu Orzeł Dwa. Przyjąłem. Wracaj do domu.

Keogh schował radiotelefon, uruchomił silnik i ruszył spieszenie za ciężarówką. Przez kilka sekund posuwał się za nią, a następnie dodał gazu i pozdrawiając kierowcę uniesioną, zaciśniętą pięścią wyminął ją, wziął ostry zakręt i zniknął z oczu.

— Ale skurczybyk! — odezwał się kierowca do dwóch siedzących za nim strażników.

Mieli na sobie niebieskie garnitury z serży, bo mundury mogłyby ich zdekonspirować. Wszyscy byli uzbrojeni w brońingie ukryte w zawieszonych pod pachami kaburach.

— Zapewne w najbliższych dniach się zabije — stwierdził jeden z nich. — Tacy goście tak przeważnie kończą.

— Cóż, to jego broszka — odparł drugi. — My się lepiej napijmy kawy.

Odkręcił termos, lecz w tej samej chwili gdzieś z przodu dotarł stłumiony huk eksplozji, a w powietrze strzelił słup czarnego dymu.

— Jezu Chryste, co się tam wyprawia! — wykrzyknął kierowca i wprowadził ciężarówkę w zakręt, za którym znajdowało się połączenie dróg.

Keogh zjechał na pobocze szosy, wyłączył silnik montesy i postawił motocykl na podnóżku. Torba z bronią stała na ziemi pod niewysokim kamiennym murkiem parkingowym, na poboczu drogi leżała Kathleen z twarzą wymazaną imitującą krew farbą, a Ryan podbiegał właśnie do tyłu fordą. W chwilę później rozległ się huk stłumionej eksplozji i wokół auta pojawiły się płomienie. Kiedy Keogh ruszył w tamtą stronę, ciszę rozdarł grzmot znacznie potężniejszego wybuchu, a w niebo uderzył obłok czarnego dymu.

Zza zakrętu wyłonił się samochód-chłodnia i jego kierowca na widok przerażającej sceny gwałtownie zahamował. Keogh wyrwał spod kurtki AK i rozłożył kolbę, lecz to już nie było potrzebne. Ryan uruchomił howlera i nacisnął odpowiednie guziki.

— Drzwi! — wrzasnął do Keoga. — Drzwi!

Martin w jednej chwili znalazł się przy szoferce i szarpnął za klamkę. Drzwi otworzyły się bez oporu. Dostrzegł kierowcę, a za nim dwóch mężczyzn. Jeden z nich miał już w rękę pistolet. Ryan wrzucił do środka granat ogłuszający. Wystarczyło. W chwilę później wyciągnął zza kierownicy kompletnie oszołomionego kierowcę, a Keogh zajął się dwoma ochroniarzami. Zawlekli ich za murek oddzielający pola od szosy i zostawili ich tam skutych kajdankami.

Kathleen zerwała się z ziemi i wycierała twarz z farby.

— Dobrze, na Oscara zarobiłaś — stwierdził Ryan.

Pobiegł na tył ciężarówki i otworzył drzwi. W komorze piętrzyły się kontenery.

— Chcesz je teraz przeglądać? — zawołał Keogh.

— Też masz pomysły! — odkrzyknął Ryan, obszedł ciężarówkę, podniósł torbę z bronią i wsunął ją do kabiny.

— No, Martin, wynośmy się stąd do wszystkich diabłów.

Keogh złożył AK i ukrył go pod skórzaną kurtką.

— Chodź, dziewczyno — powiedział do Kathleen.

Przerzucił nogę przez siedzenie motocykla, a Kathleen wskoczyła mu za plecy i mocno objęła go w pasie. Kiedy odjechali, Ryan uruchomił silnik chłodni i ruszył, zostawiając za sobą syczącą w strugach deszczu płonącą furgonetkę oraz trzech mężczyzn odzyskujących powoli przytomność za murkiem. Minęło dobre pół godziny, zanim obok miejsca napadu przejeżdżał swym kombi miejscowy farmer.

Gdy Keogh i Kathleen dotarli montesą do Marsh End i skręcili w drogę prowadzącą do przystani, z „Irish Rose” spuszczone już rampę wjazdową, a pod sterówką czekali Tully, Dolan i Fox. Keogh wjechał motocyklem na barkę i zaparkował maszynę z boku pokładu. Kathleen ześlizgnęła się z siodełka pierwsza, po niej zsiadł z motoru Keogh. W jednej sekundzie wyciągnął spod kurtki AK i rozłożył kolbę.

— To niepotrzebne — odezwał się pojednawczo Tully. — I jak, udało się?

— Jak marzenie.

— A więc gdzie samochód? Musimy się stąd jak najszybciej wynosić. Maszyny pracują, a człowiek czeka przy sterze.

— Spokojnie — odparł Keogh. — Zaraz się tu pojawi. Idź jeszcze raz sprawdź, czy rzeczywiście wszystko jest zapięte na ostatni guzik.

Tully bardzo niechętnie się oddalił. Keogh przesłał Kathleen uśmiech i zapalił papierosa.

— Udało się, Kate, udało się.

Dziewczyna była straszliwie przejęta.

— Wiem, wiem, Martin. Ale gdzie się podziewa stryj Michael?

— Przyjedzie, dziewczyno miła, przyjedzie. Ciężarówka nie jest tak hyża jak montesa.

Ale minęło jeszcze dwadzieścia dręczących minut, zanim z mgły wynurzył się zielono-biały samochód dostawczy, przebył przystań i wjechał na pokład barki. Zapiszczały hamulce, ciężarówka zatrzymała się i z kabiny wyskoczył Ryan.

— Myślałem, że już po mnie. Ten przeklęty silnik nie chciał zapalić.

Dolan i Bert Fox gorączkowo mocowali klamrami do pokładu wielkie koła samochodu.

— Co się stało? — zapytała Kathleen.

— Ten samochód ma automatyczne ssanie. Coś się zatkało. Podejrzewam, że w wyniku eksplozji granatu. Ale jakoś sobie poradziłem.

— Na rany Chrystusa, czy możemy już odpływać? — zawołał stojący na mostku Tully.

— W każdej chwili — odkrzyknął Ryan i machnął ręką. „Irish Rose” odbiła od przystani i zostawiając za sobą ład, popłynęła zatoczką na otwarte morze. Szybko zniknęła we mgle.

— Plan wypalił bez zarzutu — odezwał się Ryan.

— O tak, bez zarzutu — potwierdził Keogh i poczęstował go papierosem. — Pozostał nam do rozwiązania jeszcze jeden problem.

— Jaki? — zapytał Ryan, odpalając papierosa od podanej przez Martina zapalniczki.

— Kiedy dokładnie, jeszcze przed dotarciem do Kilalli, zamierzają na nas uderzyć.

— Cóż, najlepiej będzie, jak od razu zrobimy na nich odpowiednie wrażenie — odparł Ryan. — Wyciągnij swego AK, a ja wyciągnę swego. Niech wiedzą, że cały czas jesteśmy czujni i uzbrojeni po zęby.

— Ja też mam colta w kieszeni — wtrąciła Kathleen.

— Na Boga, ty trzymaj się od wszystkiego jak najdalej. Zostaw to mnie i Martinowi.

Wsunął się do kabiny ciężarówki, otworzył torbę i wyjął AK. Zeskoczył na pokład i z opartym kolbą o udo karabinem podszedł do relingu. Po obu stronach rufy zamocowano na żurawikach po dwie łodzie, a na rufie barki spoczywała żółta pneumatyczna tratwa ratunkowa z zamontowanym za burtą silnikiem.

— Wielce przydatna do nielegalnych wypadów na ląd — zauważył Ryan.

— Silnik wygląda bardzo dobrze — odparł Keogh. — Prawie nowy.

— O ile znam Tully'ego, to go ukradł.

— Co teraz? — zmienił temat Keogh.

— Dajmy Tully'emu trochę czasu. Niech na razie zajmie się barką. Kiedy wypłyniemy już kilka mil w morze, weźmiemy go na dywanik.

Zerknął w stronę sterówki. W oknie stał kapitan i spoglądał w ich stronę. Ryan pomachał mu przyjaźnie ręką i uśmiechnął się szeroko.

W sterówce przy kole ponownie dyżur pełnił Muller. Tully siedział przy stole nakresowym, obok niego stał Dolan. Grant i Fox przebywali w maszynowni.

— Widziałeś, co mają? — zapytał Dolan.

— Tak. AK.

— Mogą nas nimi poszatkować jak kapustę.

— Wiem. Musimy ich przechytrzyć. Ukryj swoją broń w szufladzie z mapami. Muller nich robi to samo. Później idź do Focha i Granta. Niech swoje pistolety ukryją w maszynowni. Ja będę miał pistolet w kieszeni.

— Nie rozumiem.

— Posłuchaj, to oczywiste. Chwilowo dają nam spokój, żebyśmy wyprowadzili barkę w morze. Później pojawią się tu tak uzbrojeni, że nawet nie będziemy mogli beknąć. Oczywiście zrewidują nas, ale nic nie znajdą.

— Z wyjątkiem twojej broni.

— Właśnie. Ryan pomyśli, że to całe nasze uzbrojenie. — Gdy Dolan w dalszym ciągu spoglądał na Tully'ego z powątpiewaniem, kapitan bezceremonialnie wypchnął

go ze sterówki. — No, ruszaj się. Ja muszę wyznaczyć kurs.

Dolan wyszedł i wtedy odezwał się swym ciężkim, zawieszonym akcentem Muller:

— No to jak, ciągle płynie do Kilalli?

— Cóż, nie możemy tak od razu skręcić na południe. Ryan nie jest głupcem. Na razie płynmy prosto do wybrzeży hrabstwa Down i zobaczymy, co się wydarzy.

— Z karabinami, jakie posiadają, nie mamy z nimi szans.

— Zanadto się wszystkim przejmujesz — odparł Tully. — Musi się udać. W taki czy w inny sposób odbierzemy im ten samochód. Obiecuję.

Ryan odczekał godzinę, zanim wykonał kolejne posunięcie.

— W porządku — powiedział. — Ty, Kathleen, zostaniesz w wygodnej i bezpiecznej kabinie samochodu. Ja z Martinem pójdziemy przemaglować trochę niedobrych chłopców.

— Marzę o filiżance herbaty.

— Cóż, sięgnij do torby. Oprócz broni znajdziesz w niej wielgachny termos, który podarowała nam Mary Power. Jest tam również puszka na ciasto, ale w środku są nie słodyczne, lecz kanapki z serem i szynką.

— Stryju Michaelu, jesteś ósmym cudem świata. Myślisz o wszystkim.

— Nie tym razem. To był pomysł Mary Power. — Ryan odwrócił się do Keogha. — Idziemy, Martin, chwila prawdy.

Tully obserwował, jak nadchodzą. Przodem kroczył Ryan i kapitanowi przyszedł do głowy dziki pomysł, żeby go zastrzelić, gdy zacznie się wspinać po metalowej drabinie prowadzącej na mostek. Kiedy jednak dostrzegł za nim Keogha z gotowym do strzału AK, szybko odrzucił niedorzeczną myśl. Ryan dotarł bezpiecznie do końca drabinki i stanął w otwartych drzwiach, mając w zasięgu strzału Tully'ego, Mullera za kołem sterowym i Dolana.

— Śliczny dzionek — oświadczył Ryan i dodał podniesionym głosem: — Martin, chodź tu do nas.

W chwilę później na mostku pojawił się Keogh.

— A, jesteś, Tully — powiedziała. — Jak twoje ucho?

— Lepiej — odparł kapitan, łypiąc na niego z wściekłością.

— Przykro mi to słyszeć.

— Przeszukaj ich — polecił Ryan.

Keogh szybko zrewidował Mullera, a następnie Dolana. W kieszeni Tully'ego natknął się na smith & wessona.

— Bardzo brzydko — stwierdził Ryan. — Dziwię ci się, Tully.

— Jestem kapitanem statku — zaprotestował. — Czego się spodziewałeś?

— O, po tobie spodziewam się wszystkiego najgorszego. Gdzie reszta załogi?

— Grant i Fox są w maszynowni.

— Złożymy im wizytę, a później jeszcze raz obejrzymy sobie waszą świńską barcę.

— Jak chcecie. — Tully wzruszył ramionami, podszedł do rury głosowej i gwizdnął. Kiedy odezwał się Fox, powiedział: — Pan Ryan pragnie odwiedzić maszynownię. Właśnie do was idziemy.

— Świetnie — mruknął Ryan. — Chodźmy. — Wskazał palcem Dolana: — Ty też.

Z pokładu zejściówka prowadziła do wąskiego przejścia, w którym po obu stronach znajdowały się drzwi. Na jednych wymalowany był napis: „Toaleta”. Keogh otworzył to pomieszczenie. Ujrzał kabinę z sedesem, umywalkę i prysznic.

— I to ma wystarczyć na całą barcę?

— Nie, ja mam oddzielną — wyjaśnił Tully. — Przylega do mojej kabiny, która znajduje się pod sterówką.

— A te drugie drzwi?

— Kubryk.

Keogh pchnął drzwi i zerknął do wnętrza. Dostrzegł nie posłane łóżko z brudną pościelą i panujący w pomieszczeniu bałagan.

- Ale smród. Czy na tej barce nikt się nie myje?
- Tully był wyraźnie wściekły, lecz nie odezwał się słowem.
- Gdzie ta maszynownia? — zapytał Ryan.
- Na końcu korytarza.
- W porządku. Idźcie przodem.

Tully otworzył drzwi. Łoskot silnika stał się bardzo głośny. Ruszyli kolejną zejściówką i po chwili znaleźli się w samej maszynowni. Grant i Fox oliwili właśnie tłoki oraz inne ruchome części maszynierii.

Na widok wchodzących przerwali pracę.

- Wszystko w porządku? — zapytał Tully.
- Jak na tego gruchota wręcz znakomicie — odparł Grant.

— Rączki w górę, chłopcy — zakomenderował Keogh.

Ryan wznosił karabin i załoga z ponurymi minami wykonała polecenie.

- Czyści jak noworodki — oświadczył po rewizji Keogh.
- Świetnie — powiedział Ryan. — Jeszcze tu wrócimy.

6

Kiedy wyszli na pokład, sztorm nabrał mocy i choć „Irish Rose” gwałtownie kołysała się na wzburzonym morzu, silny wiatr oraz deszcz przegnały nieco mgłę. Znów po kolei wspięli się po drabinie do sterówki.

Tully swoim zwyczajem zajął miejsce za stołem nakresowym.

— Co teraz? — zapytał.

— Dwukrotnie już płynąłem z Okręgu Jezior do Ulsteru — poinformował go Ryan.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Tak zatem wiem, gdzie leży wyspa Man. Dokładnie w połowie drogi. Przylądek Calf of Man minie my po południowej stronie.

— Skoro tak pan utrzymuje.

— Tak, tak utrzymuję, a ponadto masz to na mapie, którą ci dostarczyłem. Powiem więcej, o północy powinniśmy ujrzeć światło latarni morskiej.

— I co z tego?

— A to, że do Kilalli dobijemy około trzeciej.

— Wszystko zależy od pogody.

— Zależy, ale macie utrzymywać kurs. Na wszelki wypadek zabrałem ze sobą kompas morski i poczuję się bardzo urażony, jeśli stwierdzę, że nie posuwamy się prościutko na zachód.

— W porządku — mruknął posepnie Tully. — Co dalej?

— Cóż, skoro wypadło nam spędzić tę noc na tej

odrażającej, świńskiej barce, będziemy siedzieć w kabinie naszej ciężarówki. Jest w niej nawet łóżko. — Odwrócił się do Keogha. — Martin, daj mu radio.

Keogh wyciągnął z kieszeni radiotelefon i położył na stole nakresowym.

— Masz.

— Co to jest? — zapytał Tully.

— Radiotelefon. Ja mam drugi, więc będziemy w kontakcie; my na dole, a wy na górze. Aha, jeden z twoich ludzi przez cały czas będzie stał na pokładzie tak, żebym mógł go zastrzelić, gdyby wam w sterówce przyszedł do głowy jakieś małpie pomysły.

— Ty skurwysynu.

— Zawsze nim byłem, ale mam też zwyczaj dotrzymywania słowa, zatem daję wam wybór. Powinniście zachowywać się rozsądnie. — Wyciągnął z kieszeni kopertę i rzucił ją na stół. — Tu masz pięćdziesiąt tysięcy funtów, które zabrał ci pan Keogh.

— Mój Boże! — wykrzyknął wyraźnie poruszony Keogh.

— Policzysz, jak wyjdziemy. Ale jest dokładnie tyle, na ile się umówiliśmy. — Ryan zachichotał szatańskim śmiechem. — Żadnych jatek, żadnych numerów, a za kilka godzin w Kilalli dostaniecie drugie pięćdziesiąt tysięcy. Myślcie o tym przez cały czas. — Skinął na Keogha. — Chodźmy. Ty, Martin, idź przodem. Ja popilnuję ci pleców, a później ty mnie osłonisz.

Kiedy już zeszli po drabinie, Tully otworzył kopertę i przeliczył pieniądze.

— Niech go piekło pochłonie! — warknął.

— W co on gra? — zapytał Dolan.

— Dał mi wybór, to wszystko. Graj zgodnie z regułami, a zarobisz sto tysięcy.

— A ty?

— Dolan, na pokładzie stoi pięćdziesiąt milionów. Pięćdziesiąt milionów!

— W porządku. Ale to twarde skurwiele.

— Cóż, ja też miękki nie jestem.

Zmarszczył brwi i zaczął studiować mapę.

— Masz jakiś pomysł? — przerwał milczenie Dolan.

— Jeszcze nie. Jeśli nie przepłyniemy obok Calf of Man, natychmiast się zorientuje. A na dodatek ma kompas morski. — Potrząsnął głową. — Nie, musimy utrzymywać właściwy kurs i czekać na okazję. Jakaś się w końcu trafi. Może nad ranem, gdy znajdziemy się już bliżej Irlandii.

— Będą znużeni — przyznał Dolan.

— Choroba morska? Nie mówiłem tego skurwysynowi, ale prognozy są złe. Pogoda ma się pogorszyć, a około północy wiatr będzie wiał z siłą siedmiu stopni. Sam wiesz, jak ta balia zachowuje się podczas sztormu.

— Dzika bestia.

Zaskrzeczało radio i rozległ się głos Keogha:

— Jak mówi stara piosenka, czy jest tam kapitan statku?

Tully wcisnął guzik.

— Czego chcecie?

— Człowieka na pokładzie.

— W porządku. — Zwrócił się do Dolana. — Zejdz na dół, Mick. Dwie godziny, później zmieni cię Muller. I weź nieprzemakalny płaszcz. Przyda ci się — dodał z dzikim uśmiechem. — Rozpadało się na dobre.

Po Dolanie wachtę przejął Muller i stał przy wiodącej do sterówki drabinie doskonale widoczny w mdłym, żółtym świetle lamp pokładowych. Żałosna postać kuląca się w deszczu pod niewielkim, metalowym podestem.

— Nie prezentuje się zbyt imponująco! — zauważył Keogh z ustami pełnymi kanapki z szynką przygotowanej przez Mary Power.

Kathleen wybuchnęła śmiechem i podała mu kubek z herbatą.

— Jesteś przerażającym człowiekiem, Martin.

— Ten Muller nie ma szczęścia — wtrącił się Ryan. — Stanął po niewłaściwej stronie. Włączę na chwilę ogrzewanie.

Ciepłe podmuchy omiotły kabinę samochodu w ciągu kilku sekund.

— Boże, ale miło — mruknęła Kathleen.

Ryan sięgnął po kolejną kanapkę.

— Z tyłu kabiny będzie ci wygodnie. Ta prycza jest całkiem duża i miękka. Gdy tylko przyłożysz głowę, natychmiast zaśniesz.

— A ty i Martin?

— Och, utniemy sobie drzemkę tutaj. Będziemy się zmieniać.

Skończyli jeść. Kathleen schowała do torby pozostałe kanapki i termos. Wyrzała przez okno, za którym wściekle pieniały się fale wieńczone białą pianą. „Irish Rose” kołysała się z boku na bok. Dziewczyna ujęła Keogha za ramię.

— Podniecające, prawda? — odezwał się złośliwie.

— Niech cię szlag trafi, Martin. Jestem przerażona i dobrze o tym wiesz.

— Zawsze, zanim nastąpi poprawa, bywa gorzej — zakpił. — Taka już kolej rzeczy.

Szturchnęła go w ramię.

— Przestań, dobrze?

Ryan popatrzył na zegarek.

— Dziewiąta. Idź na tył i spróbuj się przespać. Musisz nabrać sił.

— Dobrze, ale najpierw chcę pójść do toalety.

— Tego akurat tu nie mamy.

— Ty z Martinem nie macie kłopotu. Staniecie sobie obok samochodu i po wszystkim. Ale ja tak nie mogę.

— Wielki Boże! — Ryan sięgnął po radiotelefon i wywołał sterówkę. — Tully, zejdź do nas.

— Czego chcecie?

— Moja bratanica musi iść do toalety. Pójdzie z nią Keogh. Ale żeby cię nie korciło, ty zostaniesz na miejscu Mullera, a jego Martin zabierze ze sobą.

— W porządku — odrzekł Tully.

Keogh otworzył drzwi po swojej stronie i zeskoczył na pokład. AK z rozłożoną kolbą trzymał w pozycji gotowej do strzału. Kiedy zbliżał się do Mullera, wiatr wiał już z dużo większą mocą, nawiewając fale deszczu.

— Pani musi do toalety. Ty prowadź. I pilnuj się.

Muller popatrzył na niego ze złością, otworzył drzwi do zejściówki i pierwszy ruszył schodkami. Za nim posuwał się Keogh, a Kathleen szła na końcu.

Gdy weszła już do kabiny, Martin trzymał Mullera na muszce.

— Idź pierwszy — zażądał Keogh, kiedy Kathleen znów się pojawiła.

Niemiec posłusznie, z posepną miną, zajął swe stanowisko pod sterownią, a Keogh i Kathleen wrócili do ciężarówki.

— Kładź się — polecił bratanicy kategorycznym tonem Ryan. — Koce masz tam. Spróbuj zasnąć.

Dziewczyna przeniosła się już na tył kabiny, a Michael i Martin rozparli się w fotelach i w rytm przechyłów barki obserwowali płynące po przedniej szybie ciężarówki strumyki wody.

— To lepsze niż kolejka w lunaparku — przerwał milczenie Ryan.

— Niemcy budowali te barki do operacji przybrzeżnych — odparł Keogh. — Mają płaskie dno. — Zapalił papierosa. — Zastanawiam się nad dziwnym zbiegiem okoliczności. Tully miał tylko jeden pistolet.

— Tak. Ale ani przez chwilę w to nie wierzę.

— Oddałeś mu te pięćdziesiąt tysięcy. Myślisz, że to wystarczy?

— Chciałbym w to wierzyć, ale bardzo wątpię. Tully to zachłanny bydlak, ale spróbować zawsze warto.

— Co przewidujesz?

— O, będzie trzymał dobry kurs, bo wie, że w każdej chwili mogą to sprawdzić na kompasie morskim. Podejrzewam, że czeka, aż zbliżymy się do wybrzeży Irlandii. Do akcji zapewne przystąpią nad ranem. Liczą na to, że będziemy zmęczeni, więc radzę ci się chwilę zdrzemnąć, a ja w tym czasie będę trzymać wartę.

Keogh posiadał żołnierską umiejętność zapadania na zawołanie w godzinne drzemki. Wyciągnął się zatem w fotelu, zamknął oczy i po chwili już spał. Oddychał równo i głęboko, a Ryan długo go obserwował. Martin, jesteś wcielonym, zdolnym do wszystkiego diabłem — pomyślał. — Ale kim tak naprawdę jesteś? Kim jesteś naprawdę?

Siedział, na kolanach trzymał AK, obserwował Mullera, od czasu do czasu zerkał na oświetlone okno sterówki i czekał.

Keogh, gdy tylko Ryan położył mu dłoń na ramieniu, natychmiast otworzył oczy. Zerknął na zegarek. Była północ.

— Powinieneś być mnie obudzić, Michael — powiedział z wyrzutem. — Ty też potrzebujesz snu.

— Nie tyle co ty. Jestem starszy. Spójrz tam.

Keogh dostrzegł mrugające w mroku światło.

— Czy to już Calf of Man?

— Tak, jesteśmy idealnie na kursie. Sprawdziłem to na kompasie.

— Jak dotąd wszystko idzie dobrze. Wskoczę na chwilę. Natura jest bezlitosna.

Otworzył drzwi i zszedł na pokład. Uderzył go tak silny podmuch wiatru, że się zachwiał. Teraz wachtę pełnił Dolan. Keogh przyjaźnie pomachał mu dłonią.

— Spróbuj się uśmiechnąć, ty żałosny sodomito! — zawołał, ulżył sobie na koło samochodu, po czym wrócił do szoferki.

— Teraz ja — mruknął Ryan i wyskoczył z ciężarówki.

Tully obserwując przez okno sterówki, co się dzieje, nieoczekiwanie zacisnął pięść. Ogarnęło go szalone podniecenie.

— To jest to! Na rany Chrystusa, to jest właśnie to! — Odwrócił się do Mullera. — Przejmę ster, a ty idź i zwolnij Dolana. Powiedz mu, żeby natychmiast tu przyszedł. No, ruszaj się, to bardzo ważne.

Niemiec wyszedł i po chwili w sterówce pojawił się Dolan. Z jego peleryny ściekały strużki wody.

— O co chodzi? Stałem tylko godzinę.

— Chyba znalazłem sposób — odparł Tully. — Ta dziewczyna znów zechce pójść do kibla.

— I co z tego?

— Rusz mózgowicą. Kiedy była w środku, Keogh trzymał Mullera na muszce.

— Zgadza się.

— A co się stanie, jeśli w środku ktoś będzie na nią czekał z gnatem w rękę? Ktoś, kto przystawi jej go do gardła i wyprowadzi? Co wtedy zrobi ten cholerny pan Keogh, no, co zrobi?

— Mój Boże, to jest myśl! — wykrzyknął z podziwem Dolan.

— No właśnie. Ale to nie możesz być ty. Zateśknij za tobą, jeśli znikniesz na dłużej z pokładu. Idź do maszynowni i każ to zrobić Foxowi. Grant poradzi sobie z maszynami sam. Powiedz Foxowi, żeby wziął kopyto i natychmiast przeszedł do ubikacji. Niech siedzi i czeka.

— Jak długo?

— Tak długo, kurwa, ile będzie trzeba. A teraz wynoś się — burknął kapitan i gwałtownie pokręcił kołem, bo w barcę uderzył z północy potężny podmuch wiatru.

O drugiej wichurajeszcze nabrała mocy i Ryan popatrzył na zegarek.

— Musimy już być blisko. Powinniśmy dotrzeć na miejsce o trzeciej.

Obudziła się Kathleen i z cichym jękiem usiadła na pościeli.

— Jezu, ale paskudnie się czuję. Która godzina?

Ryan poinformował ją, że druga, i dziewczyna spuściła nogi z pryczy.

— Znow muszę iść do toalety.

— W porządku. Zaczekaj chwilę.

Wywołał Tully'ego.

— O co chodzi?

— Moja bratanica chce iść do toalety. Zrobimy tak samo jak poprzednim razem.

— W porządku — odparł pogodnie Tully i drżąc z podniecenia wyciągnął z szuflady dwa pistolety.

Wręczył jeden z nich Mullerowi.

— W odpowiedniej chwili zablokujesz koło.

— W taką pogodę?

— Tylko na chwilę. — Tully gwizdnął w rurę głosową,

a gdy zgłosił się Grant, powiedziała: — Jock, do roboty. Weź spluwę i czekaj za drzwiami zejściówki do maszynowni. Dziewczyna idzie do kibla.

— Robi się.

Tully uderzył pięścią w stół nakresowy.

— Plan zadziała jak jasna cholera! Musi zadziałać!

Dolan przebył zejściówkę i stał z ponurą miną trzymany na muszce przez Keogha.

— Nie zabawię tam długo — obiecała Kathleen.

Fox, słysząc głosy, skrył się za zasłoną prysznic. Dziewczyna weszła do kabiny, a on czekał. Kiedy wyszła, błyskawicznym ruchem wykręcił jej na plecach rękę za lewy nadgarstek i przyłożył lufę pistoletu do szyi.

— A teraz, kurwo, otwieraj drzwi.

— Martin, uważaj! — wrzasnęła dziewczyna.

Fox puścił jej nadgarstek, otworzył drzwi i nie odrywając lufy pistoletu od szyi Kathleen, wepchnął ją między Dolana i Keogha.

— Oddaj karabin Dolanowi! — krzyknął. — No, ruszaj się!

— Zastrzel ich, Martin! — znów wrzasnęła Kathleen. — Zastrzel ich obu! Bez względu na mnie!

— Przysięgam, że ją zabiję! — odwrzasnął Fox.

— Nie ma takiej potrzeby. Spokojnie.

Keogh podał Dolanowi AK kolbą do przodu. Marynarz cofnął się o krok i wycelował w Martina. Jego twarz promieniowała szczęściem.

— Wreszcie cię dopadłem, skurwysynu.

Otworzyły się drzwi zejściówki prowadzącej do maszynowni i w progu stanął Grant w rewolwerem w rękę.

— Już jestem, chłopcy — oświadczył z satysfakcją.

Zniżył pistolet, popatrzył w stronę kompana i w tej chwili wypadki zaczęły toczyć się błyskawicznie. Wpółodwrócona Kathleen wsunęła dłoń do kieszeni, namacała colta, wyciągnęła go, przyłożyła lufę do brzucha Foxa i dwukrotnie nacisnęła spust. Keogh podciągnął nogawkę spodni, pod którą miał walthera, opadł szybko na kolano,

wyrwał z kabury broń i wznosząc ją płynnym ruchem, pociągnął za cyngiel. Pierwsza kula trafiła Dolana w lewe ramię. Marynarz wypuścił z rąk AK, okręcił się wokół własnej osi, więc drugi pocisk trafił go w kręgosłup. Grant wystrzelił na oślep, lecz Keogh znów otworzył ogień, wycelował w ramię i Szkot w jednej chwili zniknął w czeluściach maszynowni.

Martin podniósł z ziemi porzucony karabin i położył Kathleen dłoń na ramieniu.

— Nic ci się nie stało? — zapytał.

— Nic — odparła i wybuchnęła nerwowym śmiechem. — Zrobiłam, jak mi radziłeś. Miałeś rację. Jeśli lufę przystawi się do celu, na pewno się nie spudłuje.

— Wynośmy się stąd.

Podszedł do drzwi zejściówki, otworzył je i krzyknął:

— Michael, próbowali nas wziąć!

— Wszystko w porządku? — odkrzyknął Ryan, otwierając drzwi ciężarówki i kryjąc się za nimi.

— W porządku, osłaniaj nas. Biegniemy do ciebie. — Pchnął dziewczynę za siebie. — Idź za mną — rozkazał.

Cofając się w stronę samochodu, Keogh obserwował okna sterówki. Kiedy dostrzegł w nich podejrzaną ruch, strzelił w powietrze.

Kathleen dotarła do stryja.

— Przejdź na tył samochodu. Tam będziesz bezpieczna — polecił Michael, po czym zawołał do kryjącego się za otwartymi drzwiami ciężarówki Keogha: — Co się stało?

Keogh w kilku słowach zrelacjonował przebieg wydarzeń i zakończył:

— Miałeś rację.

— Zazwyczaj ją mam. To taki paskudny nawyk.

Po kilkunastu minutach do sterówki dotarł Grant. Musiał posuwać się okrężną drogą i użyć przy tym luku awaryjnego w maszynowni. Był śmiertelnie blady, oczy miał dzikie, z lewego ramienia płynął mu strumień krwi. Ściągnął kurtkę, znalazł kawałek czystego gałgana i próbował opatrzyć nim ranę.

— Ta mała dziwka zastrzeliła Foxa. Miała pistolet.

Później Keogh zabił Dolana i postrzelił mnie. Co teraz zrobimy?

— Żebym to wiedział — odrzekł Tully.

Zgasił światła w sterówce, przeszedł na jej tył, otworzył wychodzące na rufę okno i trzymając się w cieniu wyjrzał na pokład. Ujrzał ciężarówkę z drzwiami rozwartymi niczym skrzydła owada. Pojął, że kryją się za nimi Ryan i Keogh. Wycelował dokładnie poniżej drzwi po stronie Martina w nadziei, że przy odrobinie szczęścia trafi go w kostkę lub stopę. Oddał sześć strzałów, opróżniając magazynek. Odpowiedź była straszliwa. Karabiny Ryana i Keogha zagdakały długimi seriami, które roztrzaskały szyby sterówki, pogrążając pomieszczenie w śnieżnej zamieci pokruszonego szkła.

Tully i Grant padli błyskawicznie na podłogę, lecz Muller nie miał tyle szczęścia. Kilkanaście pocisków ugrzęzło mu w plecach. Upadł. Koło sterowe zaczęło się obracać. Tully natychmiast podpełzł do urządzenia i przykucnięty, obrócił je do właściwej pozycji, po czym zablokował łańcuchem.

— Chwilowo mamy spokój — stwierdził.

— Ale na jak długo? I co, do jasnej cholery, mamy teraz zrobić? — zapytał Grant.

— Nie wiem.

Po dziesięciu minutach zaskrzeczało radio i rozległ się głos Ryana:

— Tully, jesteś tam?

— Jestem. Jest nas tu trzech. Muller, Grant i ja.

— Będziecie już zachowywać się rozsądnie?

— A niby dlaczego mamy zachowywać się rozsądnie? Potrzebujecie nas bardziej niż my was, Ryan. — Wiatr potępieńczo zawodził, „Irish Rose” przewalała się ciężko na falach z boku na bok. — Nie zdołasz sam poprowadzić barki, a już na pewno nie przy takiej pogodzie.

— Co proponujesz?

— Sam jeszcze nie wiem. Jedno jest pewne. Jeśli będziemy trzymać głowy nisko, nie dosięgniecie nas. My też nie możemy was dostać. Nazwałbym to sytuacją patową.

- Co proponujesz? — powtórzył Ryan.
- Sam jeszcze nie wiem. Muszę pomyśleć.
- On ma rację! — zawołał do Ryana Keogh. — W sterówce są bezpieczni. Nie dopadniemy ich. Mają przewagę.
- A gdybyśmy nawet jakimś cudem ich pozabijali, to co? — odkrzyknął Ryan. — Damy radę we dwójkę poprowadzić tę barkę? Bardzo wątpię.
- Dopóki maszyny są w ruchu, przynajmniej zbliżamy się do Irlandii.
- Pracują bez dozoru — Ryan potrząsnął głową. — Nie sądzę, żebyśmy daleko dopłynęli.

Przez kolejny kwadrans nic się nie wydarzyło. Później znów zaskrzeczało radio i rozległ się głos Tully'ego:

- Ryan, jesteś tam?
- Czego chcesz?
- Jesteśmy w odległości trzech mil od wybrzeży Down.
- Jeśli trzymacie kurs na Kilallę, możecie nas tam wysadzić i zarobić drugie pięćdziesiąt tysięcy, po czym bez szkody ruszyć w swoją stronę.
- Nie wierzę ci. Po tym, co się wydarzyło, zastrzelisz mnie jak psa. Poza tym nie jesteśmy na kursie i Kilalla znajduje się już wiele mil na północ.
- Co proponujesz?
- W każdej chwili mogę zawrócić łajbę i skierować ją w morze.
- I będziemy pływać niczym Latający Holender? Wy na górze, w sterówce, a mu tutaj, na dole? — zapytał Ryan. — Co nam to da?
- Z waszego punktu widzenia, nic — odparł Tully i przerwał rozmowę.
- Jest niedobrze — stwierdził Keogh. — Będę musiał dostać się jakoś do drabiny. Kryj mnie.
- Mam cię kryć? Chyba oszalałeś — odburknął Ryan. — Przecież nie masz najmniejszych szans, żeby tam dojść. Dobrze o tym wiesz.

— Jak ramię? — zapytał Granta przykucnięty w sterówce Tully.

— Boli jak lichy, ale rana nie jest groźna. Przeżyję.

— Jeśli zajmiesz się maszynownią, a ja kołem sterowym, jakoś dopłyniemy z powrotem do Anglii.

— Raczej tak. Co proponujesz?

— Spróbuję po raz ostatni złożyć mu ofertę.

— Ryan? — dobył się z radiotelefonu głos Tully'ego.

— Czego chcesz?

— Jak już mówiłem, w każdej chwili mogę zawrócić w morze i tak długo po nim krążyć, aż skończy się nam paliwo. Później ktoś nas zauważy i powiadomi straż przybrzeżną. A wtedy i dla was, i dla nas zostanie kaszana.

— To prawda — zgodził się Ryan. — Co proponujesz?

— Dlaczego nie odbić sobie strat? Za wami na rufie jest wielka, żółta pneumatyczna tratwa ratunkowa z silnikiem. O ile się orientuję, do brzegu mamy dwie mile. Teraz, kiedy wiatr osłabł, dotrzecie tam bez kłopotu.

— A tobie mamy zostawić złoto? — zapytał Ryan. — Co my będziemy z tego mieć?

— Będziecie żyć — odrzekł Tully.

— A wy powystrzelacie nas jak kaczkę, kiedy będziemy wsiadać do tratwy?

— Ze sterówki nie widać łodzi. Zasłania ją ciężarówka. Pomyśl o tym. Daję ci pięć minut, później zmieniam kurs.

Kiedy się wyłączył, Kathleen powiedziała ze złością:

— Nie możemy się na to zgodzić, stryju Michaelu. Nie po tym, cośmy przeszli.

— Wiem o tym, dziewczyno. — Odwrócił się do Keogha. — A co ty myślisz, Martin?

— Myślę, że mamy niewielki wybór.

— Odbijemy to sobie przy innej okazji. — Ryan wykrzywił twarz w bardzo niewesołym uśmiechu. — Istnieje pewne rozwiązanie, żeby Tully również nie dostał tego złota.

Kathleen ze zdumienia otworzyła usta, a Keogh zapytał:

— Jak zamierzasz to zrobić?

Ryan przedstawił im swój pomysł.

W minutę później wywołał Tully'ego.

— W porządku, jesteście górą. Daj nam trochę czasu, a Keogh sprawdzi, czy rzeczywiście ciężarówka zasłania łódź. Wtedy ponownie się zgłoszę.

W sterowni Tully wybuchnął ochrypłym śmiechem i odwrócił się do Granta.

— Zdziałało. Skurwysyn się zgadza. Wygraliśmy.

— Jeśli naprawdę zamierza tak zrobić.

— Oczywiście, że zamierza. Nie ma innego wyjścia. Tutaj już nic po nim.

W radiu ponownie rozległ się głos Ryana.

— W porządku, Tully, sprawdziliśmy. Pewnego dnia spotkamy się w piekle.

Zakończył rozmowę i Tully wybuchnął radosnym śmiechem.

— Pobitem skurwysyna. Pięćdziesiąt milionów jest moje.

— Chciałeś powiedzieć, nasze — zauważył Grant.

— Oczywiście, nasze — poprawił się z uśmiechem Tully. — Potrzebujemy się wzajemnie, więc zwracajmy już tę balię.

Oślaniani przez ciężarówkę, Keogh i Ryan przesunęli tratwę za burtę rufy, po czym napięli linki żurawika. Keogh wsiadł do łodzi, zaczął majstrować przy silniku, aby go próbnie uruchomić. Motor natychmiast z rykiem zaskoczył.

— Teraz ty, dziewczyno — polecił Ryan.

Martin pomógł usadowić się Kathleen w kołyszącej się nad falami tratwie.

— Michael, na Boga, chodź już! — zawołał Keogh.

— Zaraz, zaraz, tylko zostawię Tully'emu pożegnalny prezent! — odkrzyknął Ryan. — Porcyjkę semtexu i detonator z przełącznikiem czasowym nastawionym na jedną minutę.

Otworzył pokrywę wjazdu rufowego, wrzucił do środka semtex i zamknął klapę. W jednej chwili znalazł się przy relingu, zdjął cumę, wskoczył do tratwy, a Keogh uruchomił silnik.

Odpłynęli około pięćdziesięciu metrów, kiedy z rufy

„Irish Rose” wystrzelił w ciemne niebo jęzor jaskrawego ognia. Koniec barki nastąpił nieprawdopodobnie szybko. Stateczek przechylił się, dziób dramatycznie uniósł się w powietrze i łódź przy akompaniamencie syku pary po kilku sekundach wsunęła się gładko pod wodę.

— Teraz możesz sobie pożuć to złoto, skurwysynu! — odezwał się Ryan i objął bratanicę. — W porządku, Martin, wież nas do brzegu.

Kiedy wylądowali na rozległej plaży, dochodziła czwarta nad ranem, niebo już cokolwiek jaśniało. Z jednej strony teren się wznosił i porastały go drzewa.

— Co zrobimy z szalupą? — zapytał Keogh.

Ryan poświecił na nią niewielką latarką.

— Nie ma na niej żadnych napisów. Zrób w niej kilka dziur.

Keogh wszedł do wody i odepchnął łódź od brzegu. Przez chwilę dryfowała, po czym porwał ją prąd. Martin dokładnie wycelował z walthera z tłumikiem i dwukrotnie strzelił. Po chwili tratwa poszła na dno.

— Stryju Michaelu, jak sądzisz, gdzie jesteśmy?

— Bóg jeden raczy wiedzieć, dziewczyno. Ale to nie problem. Jesteśmy w domu. — Odwrócił się do Keogha. — Co teraz, Martin?

— Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli się rozstaniemy — odrzekł Keogh. — Ty, Michaelu, pójdiesz swoją drogą, a ja swoją.

— Martin? — odezwała się zgnębnym głosem Kathleen. — Czy nie możemy zostać razem?

— Nie sądzę, Kathleen. Twój stryj ma własne plany odnośnie rady wojskowej i Reida. A dla mnie już sama podróż powrotna do domu, do słodkiej Irlandii, była wystarczająco ekscytująca. Pożegnamy się, Michael.

Potrząsnął dłonią Ryana.

Dziewczyna objęła go, wspięła się na palce i pocałowała w policzek.

— Niech cię Bóg prowadzi, Martin. I dzięki za wszystko, co dla nas zrobiłeś.

— Nie jestem ci w stanie zapłacić — odezwał się Ryan. — Przykro mi.

— Tym się nie przejmuj — odrzekł z uśmiechem Keogh. — To była wspaniała przygoda.

Gdy zaczął się oddalać, Ryan zawołał:

— Martin, kim jesteś, kim naprawdę jesteś?

— Jak Boga kocham, bywają dni, kiedy już sam tego nie wiem — odparł Keogh i pomaszerował w stronę drzew.

— Ruszajmy, dziewczyno. Musimy dotrzeć do jakiejś drogi, pójść nią i wybać, gdzie dokładnie jesteśmy — powiedział Ryan, kiedy Keogh zniknął w mroku.

Prowadził ścieżką wijącą się między drzewami. Nadchodził świt i drogę znajdowali stosunkowo łatwo. Po kilku minutach dotarli do wąskiego, wiejskiego traktu. Niedaleko znajdowało się skrzyżowanie, a na nim drogowskaz.

— Zostań tu, w cieniu, a ja zorientuję się w sytuacji.

W deszczu podszedł do drogowskazu, dokładnie go przestudiował, po czym wrócił do Kathleen i schronił się pod gałęziami. Zapalił papierosa.

— Pięć kilometrów w lewo leży Drumdonald, a osiem w przeciwną stronę Scotstown. Wybierzemy chyba krótszą drogę.

Chwilę jeszcze stali pod osłoną drzew.

— Wszystko na nic — przerwała milczenie Kathleen. — Nie wiemy nawet, gdzie zatoneła „Irish Rose”.

— Naprawdę? — Ryan roześmiał się i wyciągnął z kieszeni czarny instrument przypominający howlera. — To kolejne urządzone, które wyczarował dla mnie ten młody geniusz elektroniki z Queen's Univeristy. Nazywa się to Master Navigator. Wprowadziłem w nie dane dotyczące położenia Marsh End i Kilalli, a ono zaprogramowało ich pozycje. Nieustannie odczytywało kurs i położenie barki. Wiem dokładnie, gdzie zatoneła „Irish Rose”.

— Wielki Boże! — westchnęła dziewczyna. — Nie zająknąłeś się na ten temat ani słowem.

— Są rzeczy, które najlepiej zachować dla siebie.

— Zatem co teraz? Reid i ta świnia Scully będą nas tropić.

— Oni oraz rada wojskowa — uściślił Ryan. — Nie, sądzę, że czas wyruszyć na wycieczkę. Mówią, że o tej porze w Ameryce jest cudownie. Musimy dotrzeć do bezpiecznego domu w Bundoran. Czekają tam na nas fałszywe paszporty. Wszak wiesz, jak bardzo bywam przezorny. Zawsze mam takie rzeczy na podorędziu.

— Ale pieniądze, stryju Michaelu! Skąd weźmiemy pieniądze?

— Och, z Martinem nie do końca byłem szczery. Wciąż mam w kopercie w kieszeni na piersi te drugie pięćdziesiąt tysięcy funtów, które miałem zapłacić Tully'emu.

— Mój Boże, co za człowiek!

— Chwilowo powinny nam wystarczyć. Kiedy się skończą, coś wymyślę.

— Co wymyślisz?

— Rabowałem już banki w Ulsterze. Dlaczego więc nie miałbym robić tego w Ameryce?

— Czasami myślę, że jesteś kompletnym szaleńcem.

— Czasami jestem, ale ruszajmy w drogę.

Wziął Kathleen pod rękę i zgodnie ruszyli do Drumdonald.

W tej samej chwili spomiędzy drzew wynurzył się Keogh, który stał w mroku i przysłuchiwał się ich rozmowie.

— Ty cholerny lisie — powiedział cicho, ale w jego głosie brzmiały nuty podziwu.

Odwrócił się na pięcie i skierował w przeciwną stronę, do Scotstown.

W Dublinie była szósta rano, więc kiedy zadzwonił przenośny telefon, Jack Barry, w pół jeszcze śpiąc, leżał obok swej żony w szerokim łóżku.

Barry wyślizgnął się z pościeli, wziął słuchawkę i przeszedł do łazienki.

— Tak?

— Rozmowa na koszt abonenta. Od pana Keogha. Czy pan ją przyjmie?

— Oczywiście — odrzekł Barry.

W chwilę później ze słuchawki dotarł głos Martina.

— To ty, Jack?

— Gdzie jesteś?

— W budce telefonicznej w wiosce Scotstown na wybrzeżu Down.

— Co się tam dzieje? W Kilalli czeka dwudziestu ludzi z brygady hrabstwa Down.

— Odeślij ich do domu, Jack. „Irish Rose” nie przepłynie.

— Wyjaśnij to — zażądał Barry.

— Jezu, taki plan i tak fatalnie się zakończył — jęknął, gdy Keogh skończył mówić.

— Wiem. Ten Michael Ryan to łebski gość.

— No dobrze — mruknął Barry. — Stojąc w cieniu drzew i podsłuchując jego rozmowę z bratanicą, mogłeś łobuza zastrzelić i zabrać master navigatora. Przynajmniej wiedzielibyśmy, gdzie szukać tej przekłętej barki.

— Jack, wydobyć tego złota to poważne przedsięwzięcie ratownicze.

— Mówisz, jakbyś się usprawiedliwił. Chcesz mnie zmiękczyć?

— Polubiłem go, Jack, i polubiłem tę smarkulę. Złoto nie dotarło do miejsca przeznaczenia i lojaliści nie uzbroją się do wojny domowej. Dajmy już sobie z tym spokój.

Barry roześmiał się ochryple.

— Niech cię drzwi ścisną. Jak zawsze masz rację. Scotstown, mówisz? Jest tam pub „The Loyalist”, ale nie daj się zwieść nazwie. Jego właściciel, Kevin Stringer, to jeden z naszych ludzi. Zaraz do niego zadzwonię i powiem, że ma się ciebie spodziewać. Później przyślę tam samochód.

— To mi się podoba.

— I bacznie oglądaj się za siebie.

Keogh wyszedł z budki, po czym stał chwilę w deszczu, rozmyślając o Michaelu Rynie i jego bratanicy. Ze zdumieniem uświadomił sobie, że dobrze życzy wrogom. Zapalił papierosa i ruszył wioskową drogą na poszukiwania pubu.

STAN NOWY JORK

IRLANDIA

LONDYN

WASZYNGTON

IRLANDIA

1995

7

Paolo Salamone maszerował przez trawnik w towarzystwie swego prawnika, Marca Sollazo. Mimo sycylijskich nazwisk obaj byli dobrymi Amerykanami, którzy urodzili się i wychowali w tym kraju.

Salamone, dziecko ulic nowojorskich Małych Włoch, jak większość swych krajanów, poszedł zwykłą drogą mafii. Najpierw jako jeden z chłopaków, *piccioti*, szybko awansował, zdobywając przy tym powszechny szacunek. Trzy razy pracował w charakterze egzekutora, co dało mu wstęp do rodziny don Antonia Russo, która wykorzystywała go jako *sicario*, wykwalifikowanego zabójcę. Oskarżony o stosunkowo drobne przewinienia, w tym handel narkotykami, siedział dwukrotnie w więzieniu. Jego upadek nastąpił przed dwoma laty, kiedy usuwał jednego z konkurentów don Antonia. Nieoczekiwanie pojawił się wówczas dokonujący obchodu ulicy policjant. Salamone podczas wymiany ognia dostał kulę w nogę i to wyeliminowało go z zawodu. Co więcej, nieszczęśliwy traf chciał, że w strzelaninie trafił oficera policji, a na dodatek była to kobieta. Wyrok dwudziestu pięciu lat więzienia, a nie kara śmierci, świadczył o wielkim talencie jego obrońcy, Marca Sollazo, siostrzeńca don Antonia.

Jedynym powodem, dla którego Salamone został przeniesiony z więzienia Ossining do Green Rapids był fakt, że Paolo ukończył pełny kurs pielęgniarzy i zainteresował się nim szpital w Green Rapids.

Marco Sollazo miał trzydzieści pięć lat i był małomównym, choć nie pozbawionym wdzięku przystojnym mężczyzną o ciemnych, zaczesanych do tyłu włosach. Chodził w garniturze od Armaniego, a szyję zdobił mu czarny jedwabny krawat absolwenta szkoły wyższej. Typowy produkt uczelni prawniczej Groton and Harvard i wychowywany w dostatku przez wuja, stanowił dumę i radość don Antonia.

— Marco, mam szansę na rewizję wyroku? Przecież nie było to zabójstwo umyślne. Jeśli nic nie zrobisz, spędzę tutaj najbliższych dwadzieścia pięć lat.

— Robię, co mogę — odparł Marco. — To trudna sprawa.

— Cóż, wiem, że robisz wszystko, co w twojej mocy. Wiem bardzo dużo o Rodzinie, ale trzymam język za zębami.

— Paolo, nie sądzę, żeby don Antonia zachwyciło to, co mówisz. Przeciwnie, twoje słowa mogłyby go bardzo zasmutzić.

— Och, nie zrozum mnie źle — szybko poprawił się Paolo. — Nigdy nie zdradziłbym swego ojca chrzestnego. Ale... no wiesz... chciałbym otrzymać jakąś pomoc.

— Wiem, wiem — odparł ze współczuciem Marco. — Badam każdą ścieżkę. Poza tym don ma wielkie wpływy. Kto wie?

Salamone szarpnął go za ramię.

— A jeśli dam ci coś dobrego? Coś naprawdę dobrego?

— O czym mówisz?

Po trawniku snuli się więźniowie w towarzystwie odwieczających ich osób i Salamone pociągnął Sollaza w kierunku ustronnej ławki. Wskazał siwowłosego mężczyznę w wieku około sześćdziesięciu pięciu lat; towarzysząca mu kobieta liczyła sobie mniej więcej dwadzieścia pięć.

— Twierdzi, że nazywa się Liam Kelly. Ta dziewczyna to Jean Kelly, jego bratanica. Jest pielęgniarką w szpitalu Green Rapids.

— I co z tego?

— Liam odsiaduje wyrok dwudziestu pięciu lat za zabójstwo policjanta w Pleasantville przed dziesięcioma

laty. Rabował bank. Poznałem go w Ossining, gdzie dostał anginy pectoris i przeniesiono go do Green Rapids, bo tu jest doskonały szpital. Mnie do Green Rapids przeniesiono w kilka miesięcy później i włączono do personelu. Widzisz, mamy tu znakomite warunki, lecz to więzienie jest miejscem bardzo szczególnym. Najmniejsze problemy i więźnia natychmiast odsyła się ciupasem tam, skąd przybył.

— Do czego zmierzasz? — przerwał mu Sollazo.

— W zeszłym miesiącu Liam Kelly miał kolejny atak dusznicy. Moim zdaniem on i jego bratanica są Irlandczykami, choć nie rodowitymi. Z takim dziwnym akcentem mówią w Irlandii Północnej. Tak czy owak, stan jego zdrowia nie był najlepszy. Kelly miał bardzo wysoką gorączkę. Trzymali go w separacie pod kroplówką. Jako pielęgniarz pełniłem dyżur na nocnej zmianie i akurat zajmowałem się Kellym.

— No i?

— Kiedy wpadł w malignę, wygadywał przeróżne zwirowane rzeczy. Nieustannie gadał o jakimś statku o nazwie „Irish Rose” i o tym, że jest jedynym człowiekiem, który wie, gdzie ta jednostka zatonięła, oraz jedynym, który wie, gdzie jest złoto.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Sollazo siedział ze zmarszczonym czołem.

— Jedynym człowiekiem, który wie, gdzie jest złoto? Tak powiedział?

— Dokładnie.

— I co zrobiłeś?

Salamone był bardzo z siebie rad.

— Poszedłem do więziennej biblioteki. Mamy tam rozległą sieć komputerową. Wystukałem nazwę „Irish Rose” i... bingo.

— Mów dalej — ponaglił go Sollazo.

— Jesienią tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku w *New York Timesie* pojawiła się notatka, że na wybrzeżu w północno-zachodniej Anglii porwana została ciężarówka przewożąca pięćdziesiąt milionów funtów w złocie. Oświadczenie policji stwierdzało, iż wszystko wskazywało na to, że załadowano ją na barkę „Irish Rose”

— Dalej?

— Barka zniknęła, lecz fale wyrzuciły na irlandzki brzeg kapoki pochodzące z jej szalupy ratunkowej. To koniec historii.

— I nie wspomniano, kto się za tym krył?

— Ani słowem.

— Interesujące — stwierdził Sollazo. — Pospacerujmy.

Ruszyli przez trawnik, przechodząc obok ławki, na której siedzieli wsparci głowami Liam Kelly i jego bratanica. Kobieta przelotnie spojrzała na Salamone'a.

— Cześć, Liam — powiedział Paolo.

— Jak leci? — odpowiedział stary mężczyzna.

— Kto to był, stryju Michaelu? — zapytała Kathleen Ryan, gdy Salamone i Sollazo oddalili się już od ławki. Dziewczyna mówiła bardziej z akcentem amerykańskim niż irlandzkim.

— Paolo Salamone, pielęgniarz ze szpitala. Mamy ze sobą co nieco wspólnego. Obaj dostaliśmy po dwadzieścia pięć lat za zabójstwo policjanta. Z tym tylko, że jemu trafiła się policjantka. Ale zmieniając temat, co nowego u ciebie?

— Wszystko w porządku. W szpitalu mam masę pracy.

— I wciąż żadnego mężczyzny?

— To zbyt kłopotliwe — odparła z uśmiechem. — Całe szczęście, że znalazłam pracę w Green Rapid. Przynajmniej mogę cię regularnie widywać.

— Jeszcze przez najbliższe piętnaście lat? — zapytał zgryźliwie i potrząsnął głową. — Nie możesz marnować sobie życia, Kathleen. — Wyraźnie wpadł w złość i podniósł się z ławki. — Boże, jak mogłem być aż tak głupi! Wmawiałem sobie, że to tylko małomiasteczkowy bank. Ciastko z kremem. No i musiał zza rogu wyłonić się ten policjant.

— Tak to już czasami bywa.

— Cóż... na szczęście tobie udało się odjechać i wywinąć z całej tej awantury.

Wyciągnął paczkę papierosów, zapalił jednego.

— Zdajesz sobie sprawę z tego, że tytoń ci szkodzi? — zwróciła uwagę stryjowi Kathleen.

— Mam sobie przedłużyć życie o rok czy dwa w starym dobrym więzieniu generalnym Green Rapids? — Wyszczrzył zęby w wymuszonym uśmiechu i cisnął papierosa na ziemię. — Dobrze już, dobrze, będę grzeczny. Odprowadzę cię do bramy.

W kierunku wyjścia zmierzało więcej osób, a między nimi Salamone i Sollazo. Ryan i Kathleen przystanęli przy bramce strażników i Michael pocałował bratanicę w policzek.

— Dzięki za odwiedziny.

— Zobaczymy się w piątek.

Opuściła teren więzienia i podeszła do samochodu. Gdy otwierała kluczykiem drzwi, ujrzała zbliżającego się do srebrnego porsche Sollaza. Prawnik spojrzał przelotnie na Kathleen, po czym odwrócił się, ale dziewczynę ogarnął jakiś dziwny i nieuzasadniony niepokój. Szybko wsiadła do auta i odjechała.

Sollazo odprowadził wzrokiem jej pojazd, po czym sięgnął po słuchawkę samochodowego telefonu i wykręcił numer swego biura. Kiedy zgłosiła się sekretarka, powiedział:

— Rosa, sprawdź, czy mamy w kartotekach doniesienie *New York Timesa* o napadzie rabunkowym w północnej Anglii, z którym wiązał się statek o nazwie „Irish Rose”. Jednostka ta przypuszczalnie zatoneła.

— Rozumiem, proszę pana. Czy coś jeszcze?

— Tak, skontaktuj się z naszymi ludźmi w Londynie. Niech sprawdzą wszystkie informacje prasowe na ten temat. Powinny być bardziej szczegółowe. Potrzebne mi są na wczoraj.

— Natychmiast tam zadzwonię.

— Jem dziś wcześniejszą kolację z don Antoniem.

— W domu na Long Island?

— Nie, w apartamencie w Trump Tower. Jak tylko się czegoś dowiesz, natychmiast tam przefaksuj.

— Zrobię, jak pan prosi.

Prowadząc samochód, Sollazo ponownie rozważał sytuację. Nie dawała mu zwłaszcza spokoju myśl, że ceny złota bardzo podskoczyły. Pięćdziesiąt milionów funtów

w złocie z roku osiemdziesiątego piątego teraz warte było dwa razy tyle.

W swoim pokoju w szpitalu Green Rapid Kathleen Ryan rozebrała się i poszła do łazienki pod prysznic. Za godzinę zaczynała trwający do szóstej rano ostry dużur na chirurgii. Nie miała nic przeciwko temu, bo uwielbiała swą pracę.

Jej stryj po rozprawie sądowej i wyroku uparł się, żeby zaczęła samodzielne życie. Nastąpiło pięć ciężkich lat wypełnionych nauką i praktyką. Więzienie Ossining było okropne. Nie mogła często widywać stryja, który akurat ciężko zachorował na serce. Liberalny reżim panujący w Green Rapids zezwalał na częste odwiedziny, a zdobycie posady w miejscowym szpitalu usunęło wszelkie problemy.

Kathleen krajało się serce na widok cienia człowieka, w jakiego zmienił się Ryan, który w swych chwalebnych czasach w Irlandii toczył zwycięskie boje z IRA, a czasami nawet z armią brytyjską. Na wspomnienie tamtych dni przenikał ją zgoła erotyczny dreszcz.

Wytarła się ręcznikiem, wysuszyła krótkie włosy i włożyła służbowy uniform. Uczesała się i przejrzała w lustrze; twarz o zdecydowanym wyrazie, ciemne oczy. Kobieta niezbyt atrakcyjna, ale przykuwająca uwagę. Kobieta, która mając czternaście lat zabiła ręcznym granatem dwóch bojowników IRA, a gdy skończyła szesnaście, zastrzeliła w wąskim korytarzu na barce morskiej Berta Foxa.

W jednej chwili wróciła cała przeszłość. Okręg Jezior, pusta szosa, na której porwali samochód-chłodnię, Martin Keogh i brutalna konfrontacja na „Irish Rose”. Gdy cofnęła się myślą do tamtych zdarzeń, ponownie ogarnęło ją podniecenie.

— Koniecznie trzeba coś wymyślić — powiedziała na głos. — Michael nie może przecież gnić w więzieniu jeszcze przez piętnaście lat.

Ogarnęła ją rozpacz. Usiadła za biurkiem i z dolnej szuflady wyjęła teczkę, a z niej dużą kopertę z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów; pieniędzmi, które z trudem

zaoszczędziła, pieniędzmi, które miały jej i stryjowi Michaelowi umożliwić gwałtowną przeprowadzkę. Odkąd Ryana przeniesiono z Ossining do więzienia Green Rapids o bardzo liberalnych przepisach, dziewczyna żywiła rozpaczliwą nadzieję, że uda mu się jakoś zbiec. W Nowym Jorku zgłosiła się nawet do fałszerza dokumentów, z którym jej stryj siedział w Ossining w jednej celi. Człowiek ten przygotował jej dwa paszporty irlandzkie, żądając tylko po tysiąc dolarów za sztukę; specjalna cena dla przyjaciół.

Kathleen po raz setny chyba zaczęła przeglądać dokumenty. Daniel Forbes, to jej stryj. Ona nazywała się Nancy Forbes. Czasami jednak ogarniały ją wątpliwości, nabierała przekonania, że wszystko to jest tylko stratą czasu i pieniędzy. Mimo bardzo luźnej dyscypliny więziennej ochrona Green Rapids była niezwykle czujna.

Zerknęła na swe zdjęcie w fałszywym paszporcie. Oblicze z fotografii wydało się jej naraz obce.

— Co stało się z Kathleen Ryan? — zapytała cicho.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju zajrzała inna pielęgniarzka.

— Jean, jesteś gotowa?

— Tak — odparła Kathleen. — Zaraz przyjdę na oddział.

Zamknęła teczkę, schowała ją do szuflady i opuściła pokój.

Don Antonio Russo miał siedemdziesiąt lat i potężną budowę ciała. Luźny, lniany, kremowej barwy garnitur uwypuklał jeszcze jego sylwetkę. Długie, siwe i zaczesane do tyłu włosy odsłaniały mięsistą, arogancką twarz. Mężczyzna, który zawsze chadzał własnymi drogami. Gdy do urządzonego z przepychem salonu w apartamencie w Trump Tower wszedł Sollazo, starzec wstał i wsparł się na lasce.

— Marco, dobrze, że już jesteś. — Uścisnęli się na przywitanie. — Kieliszek szmpana? — Don Antonio pstryknął palcami na służącego. — Aha, czeka tu na ciebie kilka faksów. Czy twoje biuro nie może dać ci spokoju nawet wieczorem?

— Wybacz, wujku, ale to bardzo ważna sprawa. Czy mogę?

— Naturalnie.

Sollazo wszedł do gabinetu, znalazł faksy i szybko je przeczytał. Wrócił do salonu, odebrał od służącego kieliszek szampana, po czym zajął miejsce naprzeciwko wuja.

— Możemy porozmawiać o interesach?

— Zawsze.

— To dobrze.

Sollazo zrelacjonował ze szczegółami rozmowę z Salamone'em.

Kiedy skończył, don mruknął:

— To bardziej niż interesujące. A faksy?

— Potwierdzają wzmiankę z *New York Timesa*, lecz zawierają przy tym dużo więcej szczegółów. Oczywiście, jak to zawsze w gazetach, informacje różnią się od siebie, ale podstawowe fakty się zgadzają. Na lokalnej drodze w Okręgu Jezior w Anglii porwana została ciężarówka przewożąca złoto wartości pięćdziesięciu milionów funtów. Jakiś chłopiec oświadczył policji, że ścigali go ludzie z barki noszącej nazwę „Irish Rose”, która przybiła do nieczynnej od lat przystani leżącej w pobliżu miejsca napadu. Dzieciak zeznał również, że tego samego dnia, później, w kierunku zacumowanej barki skręciła z głównej szosy ciężarówka dokładnie odpowiadająca opisowi porwanego samochodu.

— I?

— Oczywiście ciężarówka ze złotem popłynęła tą barką.

— Co się wydarzyło dalej?

— To już koniec historii. Po kilku dniach fale wyrzuciły na brzeg w hrabstwie Down szczątki szalupy ratunkowej i kapoki z nazwą barki.

— Rozumiem — powiedział don Antonio i w milczeniu zmarszczył brwi. — A Salamone twierdzi, że ten człowiek nazwiskiem Kelly bredził w gorączce, iż jest jedyną osobą, która wie, gdzie dokładnie statek zatonął?

— Zgadza się.

— I mówisz, że złoto warte jest pięćdziesiąt milionów funtów?

— Tyle było warte dziesięć lat temu. Ceny złota znacznie

podskoczyły. Sądzę, że obecnie jego wartość wynosi co najmniej sto milionów.

— Taka suma pieniędzy zawsze jest interesująca.

— Pomyślałem sobie — ciągnął Sollazo — że jeśliby się dysponowało odpowiednią łodzią ratowniczą, wydobyć tego złota nie byłoby przedsięwzięciem zbyt skomplikowanym, zwłaszcza jeśliby się wiedziało, gdzie dokładnie szukać zatopionej barki, a oficjalne władze by tego nie wiedziały.

— No tak — mruknął don Antonio i dłuższy czas siedział pogrążony w milczeniu. W końcu odezwał się: — Ciekawe, dla kogo pracował ten Kelly. Dla siebie, dla IRA, dla kogoś jeszcze innego?

— Tak, to może być trop — przyznał Sollazo.

— Jak wiesz, przed kilkoma laty prowadziłem pewne interesy z IRA. Dzięki swym powiązaniom sycylijskim dostarczałem im broń. Ich szefem sztabu jest człowiek o nazwisku Barry. Jack Barry.

— Obecnie trwają negocjacje pokojowe z IRA. Gerry Adams przemawiał w imieniu Sinn Fein w Białym Domu.

— I co z tego? — odparł don. — Barry to szczwany lis. Jeśli ktokolwiek wie coś o tej aferze, to tylko on. W specjalnym notesie mam numer jego domowego telefonu w Dublinie. Sięgnij na najwyższą półkę po prawej stronie. Spróbuję go złapać.

W Dublinie znudzony Jack Barry siedział przed płonącym kominkiem i czytał gazetę, a za oknem deszcz zmywał szyby. Zadzwoił telefon.

— Tu Barry.

— Pan Jack Barry? To pan? Mam nadzieję, że nie zapomniał pan starego znajomego. Mówi don Antonio Russo.

— Dobry Boże! — wykrzyknął Barry. — Czym mogę panu służyć?

— Możemy sobie nawzajem wyświadczyć przysługę, panie Barry. Rozmawiamy właśnie o bardzo poważnym interesie. Czy nazwa „Irish Rose” coś panu mówi?

Barry gwałtownie przełknął ślinę.

— A powinna?

— Co pan na to, jeśli powiem, że wiem, gdzie przebywa człowiek podpisujący się nazwiskiem Kelly, który w gorące bredził, że jest jedyną osobą wiedzącą, gdzie dokładnie zatonała barka i gdzie znajduje się złoto?

— To bardziej niż interesujące.

— Doskonale. Sądzę więc, że mamy wspólny interes. Każdemu z nas przyniesie pokaźny zysk. Pojawi się jutro u pana mój siostrzeniec i prawnik zarazem, Marco Sollazo.

— Z niecierpliwością będę go oczekiwać.

Don Antonio odłożył słuchawkę.

— Czy mamy dobre dojścia do ośrodka odosobnienia Green Rapids?

— Doskonałe.

— Dzwon tam od razu. Potrzebujemy zdjęcia Kelly'ego najszybciej jak się da. Później połącz się z lotniskiem i powiedz, żeby przygotowali gulfstreama. Powiedzmy na dwunastą w nocy. W Irlandii czas w stosunku do naszego jest przesunięty o cztery godziny do przodu, a więc do Dublina dotrzesz późnym rankiem.

— Oczywiście, wujku.

— A teraz kolacja. — Don Antonio uśmiechnął się. — Jakoś dziwnie nabrałem apetytu.

Następnego dnia w Dublinie, tuż przed południem, w mieszkaniu Barry'ego odezwał się dzwonek przy drzwiach i gospodarz ruszył je otworzyć. W progu stał Marco Sollazo.

— Pan Barry?

— Zapewne pan Sollazo?

— Zgadza się.

— Proszę wstąpić na chwilę. Muszę wziąć płaszcz. Przepraszam za bałagan, ale ostatnio jestem sam. W zeszłym roku zmarła mi żona.

Marco Sollazo czekał w niewielkim saloniku. Była w nim kanapa, fotele klubowe, kominek, wyblakłe fotografie dzieci w różnym wieku. Główne miejsce zajmowało zdjęcie gospodarza, sześćdziesięcioletniego mężczyzny o ujmującej

twarzy i w wełnianej kamizelce, przez kilka krytycznych lat pełniącego funkcję szefa sztabu Tymczasowej IRA.

W pokoju pojawił się Barry w płaszczu i w czapce z daszkiem.

— Przejdziemy się po parku, a później wstąpimy do „Cohan's Bar” coś zjeść i wypić.

— Jak pan sobie życzy.

W przedpokoju Barry zdjął parasol z wieszaka na płaszcze.

— Na wszelki wypadek — wyjaśnił. — Proszę nie zapominać, że jesteście w Irlandii.

Przekroczyli przez jezdnię i skierowali się do parku ogrodzonego pomalowanym na zielono parkanem.

— Nie możemy bezpiecznie porozmawiać w pańskim domu? — zainteresował się Sollazo. — Czyżby obawiał się pan podsłuchu?

— Do licha, nie. Ale dawniej tak się zdarzało. Tajne brytyjskie służby wywiadowcze, wywiad irlandzki, dubliński wydział specjalny. Zatrudniałem ekipę własnych fachowców, którzy co tydzień czyścili mi dom z tego paskudztwa. Podejrzewam, że pański wuj również podejmował podobne środki ostrożności.

— Podejmuje je do dziś.

— No cóż, obecnie nie jestem już szefem sztabu IRA — wyjaśnił z uśmiechem Barry. — Czas pokoju, panie Sollazo, tak mi właśnie powiedziano.

— A zatem IRA już nie istnieje?

Barry wybuchnął śmiechem.

— Jeśli pan uwierzy w to, uwierzy pan we wszystko. Moje miejsce w sztabie zajmuje teraz ktoś inny. Nasze struktury dowodzenia w całym kraju pozostały nietknięte i podobnie jak wasz prezydent czy brytyjski premier dysponują poważnymi finansami. Nie zamierzamy oddać broni.

— Tak, wiem z gazet, że głównym tematem rozmów naszego prezydenta podczas jego piątkowej wizyty w Londynie będzie właśnie wasza odmowa złożenia broni.

— Mogą sobie gadać do upadłego, nam to nie robi żadnej różnicy. Bez względu na to, co się wydarzy, nie pozbedziemy się uzbrojenia.

— A czy nie sądzi pan, że pokój w końcu nastanie?

— Jak dotąd nigdy nie nastął. — Gdy minęli bramę parku, zaczęło padać i Barry otworzył parasol. — A nie mówiłem? Tak czy owak, przejdźmy do sprawy.

Sollazo wyciągnął fotografię, którą dostarczono mu zeszłego wieczoru z Green Rapids.

— Zna pan tego człowieka?

— Ależ oczywiście — odparł Barry, kiwając głową. — Nazywa się Michael Ryan, notoryczny bandzior pracujący dla lojalistów. Oranżysta z Belfastu.

— Czy zdziwi pana wiadomość, że od dziesięciu lat przebywa w amerykańskim więzieniu?

Barry uśmiechnął się.

— No tak, zagadka się wyjaśniła. W osiemdziesiątym piątym przepadł jak kamień w wodzie. Nie trafiłem na żaden jego ślad. Za co siedzi?

— Podczas napadu na bank zastrzelił policjanta. Dostał dwadzieścia pięć lat.

— Skurczybyk — mruknął Barry i cicho gwizdnął. — Ma już lat... z sześćdziesiąt pięć. Nie sądzę, żeby ujrzał jeszcze jasne niebo bez kraty.

— Raczej nie. Po odsiedzeniu piętnastu może wprawdzie prosić o zwolnienie warunkowe, ale wtedy będzie miał już siedemdziesiątkę i niewielką szansę na pozytywne załatwienie sprawy. Proszę nie zapominać, że zabił policjanta.

— Jakiego imienia i nazwiska używa?

— Liam Kelly. Kiedy ciężko zachorował na serce, przeniesiono go z Ossining do ośrodka odosobnienia Green Rapids. Ma tam doskonałą opiekę lekarską, a szpital miejski jest naprawdę wyjątkowy. Odwiedza go regularnie bratanica, pracująca w tym szpitalu jako pielęgniarka. Nazywa się Jean Kelly. Widziałem ją. Drobną i raczej paskudną na swój prostacki sposób. Ciemne włosy, 'lat dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć...

— To Kathleen Ryan, jego bratanica. Cóż, zabawne, że po tylu latach... — Deszcz nagle się nasilił i Barry wciągnął Sollaza pod parasol. — Skryjmy się w barze. Chciałbym usłyszeć, co ma mi pan do powiedzenia na temat „Irish Rose”.

Gdy Sollazo skończył opowieść, Barry długo myślał, marszcząc lekko czoło.

— Proszę mi powiedzieć — odezwał się w końcu — po co pan do mnie przyjechał?

— Interes — wyjaśnił prawnik. — Wyłącznie interes. Zatopione złoto po dzisiejszych cenach warte jest sto milionów funtów.

— A wy byście chcieli położyć na nim ręce?

— Pozwoli pan, że postawię sprawę jasno. Mój wuj sądzi, iż w tym przedsięwzięciu najlepsza byłaby spółka między nami a wami, IRA. Zysk po połowie. Czy może być uczciwszy układ? Jeśli nie dojdzie do zawarcia pokoju, za pięćdziesiąt milionów w złocie możecie, przyjacielu, zakupić bardzo dużo broni.

— To prawda, i pański wuj, gnany charakterystycznym dla niego instynktem do robienia dobrych interesów, przysłał pana pod właściwy adres. Ale nie z tych względów, o jakich pan myśli.

— Sądzę, że powinien mi pan dokładniej wyjaśnić, o czym mowa.

— Widzi pan, o awanturze z „Irish Rose” wiem więcej niż ktokolwiek inny. Wiem tyle samo co sam Ryan.

— A niby skąd?

— Wiedziałem, że Ryan coś planuje... plotki... a nawet to, że w grę wchodzi złoto. Zatem podsunałem mu swego człowieka, którego nazywaliśmy Martin Keogh.

— Oczywiście tożsamość fałszywa.

— Tak. To był jeden z moich najlepszych ludzi. Towarzyszył Ryanowi od początku i wziął nawet udział w napadzie. Był na „Irish Rose”, kiedy barka ta zatoneła.

— Proszę mi o tym opowiedzieć — rzekł Sollazo. — Proszę mi wszystko opowiedzieć.

Później, gdy już siedzieli w narożnej łoży w „Cohan's Bar”, pili guinnessa i pogryzali kanapki z szynką, Sollazo stwierdził:

— Zdumiewająca historia. Ten Martin Keogh! Ciągłe kręci się w interesie?

— Poniekąd. Kilka lat temu opuścił szeregi IRA i zaczął pracować na własną rękę, jako najemnik, jeśli pan chce. Pracował praktycznie dla wszystkich. Dla dawnego KGB, dla OWP, nawet dla Izraelczyków.

— A co robi teraz?

— Pracuje dla wywiadu brytyjskiego.

— To raczej dziwne.

— Angole stworzyli supertajną brygadę antyterrorystyczną, która w siedemdziesiątym drugim roku wykonała kilka rzeczywiście paskudnych zadań. Od tamtego czasu kieruje nią brygadier Charles Ferguson. Nie podlega nawet dyrektorowi służb bezpieczeństwa. Odpowiada jedynie przed premierem. Dlatego kierowany przez niego oddział nazywany jest w branży prywatną armią premiera.

— I ten pański tak zwany Keogh pracuje dla Fergusona?

— Zgadza się. Jest jego człowiekiem do zadań specjalnych. Jakieś trzy lata temu ten stary lis szantażem zmusił go do pracy w swoim wydziale. Obiecał oczyścić mu kartotekę. Żadnych konsekwencji za dawne powiązania z IRA. Potrzebował w swej ekipie kogoś takiego jak Keogh. Rozumie pan, złodzieja najlepiej złapie złodziej.

— W istocie. A ten Keogh... jak się naprawdę nazywa?

— Dillon... Sean Dillon. W swoim czasie najniebezpieczniejszy człowiek, jakiego miałem.

— Fachowiec — mruknął Sollazo, gdy wracali przez park. — Mówię o Dillonie. Ale mało prawdopodobne, by zechciał nam pomóc.

— Wcale go nie potrzebujemy. Powiedział mi wszystko, co powinienem wiedzieć. Teraz tę wiedzę przekazałem panu.

— A Reid, ten, który zabił w Londynie człowieka. Też jest jeszcze w obiegu?

— Odsiaduje wyrok za morderstwo. Przebywa w więzieniu w Ulsterze.

— Jeszcze jedno. Rada Wojskowa Lojalistów, o której pan wspominał. Słusznie zakładam, że też chętnie położyłaby łapę na tym złocie?

— O, z całą pewnością. Lojaliści są bardziej niż niez-

dowoleni z kierunku, w jakim idą negocjacje pokojowe. Uważają, że ich sprzedano. Skrajne elementy otwarcie dążą do eskalacji wojny domowej. Potrzebują tego złota. Dzięki niemu dotarliby do każdego rodzaju broni, jakiej by potrzebowali.

— Ale pan nie chce do tego dopuścić i wnioskuję z tego, że przystąpi pan do spółki z nami?

— Ale nie oficjalnie, nie w tej chwili. Pozwoli pan, że wyjaśnię. Ludzie rozpaczliwie pragną pokoju. Nie ufają już nikomu, ani Sinn Fein ani samej IRA. Jeśli zacznę teraz konferować z szefem sztabu, będzie musiał przedyskutować to z radą wojskową, a wtedy natychmiast nastąpiłyby przecieki.

— Rozumiem. Co zatem pan proponuje?

— Zachowajmy chwilowo sprawę między nami. — Barry uśmiechnął się z przymusem. — I proszę nie myśleć, że chodzi mi wyłącznie o prywatny interes. Pieniądze nic dla mnie nie znaczą. Znaczą natomiast wiele dla sprawy, której służę. Wyciągnijcie od Ryana informację, gdzie dokładnie zatoneła „Irish Rose”. Następnie zorganizujcie dyskretnie wyprawę. Niewielka łódź i nurek, który sprawdzi, czy złoto jest tam naprawdę.

— A później?

— To już zależy od was. Jestem pewien, że potraficie upozorować naukową ekspedycję morską. To odpowiednia przykrywka do wyciągnięcia tego złota. — Wyszczrzył zęby. — Wierzę w was.

Przed domem stała czarna limuzyna. Opierał się o nią sprawiający wrażenie twardziela mężczyzna ze złamanym nosem. Miał na sobie granatowy uniform szofera.

— To mój kierowca — wyjaśnił Sollazo.

— I goryl w jednej osobie.

— Giovanni Mori — powiedział prawnik, podając Barry'emu dłoń. — Jestem zachwycony naszą rozmową. Uwielbiam brać udział w spotkaniach, które osnują się legendą, panie Barry. A taka gratka zdarza się nieczęsto. Pozostaniemy w kontakcie.

Wsiadł do samochodu od strony pasażera. Mori obszedł limuzynę i wślizgnął się za kierownicę.

— Wszystko poszło dobrze? — zapytał.

— Bardzo dobrze — odparł Sollazo. — Giovanni, jedziemy na lotnisko. Wracamy do Nowego Jorku.

Rozparł się w fotelu, zamknął oczy i zaczął przetrawiać w myślach to, co powiedział mu Barry.

W Nowym Jorku była dziewiąta rano, kiedy Sollazo ponownie zjawił się w apartamencie w Trump Tower. Don Antonio siedział w fotelu, dłonie zaciskał na srebrnej gałce laski i z uwagą słuchał Sollaza, który relacjonował mu wszystko, czego dowiedział się w Dublinie.

— Zdumiewająca historia — stwierdził Russo, wysłuchawszy relacji.

— Pociągniemy tę sprawę?

— Naturalnie. To bardzo lukratywne przedsięwzięcie. Ale najważniejszy jest pierwszy krok. Wydobycie z Ryana danych dotyczących lokalizacji „Irish Rose”.

— W pełni podzielam twoje zdanie, wujku. Lecz z drugiej strony, dlaczego miałby ze mną rozmawiać, jeśli sam nic z tego nie będzie miał?

— Jak sądzisz, czy udałoby ci się załatwić mu zwolnienie warunkowe?

— Wątpię. Nie zapominaj, że zastrzelił policjanta.

Don pokiwał głową.

— Istnieje wiele sposobów na obłupienie kota ze skóry. Jestem przekonany, że coś mądrego wymyślisz. Zajmuj się w więzieniu Salamone'em. Może się okazać bezcenny. Tę sprawę zostawiam w twoich sprawnych rękach. — Uśmiechnął się. — Szklaneczkę wina? Aha, nasz prezydent wybiera się do Londynu.

8

Don Antonio miał rację. W Londynie najważniejszą sprawą dla oddziału antyterrorystycznego było spotkanie premiera z prezydentem Stanów Zjednoczonych, które miało się odbyć pod koniec tygodnia. Stanowiło to główny kłopot brygadiera Charlesa Fergusona. Oficer był poruszony do żywego i okazywał to, gdy jego daimler utkwiał na dobre w ulicznym korku.

— Czasem odnoszę wrażenie, że to przeklęte miasto zamiera w bezruchu.

— Jasne, czasami rzeczywiście tak bywa — zgodził się Sean Dillon, siedzący na składanym fotelu, plecami do kierunku jazdy.

Był niskim mężczyzną wzrostu sto sześćdziesiąt pięć centymetrów i z tak jasnymi włosami, że sprawiały wrażenie białych. Z jego przystojnej twarzy nigdy nie schodził uśmiech, zupełnie jakby Dillon nieustannie kpił sobie z otaczającego go świata. Nosił dopasowany niebieski garnitur z flanak' z jednorzędową marynarką i granatową, jedwabną koszulę polo.

— Chcę ci przypomnieć, Dillon, że jestem umówiony z premierem. Nie wolno mi się na to spotkanie spóźnić.

— To przyzwoity gość — odparł niedbale Dillon. — Nie będzie żywił urazy.

Obok Fergusona siedziała kobieta ubrana w płowego koloru spodniem od Armaniego, a na nosie miała okulary w czarnej rogowej oprawie, które ostro kontrastowały z jej rudymi włosami. Liczyła sobie dwadzieścia kilka lat i była

na tyle atrakcyjna, że jej zdjęcia mogłyby pojawić się na łamach *Vogue*. Nazywała się Hannah Bernstein, pełniła funkcję głównego inspektora, detektywa wydziału specjalnego Scotland Yardu, skąd odkomenderowano ją na asystentkę Fergusonona.

— Dillon, jesteś beznadziejny — stwierdziła. — Typowy Irlandczyk, dla nikogo żadnego szacunku.

— To wszystko przez ten deszcz, dziewczyno miła — odparł Dillon.

— Szkoda na niego czasu — mruknął Ferguson. — Beznadziejny przypadek.

Strażnicy w ustawionej na Downing Street bramce przepuścili daimlera i samochód podjechał pod dom oznaczony numerem dziesięć.

— Nie zajmie mi to więcej niż dwadzieścia minut — poinformował Ferguson.

— Będzie tam ten stary opój Simon Carter? — zainteresował się Dillon.

— A czy mogę referować sprawę poza plecami zastępcy dyrektora służb bezpieczeństwa? — odparł pytaniem Ferguson.

— No tak. Zatem nie zapomnij mu powiedzieć, iż moim zdaniem jego plany ochrony amerykańskiego prezydenta nieco śmierdzą.

— Nie jest to właściwa forma, Dillon. Do mego powrotu spróbuj uzbroić się w cierpliwość.

Przeszedł przez jezdnię, policjant pełniący służbę zasalutował, otworzył przed nim drzwi i Ferguson przekroczył próg.

— To wielkiej klasy dżentelmen. Jestem pewien, że imperium znajduje się w dobrych rękach.

Dillon wyjął papierosa ze staroświeckiej, srebrnej papierošnicy i zapalił.

— Imperium już nie istnieje, Dillon — odparła Bernstein.

— Naprawdę? Czy rząd o tym wie?

Potrząsnęła głową.

— Naprawdę jesteś beznadziejny. I zginiesz śmiercią tragiczną, jeśli będziesz mi tu smrodził tymi kopciuchami.

— To prawda. Ale zawsze wiedziałem, że źle skończę.

Gdy w gabinecie premiera pojawił się Ferguson, Simon Carter już tam był. Drobny mężczyzna około pięćdziesiątki z włosami białymi jak śnieg, w przeszłości profesor historii, należał do tych ludzi o nijakich twarzach, którzy nie będąc nigdy czynnymi agentami, kontrolowali brytyjski system bezpieczeństwa. Od lat czuł niechęć do Fergusona i zawsze miał mu za złe uprzywilejowaną pozycję i to, że podlegał wyłącznie premierowi.

— Przepraszam za spóźnienie, panie premierze — odezwał się brygadier.

Nie próbował się nawet tłumaczyć, co premier skwitował uśmiechem.

— Nic nie szkodzi. — Sięgnął po plik papierów. — To są zatwierdzone przez zastępcę dyrektora plany środków bezpieczeństwa, jakie podjęte zostaną na czas wizyty prezydenckiej. Czy pan już się z nimi zapoznał?

— Naturalnie.

— Szczególnie niepokoję się wizytą w Izbie Gmin. Chodzi mi o odpoczynek na tarasie o godzinie dziesiątej trzydzieści.

— Z tym akurat nie ma problemu, panie premierze — wtrącił Carter. — Jedynym miejscem podczas całej wizyty, które nie nastreczy ochronie żadnych problemów, będzie właśnie Izba Gmin. — Odwrócił się do brygadiera ze swą zwykłą arogancką miną. — Zgodzisz się ze mną, Ferguson?

Ferguson puściłby tę uwagę mimo uszu, lecz wyraz twarzy Cartera doprowadził go do furii.

— Więc jak, panie brygadierze? — zapytał premier.

— Pozornie wszystko jest, w porządku, panie premierze, ale szczerze mówiąc, Dillon tak nie uważa. Jego zdaniem ochrona Izby Gmin pozostawia bardzo wiele do życzenia.

— Dillon? — Carter wybałuszył oczy. — Ten przeklęty łajdak! Naprawdę muszę zaprotestować, panie premierze, przeciwko zatrudnieniu przez brygadiera Fergusona dawnego bandyty z IRA, człowieka z bogatą kartoteką, jeśli chodzi o europejski terrorizm. Można go określić tylko jednym słowem: nikczemnik.

— Ja ze swej strony również pragnę zaprotestować — zripostował Ferguson. — Wszyscy doskonale wiemy, że

Dillon oddał znaczne usługi Koronie, nie mówiąc już o rodzinie królewskiej.

— Tak, jestem tego świadom. — Premier nachmurzył się. — Ale sprawa jest zbyt poważna, panowie, żeby przy jej okazji wyciągać osobiste animozje i załatwiać prywatne porachunki. Ja tu decyduję. — Rozparł się w fotelu i popatrzył na Cartera. — Chcę, żeby spotkał się pan w Izbie Gmin z brygadierem i Dillonem. Chcę, żeby wysłuchał pan uważnie tego, co mają do powiedzenia.

Carter z najwyższym trudem zapanował nad ogarniającym go gniewem.

— Skoro pan tak uważa, panie premierze.

— Tak, tak właśnie uważam. A teraz proszę panów o wybaczenie. Mam posiedzenie gabinetu.

Żeby dostać się do gmachu Izby Gmin i obejrzeć członków parlamentu, wszyscy musieli stać w kolejce; nie tylko przypadkowi turyści, ale i osoby urzędowe. Ferguson, Dillon i Hannah Bernstein czekali na swoją kolej. Brygadier zaczynał już wykazywać oznaki pewnego zniecierpliwienia.

— Wspaniałe miejsce — odezwał się Dillon. — Mówią, że jest tu dwadzieścia sześć restauracji i barów z jedzeniem i napojami, za które płacą podatnicy. Być członkiem parlamentu to niezła synekura.

— Jasne, przynajmniej nie muszą stać w kolejce, żeby dostać się do tego szlachetnego przybytku — odwarknął Ferguson.

Potężnie zbudowany sierżant policji doglądający kolejki popatrzył z uwagą na Hannah, po czym do niej podszedł.

— Główna inspektor Bernstein? Miło mi panią spotkać. Proszę, oto przepustka. Czy pani mnie sobie przypomina?

— Naturalnie. Sierżant Hall, prawda?

— Tak, proszę pani. Byłem pierwszy na miejscu napadu, gdy zastrzeliła pani tego bydlaka, który rabował w supermarkecie. Jechała pani wtedy do ambasady amerykańskiej.

— To już czysta niegodziwość — burknął Dillon.

— To mój kolega, pan Dillon — wtrąciła szybko Hannah. — A to mój szef, brygadier Ferguson.

Sierżant Hall w jednej chwili przybrał służbową postawę.

— Brygadierze, proszę, mogą państwo wejść.

— To miło z pana strony, sierżancie.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Funkcjonariusz przeprowadził ich za barierę, zsalutował, a oni ruszyli w kierunku głównego holu.

— Jak to dobrze, że pani jest tu z nami, główna inspektor — odezwał się Ferguson. — Mogliśmy stać w tej kolejce do końca świata.

— Upokarzające, prawda? — zauważył Dillon.

Minęli szereg przestronnych korytarzy i w końcu znaleźli się na tarasie, z którego po lewej rozciągał się widok na Tamizę i most westminsterski, a po prawej po drugiej stronie rzeki widać było Embankment. Wzdłuż parapetu okalającego taras ciągnęły się wiktoriańskie lampy. Panował już spory tłok, roiło się od zaproszonych, oficjalnych gości, jak też członków parlamentu, popijających przy „Terrace Bar”.

Dillon zatrzymał przechodzącego kelnera.

— Poproszę pół butelki dobrego rocznika kruga i trzy kieliszki. — Uśmiechnął się. — Ja stawiam, brygadierze.

— Takiś hojny? — odrzekł Ferguson. — Ale pamiętam, że zarobiłeś sześćset tysięcy funtów na sprawie Michaela Arouna w dziewięćdziesiątym pierwszym. Powiedziałbym, że na biednego nie trafiło.

— Święta racja, brygadierze, święta racja. — Dillon przechylił się przez parapet, popatrzył na przepływającą w dole Tamizę, po czym przeniósł wzrok na Hannah. — Czy zauważyłaś, że ten syntetyczny kobierzec, na którym stoimy, jest zielony?

— Widzę.

— A widzisz, gdzie się zmienia na czerwony? To koniec Izby Lordów... tam, w miejscu, gdzie zaczyna się schodzące do samej rzeki rusztowanie?

— Widzę.

— Wy, Angole, macie wielkie tradycje.

— Jestem Żydówką, Dillon, i dobrze o tym wiesz.

— O, pewnie, że wiem. Twój dziadek był rabinem,

ojciec profesorem chirurgii, a ty jesteś magistrem nauk humanistycznych uniwersytetu w Cambridge. Czy istnieje coś bardziej brytyjskiego?

W tej samej chwili na tarasie pojawił się Carter i podszedł do nich szybkim, nerwowym krokiem.

— W porządku, Ferguson — burknął. — Nie mam dużo czasu. Co masz do powiedzenia?

— Dillon? — zapytał brygadier.

— Moim zdaniem w systemie ochrony jest bardzo dużo luk — powiedział do Cartera Dillon. — Zbyt wiele tu osób, jest dwadzieścia sześć restauracji i barów, dziesiątki wejść i wyjść nie tylko dla członków parlamentu, ale i dla personelu, dla robotników...

— Och, daj spokój, każdy przecież ma przepustkę, każdy jest sprawdzany.

— A rzeka?

— Co rzeka? To jakieś nonsensy! Przecież w Londynie na Tamizie mamy przypiływy i odpływy, Dillon, prąd jest zabójczy. Nigdy nie schodzi poniżej trzech węzłów, a czasami osiąga nawet pięć.

— Skoro tak, to przepraszam.

— Też sądzę, że powinienesz mnie przeprosić. — Carter odwrócił się do Fergusona. — Mogę już iść?

Brygadier popatrzył na Dillona i Irlandczyk przesłał mu pełen znużenia uśmiech.

— Jest pan bardzo zarozumiały, panie Carter. Brygadierze, założę się z tym człowiekiem, że w piątek rano, kiedy będzie tu prezydent i premier, dostanę się na taras, i to całkiem nielegalnie. Jeśli mi się ta sztuka nie uda, pan Carter zafasuje ode mnie pięćset funtów. Jeśli mi się powiedzie, dostanie tylko pięć.

— A niech cię szlag trafi, przyjmuję zakład! — wykrzyknął Carter i wyciągnął rękę do Fergusona. — Przybij. — Roześmiał się. — Ale z ciebie zabawny gnojek, Dillon — dodał i odmaszerował w głąb tarasu.

— Dillon, jesteś pewien, że wiesz, co robisz? — zapytał Ferguson.

Dillon przechylił się ponownie przez parapet i popatrzył w spienioną wodę, która kotłowała się pięć metrów niżej.

— O, myślę że tak, zwłaszcza jeśli pani główna inspektor dostarczy mi właściwej informacji.

Biura Fergusona mieściły się na trzecim piętrze Ministerstwa Obrony, a ich okna wychodziły na Horse Guard Avenue. W godzinę po rozmowie z Carterem Hannah Bernstein wprowadziła do swego gabinetu Dillona.

Usiadła za biurkiem.

— W porządku, mów, czego ci trzeba?

— Najlepszego znawcy Tamizy. Kto to może być? Ktoś w wydziale ceł i akcyz? Z policji rzecznej?

— Spróbujemy i tu, i tu.

— Dobrze. Ja zajmę się herbatą, a ty sprawdzaj.

Podgwizdując pod nosem, wyszedł do sekretariatu i nastawił imbryk. Kiedy woda zaczęła kipieć, zaparzył herbatę, przygotował filiżanki, nalał do dzbanuszką mleko, postawił wszystko na tacy, po czym wrócił do gabinetu.

Hannah rozmawiała jeszcze przez telefon.

— Dziękuję, inspektorze — powiedziała, odłożyła słuchawkę i rozparła się na krześle. Dillon nalewał herbatę. — Jak w domu. Rozmawiałam z policją rzeczną. Powiedziano mi, kto jest największym specjalistą od Tamizy. — Odwróciła się do komputera i nacisnęła kilka klawiszy. — Sprawa się wyjaśniła. Ani policja rzeczna, ani celnicy, lecz londyński gangster.

Dillon wybuchnął śmiechem.

Na ekranie pojawiły się dane.

— Harry Salter. Sześćdziesiąt pięć lat. W wieku dwudziestu lat skazany na siedem za napad na bank. Później nie karany — czytała Hannah. — Ale popatrz na protokół wywiadu kryminalnego. Właściciel rzecznych statków wycieczkowych, pubu „Dark Mark” w Wapping i sieci magazynów wartych ponad milion funtów.

— Spryciula — stwierdził Dillon.

— Przemytnik. Bierze udział we wszystkich szwindlach na rzece. Papierosy, gorzała, diamenty z Holandii. Wszystko.

— Nie wszystko — przerwał jej Dillon. — Poczytaj dokładnie. Żadnych narkotyków, żadnej prostytutce, żadnych klubów z rozbierającymi się panienkami. — Usiadł na krześle. — Powiedziałbym, że mamy do czynienia z gangsterem w starym stylu. Zapewne nie lubi mężczyzn, którzy przeklinają przy damach.

— Niemniej to gangster, Dillon, podejrzewany o zabójstwa innych gangsterów.

— Ale komu to przeszkadza, skoro porządnym obywatelom nie wyrządza przy tym krzywdy? Pokaż jego zdjęcie.

Ekran komputera mignął i Dillon przez dłuższą chwilę studiował wizerunek mięsistej twarzy mężczyzny.

— Tak jak się spodziewałem. Całkiem przystojny.

— Cóż, przypomina trochę Billa Sykesa — przyznała Hannah.

— Jacyś wspólnicy?

— Bill Salter, jego bratanek. Wiek: dwadzieścia pięć lat. — Na ekranie pojawiły się kolejne informacje. — Sześć miesięcy za napad, znów sześć miesięcy za napad, dwanaście za zastraszanie.

— Facet z ognistym temperamentem.

— I jeszcze dwóch: Joe Baxter i Sam Hall. Mniej więcej to samo, Dillon. Bardzo nieprzyjemne towarzystwo.

— Które może okazać się bardzo mi pomocne.

— Istnieje pewien szkopuł.

— Jaki?

— Policja rzeczna otrzymała poufną informację. Salter i jego kompani będą dziś wieczorem o dziewiątej na jednym ze swych statków wycieczkowych, na „River Queen”. Ma pojawić się również holenderska jednostka „Amsterdam”. „River Queen” zakotwiczy w Harley Dock, a z przepływającego nie opodal „Amsterdamu” jeden ze stewardów przetrzuci na nią paczkę. Nie szlifowane diamenty wartości dwustu tysięcy funtów.

— I policja rzeczna chce dostać ją w swoje szpony?

— Wcale nie. Będą czekać na „River Queen” w Wapping, przy Cable Wharfe, gdzie mieści się pub „Dark Mark”. Tam dopiero przyskrzynią całe towarzystwo.

— A to pech. Tak się cieszyłem, że zawrę nowe, interesujące znajomości.

— Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

— Nie, dzięki. Nieźle mnie podpuściłaś i jesteś z tego bardzo rada. Idę. Muszę to wszystko jeszcze raz przemyśleć.

O dwudziestej trzydziści Dillon czekał przy Harley Dock w starej i nie rzucającej się w oczy furgonetce marki Toyota, którą wypożyczył z parku samochodowego Ministerstwa Obrony. Miał na sobie czarny kombinezon do nurkowania, a na głowie kaptur. Od czasu do czasu rzeką przepływał jakiś statek, ale Dillon siedział za kierownicą toyoty i obserwował przez noktowizor „River Queen”, która właśnie rzucała kotwicę. Na dolnym pokładzie uwijało się dwóch mężczyzn, a dwóch kolejnych przy sterówce na górnym.

Dillon czekał. Usłyszał płynący z dołu rzeki dźwięk silników i niebawem pojawił się średniej wielkości frachtowiec „Amsterdam”. Przez noktowizor Dillon widział stojącego przy relingu człowieka, który po chwili przerzucił jakiś pakunek. Paczka wylądowała na dachu jednej z nadbudówek „River Queen”.

Frachtowiec oddalił się. Dillon połączył butlę tlenową z pneumatycznym płwakiem, włożył płetwy i podszedł do krawędzi doku. Nasunął na twarz maskę, do ust wetknął przewód tlenowy i wskoczył do wody.

Wynurzył się dopiero przy linii kotwicznej, ściągnął butlę tlenową oraz płetwy i przywiązał je do sznura. Chwilę odczekał, po czym zaczął się wspinać.

Przesmyknął się przez luk kotwiczny i przykucnąwszy na pokładzie, nadśluchiwał. Z jednej z kabin docierały męskie śmiechy. Bez wahania ruszył w tamtą stronę i ostrożnie zajrzał przez iluminator. W pomieszczeniu był Salter, jego bratanek Bill, Baxter i Hall. Salter przeglądał właśnie leżącą na stole żółtą kamizelkę ratunkową. Wyjął z niej woreczek z materiału.

— Dwieście patyków — oświadczył.

Dillon rozpiął suwak skafandra i wyciągnął walthera z tłumikiem. Podeszedł do drzwi, chwilę odczekał, pchnął je i wkroczył do kabiny.

— Niech Bóg was wszystkich błogosławi — powiedział.

Zapadła grobowa cisza. Skupiona przy stole czwórka mężczyzn zamarła w bezruchu jak na obrazie. Harry Salter i jego bratanek siedzieli, Baxter i Hall stali, w dłoniach trzymali kufle z piwem.

— W co grasz? — przerwał milczenie stary Salter.

— Otwórz pakunek.

— Możesz mnie w dupę pocałować. Nikt cię tu na flaszkę nie zapraszał.

Dillon strzelił, trafiając w stojącą przy prawej ręce Saltera szklanę z whiskey. Po chwili rozbił trzymany przez Baxtera kufel. Bill Salter wrzasnął piskliwie, kiedy kawałek szkła wbił mu się w prawy policzek.

Zapadła cisza, którą przerwał dopiero Dillon.

— Jeszcze?

— W porządku, punkt dla ciebie — stwierdził Salter. — Czego chcesz?

— Diamenty... pokaż.

— Powiedz mu, żeby się wypchał — warknął Bill, przyciskając dłoń do krwawiącego policzka.

— A co później? — chciał wiedzieć Salter.

Rozwiązał pakunek. W środku znajdował się żółtawy woreczek z nieprzemakalnego materiału z zamkiem błyskawicznym.

— Dawaj — polecił Dillon.

Salter wypełnił polecenie i rzucił worek Dillonowi pod nogi. Ten podniósł go, rozpiął suwak kombinezonu i schował zawiniątko za pazuchę. Zrobił półobrót i wyjął z drzwi klucz.

— Dopadnę cię. Nikt nie robi bezkarnie takich numerów Harry'emu Salterowi.

— Czyżbym słyszał podobny tekst w ustach Jamesa Cagneya w starym gangsterskim filmie, który puszczono przed tygodniem w telewizji w kinie nocnym? — Dillon wyszczerzył zęby. — Zdaję sobie sprawę z tego, że teraz

wygląda to cholernie nie w porządku, ale tak naprawdę wykonałem za ciebie dobry ruch. Mam nadzieję, że kiedyś to docenisz i się odwdzięczysz.

Opuścił kajutę, zamykając za sobą drzwi. Hall i Baxter natychmiast ruszyli jego śladem, lecz było już za późno, bo Dillon zdążył przekręcić klucz w zamku. Wskoczył z rufy do wody, włożył butlę tlenową i płetwy, zanurzył się pod wodę i popłynął do Harley Dock.

Na pokładzie „River Queen” Baxter stanął na stole i zaczął odpinać klamry mocujące klapę luku awaryjnego umieszczonego w suficie. Kiedy już się z tym uporał, Harry Salter i Hall go podsadzili. W kilka chwil później otworzył od zewnątrz drzwi kajuty.

— Jak moja twarz? — zapytał stryja Billy.

Salter obejrzał mu policzek.

— Przeżyjesz. To tylko draśnięcie. W sterówce jest apteczka. Znajdziesz tam plaster.

— I co teraz? — zapytał Billy.

— Poszukamy tego, kto nas zdradził — odparł Salter. — Spójrzmy prawdzie w oczy. Niewiele osób wiedziało o tej robocie. Tak więc im szybciej dopadniemy skurwysyna, tym szybciej znajdziemy naszego przyjaciela. — Odwrócił się do Baxtera i Halla. — Podnieście kotwicę i zabieramy się stąd do wszystkich diabłów. Wracamy do Wapping.

Dillon zdjął kombinezon, włożył koszulę, dżinsy oraz dwurzędową kurtkę i ruszył do Wapping. O dwudziestej drugiej trzydzięci jechał wymarłymi ulicami, wzdłuż których ciągnęły się zrujnowane magazyny, pozostałość po największym niegdyś porcie świata. Opuścił bardziej gwarną część miasta i minawszy londyńską Tower, dotarł na Wapping High Street.

Zaparkował toyotę przy krawężniku i na piechotę ruszył w stronę Cable Wharf. Pub Saltera, „Dark Mark”, zwiedził już wcześniej. Teraz dochodziła dwudziesta trzecia i lokal miano niebawem zamknąć, lecz apetyt na szklaneczkę whiskey stanowił wystarczający pretekst jego obecności na opustoszałej ulicy. Szedł więc nabrzeżem i w końcu znalazł

się w barze. Przy stoliku o marmurowym blacie dwie kobiety popijały ciemne piwo, a w końcu lokalu trzech mężczyzn, przypominających marynarzy — lecz tylko przypominających — kiwało się smętnie nad kuflami.

Barmanka, kobieta dobrze po czterdziestce, odgarnęła z twarzy ciężki pukiel jasnych włosów.

— Czym mogę ci służyć, słoneczko? — zapytała Dillon.

Ten wykrzywił twarz w charakterystycznym dla siebie, pełnym ciepła i nieodpartego czaru uśmiechu.

— Skoro możemy mówić tylko o trunkach, poproszę bushmillsa.

— Przykro mi, ale będzie pan musiał szybko wypić — odparła, podając mu szklaneczkę whiskey. — Zamykamy, a nie chcę ryzykować utraty licencji. Kręci się tu tyłu gliniarzy.

— Naprawdę?

— Trzech ma pan w barze. Z nich tacy marynarze jak moje dupsko.

— Czego tu szukają?

— Bóg jeden wie.

— W takim razie się zmywam. — Wypił bushmillsa jednym haustem. — Dobranoc.

Z pubu wychodziły akurat dwie starsze panie i Dillon przepuścił je przodem. Idąc za nimi nabrzeżem, na dziedzińcu po lewej stronie dostrzegł policyjną furgonetkę, a po drugiej stronie ulicy samochód osobowy wypełniony funkcjonariuszami.

— Zabawa w konspirację — parsknął pod nosem, dotarł do Wapping High Street i odwrócił się.

Znalazł to, czego szukał: kolejny opuszczony magazyn. Wszedł ostrożnie po schodkach na parter i przykucnął na jednej z ramp załadowniczych pod dźwigiem. Miał stamtąd doskonały widok na rzekę, nabrzeże i „Dark Marka”. Wyjął lornetkę, wyregulował ostrość i zaczął wypatrywać „River Queen”.

Gdy tylko stateczek zbliżył się do przystani, rozpętało się istne piekło. Policyjna furgonetka i samochód osobowy z piskiem opon wjechały na nabrzeże, a z mroku od strony

rzeki wynurzyły się dwie łodzie patrolowe. Umundurowani policjanci podbiegli do relingu, gdy Hall i Baxter właśnie zakładali cumy. Z kajuty wyszli Salter z Billym i obserwowali pół tuzina uwijających się po nabrzeżu policjantów. Z grupy funkcjonariuszy wystąpił wysoki mężczyzna po pięćdziesiątce w mundurze z dystynkcjami nadinspektora.

— Ho ho, nasz stary dobry znajomy, nadinspektor Brown — odezwał się Salter do Billy'ego. — Jak leci, Tony? — zwrócił się z kolei do oficera policji.

Brown uśmiechnął się.

— Mamy nakaz wejścia na pokład, Harry — oświadczył i wskoczył na statek.

W jego ślady poszło dwóch innych funkcjonariuszy.

— O co chodzi? — zapytał Salter.

— No cóż, Harry. Wiem, że w pubie niczego nie znajdę. Jesteś na to zbyt cwany. Nieraz już przewróciliśmy ci tę budę do góry nogami. Niemniej mam uzasadnione podejrzenia, iż na tym statku przewozisz nielegalny ładunek diamentów wartych dwieście tysięcy funtów. Głupio, Harry, tak wpaść po tylu latach. — Brown odwrócił się do stojącego obok niego sierżanta. — Przeczytaj przysługujące mu prawa, a reszta niech zaczyna szukać.

— Diamenty na „River Queen”? — Salter wybuchnął gromkim śmiechem. — Tony, synu, naprawdę trafiłeś tu w niewłaściwym czasie.

Ekipa skończyła przeszukiwać statek prawie o pierwszej w nocy. Salter i jego załoga siedzieli przy stole w kabinie i grali w karty. Do pomieszczenia zajrzał nadinspektor.

— Harry, mogę prosić cię na słówko?

Policjanci zakończyli bezowocną rewizję i wrócili do samochodów, a obie łodzie patrolowe odpłynęły. Zaczęło padać i Salter z Brownem schronili się pod zadaszenie pokładu.

— Jaki wynik?

— Harry, nie wiem, co się dzisiejszej nocy wydarzyło, ale wszystko wskazywało na to, że wpadłem na najgorętszy trop w życiu.

— Bez względu na to, kim jest ten twój kapuś, nie powinieneś skurwysynowi płacić.

Brown potrząsnął głową.

— Postarzałeś się, Harry, jesteś już zbyt stary, żeby spędzić dziesięć lat w Parkhurst. Pomyśl o tym.

— Pomyślę, Tony.

Brown opuścił statek, stanął na nabrzeżu i obejrzał się.

— Znamy się od bardzo dawna, Harry, więc wyświadczę ci pewną grzeczność. Na twoim miejscu w przyszłości bardzo bym uważał z Holendrami.

Wsiadł do wozu policyjnego i kazał kierowcy ruszać.

— Jezu! — westchnął Billy. — Niewiele brakowało, żebyśmy zeszli po tych schodach i bardzo długo już nimi nie wrócili na górę. Ten skurwiel, który zabrał nam kamienie... co on takiego powiedział? Że wykonał za ciebie dobry ruch?

— Cóż, zwykły zbieg okoliczności — odparł Salter. — Z tym tylko, że ja w zbiegi okoliczności nie wierzę. Tak czy owak, chodźmy do pubu i kropnijmy sobie po kielichu.

Dillon odczekał, aż się wszystko uspokoi, zszedł po schodach z magazynu i ruszył w stronę pubu. W sali paliło się światło, więc kiedy zajrzał przez okno, zobaczył siedzącego przy końcu baru na wysokim stołku Saltera. Billy, z plastrem na policzku, tkwił wraz z Baxterem i Hallem przy stoliku, gdzie cała trójka zgodnie raczyła się piwem. Dillon przeszedł kawałek dalej, skręcił w boczną alejkę i zajrzał do kuchni. Barmanka piła kawę i czytała gazetę.

Kiedy otworzył drzwi, zaalarmowana kobieta spojrzała w jego stronę.

— Widzę, że blacharze * już sobie poszli — powiedział Dillon.

— Boże, kim pan jest?

* W oryg.: *peelers*. Slangowe określenie angielskich i brytyjskich policjantów. Słowo pochodzi od nazwiska Roberta Peela, który w XIX wieku zreorganizował londyńską policję.

— Starym kumplem Harry'ego. Jeśli jest tak bystry, jak sędzę, to nawet się mnie spodziewa. Przejdę tędy na salę.

Harry Salter pił szkocką i czekał, przyglądając się swemu odbiciu w starym wiktoriańskim lustrze wiszącym za barem. Kiedy otworzyły się drzwi, jego policzek musnął delikatny prąd powietrza. Rozległ się cichy szelest. Żółtawy worek z nieprzemakalnego materiału prześlizgnął się po kontuarze baru i zatrzymał tuż przed nim.

— Masz pan, oddaję — powiedział Dillon.

Pozostała trójka przerwała rozmowę, Salter chwycił zawiniątko, a następnie odwrócił głowę i popatrzył na stojącego przy drugim końcu szynkwasu Dillona ubranego w podniszczoną, dwurzędową kurtkę. Sean wyciągnął papierosa, zapalił, a Salter, kanciarz od pięćdziesięciu lat, potrafił nieomylnie wyczuć nadchodzące kłopoty.

— W co, synu, grasz? — zapytał.

— To on! — wrzasnął Billy. — To ten pierdzielony skurwiel!

— Daj spokój, Billy — zmitygował go Salter.

— Po tym, co mi zrobił? Popatrz na moją gębę!

Złapał stojącą na stole butelkę po lagerze. Trzepnął nią o kant stołu tak, że odpadło denko, i z nastawionym, ostrym, poszczerbionym szkłem ruszył z impetem na Dillona.

Ten odstąpił na bok, złapał przeciwnika za nadgarstek, wyrznął ramieniem Billy'ego o krawędź baru i przycisnął twarz napastnika do blatu. Billy zawył z bólu, z bezwładnych palców wysunęła mu się butelka. Ramię miał nienaturalnie wyprostowane i naprężone niczym stalowy pręt.

— Boże drogi, panie Salter, ten pański bratanek nigdy już chyba nie nabierze rozumu.

— Billy, nie rób z siebie durnia — warknął Salter. — Gdyby nie gwizdnął nam tych kamieni, teraz meldowalibyśmy się w areszcie policyjnym na posterunku Tower Bridge, przygotowując się do zejścia po schodach, a na górę wrócilibyśmy dopiero za dziesięć lat. Chcę tylko znać

przyczynę tej afery. — Uśmiechnął się do Dillona. — Jakoś się nazywasz, synu?

— Dillon... Sean Dillon.

Salter wstał ze stołka i Dillon puścił Billy'ego, który natychmiast zaczął masować obolałe ramię, a następnie z ponurą miną wrócił do stolika, do Baxtera i Halla.

— Nie jesteś gliną. Tych to ja wyczuwam na kilometr.

— Boże broń — odparł Dillon. — Te łapserdaki miały ze mną tyle kłopotów, że najchętniej zapuszkowaliby mnie na resztę życia. Ujmijmy to tak: pracuję w jednej z tych rządowych instytucji, które oficjalnie nie istnieją.

Salter spoglądał nań dłuższą chwilę.

— Na co ma pan ochotę? — zapytał w końcu.

— Skoro nie ma pan szampana Krug, to poproszę o whiskey Bushmills.

Salter głośno się roześmiał.

— To mi się podoba, naprawdę mi się podoba. Bushmillsa podam natychmiast. Na kruga musi pan poczekać do innej okazji. — Zdjął z półki butelkę i nalał hojną miarkę. — A więc o co chodzi?

— Na zdrowie. — Dillon wzniosł szklanę. — Cóż, sprawa jest taka, że chciałem się spotkać z największym ekspertem od Tamizy. Kiedy szukałem w policyjnym komputerze, wskazał pana. Cały kłopot polegał na tym, że zanim bym do pana dotarł, pana by już tu nie było. Ktoś, z kim pracuję, bardzo, bardzo wielka szycha w wydziale specjalnym, odkrył, że policja rzeczna zamierza pana przyskrzynić.

— Co za niewygodna! — mruknął Salter.

— Właśnie, tak by się niechybnie stało, więc musiałem coś wykombinować. — Dillon uśmiechnął się. — Resztę pan zna.

Salter nalał następną kolejkę.

— Pan ma do mnie jakiś interes, prawda? Mam panu zwrócić dług wdzięczności?

— Jest pan ekspertem, panie Salter, zna pan rzekę jak nikt inny.

— O co dokładnie chodzi?

— Zapewne czytał pan w gazetach, że w piątek rano na

tarasie Izby Gmin mają się spotkać prezydent Stanów Zjednoczonych i nasz premier.

— I co z tego?

— Uważam, że ochrona jest tam do chrzaniu, więc chcę, żeby w piątek, nieco po północy, pomógł mi pan podpłynąć do tarasu. Ukryję się w którejś z pakamerek za „Terrace Bar” i w stosownym momencie wszystkich zadziwię.

Salter wpatrywał się w niego jak sroka w gnat.

— Kompletnie panu odbiło. Jest pan wariatem, czy co?

— Nieraz już mi to mówiono.

Salter odwrócił się do pozostałej trójki.

— Słyszeliście? Mamy tu świra, kogoś, komu brakuje piątej klepki. — Odwrócił się do Dillona. — Ale pan mi się podoba. Do licha, bardziej niż podoba. Może mi pan mówić Harry.

— Cudownie — odrzekł Dillon. — Czy mogę prosić o jeszcze jedną kolejkę bushmillsa?

— Mam dla pana coś lepszego, coś dużo lepszego. — Salter otworzył lodówkę, wyjął z niej butelkę i wrócił do gościa. — Szampan Krug, synu. Czy to ci pasuje?

9

Następnego dnia wypadał czwartek. Dillon pojawił się w gabinecie Hannah Bernstein na trzecim piętrze gmachu Ministerstwa Obrony tuż przed południem.

— Wielki Boże, Dillon, o której godzinie zjawiasz się w pracy? Szef bez przerwy o ciebie pyta.

— Dziewczyno miła, miałem ciężką noc. A tak naprawdę to wpadłem tu tylko po to, żeby zaprosić cię na smakowity lunch.

— Kompletnie zwariowałeś! — stwierdziła Hannah, naciskając guzik interkomu. — Brygadierze, już przyszedł.

— Przyślij go do mnie. — I po chwili dodał: — Ty też przyjdź, główna inspektor.

Ruszyła przodem, otworzyła drzwi i teraz z kolei ona przepuściła Dillona, który zbliżył się do zawalonego papierami biurka, gdzie pracował Ferguson. Brygadier nie podniósł nawet głowy.

— Niech będzie pochwalona ciężka praca — pozdrowił go Sean i czekał, lecz Ferguson kompletnie go ignorował. W końcu Irlandczyk wybuchnął śmiechem. — Brygadierze, powinien pan odpowiedzieć: „I ciebie niech Bóg błogosławi”.

Ferguson wyprostował się, po czym rozparł się na krześle.

— Dillon, zdaję sobie sprawę z tego, że jako chłopiec zapisałeś się do Królewskiej Akademii Dramatu. Wiem również, że występowałeś na deskach National Theatre.

— Tak, w roli Lyngstranda Ibsena — przypomniał mu Dillon.

— Zgadza się, ale później występy w ulicznych spektaklach IRA. Po matce, Panie świeć nad jej duszą, również jestem Irlandczykiem i naprawdę starałem się ciebie zrozumieć, ale twoja stała rola Irlandczyka stała się w końcu nudna.

— Niech Bóg pana błogosławi, Wasza Dostojność. Spróbuję się poprawić.

— Na rany Chrystusa, bądź raz poważny. Wyciąłeś mi niezły numer tym śmiesznym zakładem z Carterem. Sam wiesz najlepiej, jak nienawidzi nas Intelligence Service. Niczego tak nie pragną, jak zrobić mnie przed premierem w trąbę.

— Myślisz, że tego nie wiem? — odparł Dillon. — I dlatego właśnie zamierzam zrobić w trąbę Cartera.

Ferguson zmarszczył brwi.

— Poważnie myślisz, że uda ci się ta sztuka?

— Jasne.

Brygadier nachmurzył się jeszcze bardziej.

— Gdzie bywałeś? Już prawie południe.

— Miałem ciężką noc. Przygotowuję się do tego, o czym właśnie mówimy.

— Powiedz.

— Nie chciałbyś tego słyszeć — odrzekł Dillon. — Ale jedno mogę ci obiecać. Następnym razem zobaczysz mnie dopiero jutro rano o dziesiątej trzydzięci na tarasie Izby Gmin w towarzystwie prezydenta Stanów Zjednoczonych i naszego premiera.

Ferguson gapił się na Dillona.

— Mój Boże, Sean, naprawdę chcesz to zrobić?

— Wiem, że mi się uda, brygadierze. Sam się przekonasz. Zresztą zawsze możesz mówić do mnie Sean.

— Powiesz mi, jak chcesz tego dokonać?

— Niektóre aspekty sprawy są tak nielegalne, że lepiej, żebyś ich nie znał. Przedyskutuję wszystko z tą tu piękną kobietą, jeśli zgodzi się pójść ze mną na lunch.

Wbrew samemu sobie Ferguson wybuchnął śmiechem.

— Wynoś się stąd, draniu. Zabieraj też tę piękną kobietę. Ale jeśli będzie mnie to kosztować pięćset funtów, potrączę ci je z pensji.

Wrócili do biura Hannah.

— Naprawdę zamierzasz to zrobić? — zapytała.

— Dla Wielkiego Dillona nie ma rzeczy trudnych. Magik, tak nazywali mnie w brytyjskim wywiadzie podczas pełnych glorii ulsterskich dni. Nigdy nie udało się im mnie złapać. Mistrz kamuflażu. Czy opowiadałem ci, jak pewnego razu przebrałem się za kobietę?

— Nie chcę o tym słuchać, Dillon, ponieważ musiałabym jednocześnie zastanawiać się, ilu ludzi zabiłeś.

— Wtedy szalała wojna, Hannah, walczyłem na wojnie, lecz to było wtedy, a teraz jest teraz. Bierz płaszcz i idziemy. Czy moje wyobrażenie o Żydach jest prawdziwe? Żadnych skorupiaków, ale wędzony łosoś jak najbardziej?

— Oczywiście. Dlaczego pytasz?

— Świetnie. Krug, sadzone jajka i wędzony łosoś. Wszystko najlepsze w mieście.

— Ale gdzie?

Podaj jej płaszcz.

— Jezu Chryste, dziewczyno, czy przestaniesz w końcu zadawać tyle pytań?

Zabrał ją do „Piano Bar” w Dorchester, najlepszego lokalu w Londynie, gdzie sufity wyłożone są przepyszными zwierciadłami. Kierownik sali przywitał go jak starego znajomego i zaprowadził ich do łoży. Dillon zamówił swój ulubiony krug z najlepszego rocznika, sadzone jajka, wędzonego łososia i sałatki.

— Chryste Panie, żyjesz na bardzo wysokiej stopie, Dillon — stwierdziła Hannah. — Masz na sobie garnitur od Armaniego i stać cię na płacenie takich rachunków.

— Wciąż próbuję wydać trochę z tych sześciuset tysięcy funtów, jakie dostałem od Michaela Arouna za udaremnienie obalenia premiera i Gabinetu Wojennego podczas wojny w Zatoce Perskiej.

— Nie masz za grosz wstydu. Za grosz.

— A po co miałbym udawać, że jest inaczej? Taki byłem i taki jestem. Ten sam człowiek, Hannah serduszko, a czasami tobie samej się to bardzo podoba.

Pojawił się kelner z szampanem, otworzył butelkę i nalał trunek do kieliszków.

— Za najpiękniejszą policjantkę w Londynie — wzniosł toast Dillon.

— Takie pochlebstwa donikąd cię nie zaprowadzą. A teraz opowiedz, co się dzieje.

Kiedy skończył, popatrzyła na niego z nie skrywanym przerażeniem.

— Wykorzystałeś mnie, wykorzystałeś tajne informacje policyjne o notorycznym przestępcy i pomogłeś mu zerwać się z haczyka.

— To nie jest wcale taki zły gość — oświadczył Dillon i upił łyk szmpana. — Poza tym potrzebowałem go.

— Jak mogłeś coś podobnego zrobić?

— Och, daj spokój, Hannah. Ferguson cały czas robi tylko takie rzeczy, które są dla niego wygodne. Co powiesz o tym skurwielu litewskim Platoffie z ubiegłego miesiąca? Jeśli ktokolwiek zasługuje na to, żeby palnąć mu w łeb, to on. Ale okazało się, że jest dla nas bardziej użyteczny niż inni, więc Ferguson dobił z nim targu, a ty, o ile dobrze pamiętam, patronowałaś tej transakcji.

— Niech cię piekło pochłonie, Dillon — warknęła, płonąć z gniewu.

— Ze złością ci do twarzy. — Ponownie pojawił się kelner, tym razem z zamówionymi daniami. — A teraz uspokój się i pałaszuj jak grzeczna dziewczynka.

— Dillon, jesteś seksowną świnią.

— A ty jesteś uroczą Żydóweczką, która zamiast z upoważnienia Scotland Yardu strzelać do ludzi, powinna rodzić dzieci i powoli zamieniać mężowi życie w piekło.

Na przekór sobie roześmiała się.

— To było miłe. A teraz powiedz mi, jak zamierzasz wygrać ten zakład.

— Rzeka. Podpłynę.

— Ależ podczas przypływu prąd będzie zabójczy. To pewna śmierć, Dillon. Nie wolno ci tego robić.

— Zasadniczo masz rację. Dlatego też taras jest słabym punktem w systemie ochrony.

— Ale jak sobie z tym poradzisz?

— Nie będzie to łatwe, ale nie niemożliwe — odparł.

Kiedy o jedenastej wieczorem Dillon skręcił toyotą na nabrzeże, „River Queen” wciąż stała przycumowana przy Cable Wharfe. Pub właśnie zamykano, więc nie wysiadając z samochodu, Sean obserwował, jak ostatni goście opuszczają lokal i kierują się w stronę Wapping High Street. Przy drzwiach barmanka rozmawiała z Billym. Po chwili bratanek Saltera ruszył w stronę statku, a ona zamknęła drzwi.

Dillon wysiadł z toyoty.

— Równy z ciebie chłop, Billy. Pomożesz mi?

Billy popatrzył na niego. Na twarzy malowała mu się mieszanina niechęci i podziwu.

— Wiesz o tym, że jesteś stuknięty, prawda? Wuj powiedział mi, co zamierzasz zrobić. Czyste szaleństwo. Za skarby świata nie dotrzesz do tarasu. Tam prąd jest rzeczywiście morderczy.

— Jeśli nie wrócę, możesz sprzedać moją toyotę. Ręka? Wyciągnął dłoń i Bill odruchowo nią potrząsnął.

— Szaleniec. W porządku, zobaczmy, co my tu mamy — mruknął otwierając tylne drzwi furgonetki.

W sali barowej na statku Dillon, pod baczynym spojrzeniem Saltera i trzech pozostałych mężczyzn, wypakował swój ekwipunek. Był tam gruby nylonowy kombinezon z kapturem, nylonowe skarpetki i rękawice.

— Będziesz tego bardzo potrzebował — odezwał się Salter. — Woda w rzece jest zimna jak jasna cholera.

— Ani przez chwilę nie myślałem, że może być inaczej.

Wyciągnął z koleji płetwy i butlę z tlenem przypiętą już do pneumatycznego pływaka. Sprawdził pas, a następnie z podręcznej torby wyjął niewielką lampę halogenową i nieprzemakalny worek.

— Lampy nie potrzebujesz — odezwał się Salter. — Regularnie pływam nad ranem Tamizą. Te wiktoriańskie latarnie na tarasie palą się przez całą noc. Jeśli nawet weźmiesz latarkę, nie będziesz mógł jej użyć. Po Izbie Gmin krąży straż. Jeden błysk światła i po tobie.

— Tak, wiem o tym.

Dillon otworzył wodoszczelny worek i sprawdził jego zawartość.

— Co to jest?

— Wytrychy. Jak już wspominałem, zamierzam dostać się do któregoś ze składzików i w nim przeczekać do rana.

Salter pokręcił z podziwem głową.

— Umiesz się nimi posługiwać? — Znów pokręcił głową. — Nie, lepiej na to pytanie nie odpowiadaj. Zastanawiam się nad twoim akcentem. Jesteś pewien, że nie zamierzasz zastrzelić premiera?

— Niech ci to nawet przez głowę nie przejdzie.

Dillon dalej przeglądał zawartość worka.

— Co tam jeszcze masz?

— Białą koszulę, muszkę, elegancką białą marynarkę, czarne spodnie i półbuty. — Uśmiechnął się. — Ostatecznie mam być kelnerem.

Zapiął worek, a Billy'emu przyszła naraz ochota do śmiechu.

— Dillon, za to cię lubię. Naprawdę lubię. Jesteś szalony, ale w przeciwieństwie do mnie nigdy nie robisz dziadostwa.

— Potraktuję to jako komplement. — Dillon wyprostował się i jeszcze raz zlustrował wzrokiem ekwipunek. — To chyba wszystko. — Odwrócił się do Saltera. — Oddaję się w twoje ręce, Harry.

— W porządku, synu. Teraz wszystko dokładnie omówimy.

Na stole leżał rozłożony plan Londynu w wielkiej skali.

— Tutaj płyniemy. Izba Gmin. Naprzeciwko jest Embankment, a tam most westminsterski. Muszę ci powiedzieć, że mamy najgorszą porę roku. Bardzo wysokie przypływy, które zaczynają się około trzeciej w nocy. Żeby cię wyrzucić,

będę musiał zawrócić i do domu płynąć już pod prąd. A on jest nieprawdopodobnie bystry. Dobrych pięć węzłów. Może powinienes jeszcze raz przemyśleć sprawę.

— Już przemyślałem — odparł krótko Dillon.

— Wpław nie zdołasz pokonać prądu. Jest zbyt silny. Ale jeśli zwiesz się z rufy i wskoczysz do wody w odpowiedniej chwili, masz pewne szanse.

— Świetnie — mruknął Dillon. — To mi się podoba.

— Wariat. — Salter pokręcił głową. — Wariat.

Dillon wyszczerzył zęby, wyciągnął paczkę papierosów, wyszedł na pokład i stojąc pod zadaszeniem, zaczął wpatrywać się w ścianę deszczu. Po chwili dołączył do niego Salter.

— Kocham tę starą rzekę — powiedział cicho i oparł się o grodz. — Żyję tu od dziecka. Mój staruszek był gońcem, a mama, żeby utrzymać ciało i duszę w całości, sprzątała. Robiłem, co chciałem, fajki, gorzała, wszystko.

— Od tamtych czasów poczyniłeś znaczne postępy.

— Ale nigdy nie zajmowałem się narkotykami i prostytutką. Uważam to za obrzydliwe. Wiesz, zawsze byłem twardzielem. W swoim czasie nawet zabijałem, ale tylko kiziorów, którzy chcieli zabić mnie.

— Rozumiem.

— A ty?

— Och! Przez ponad dwadzieścia lat prowadziłem wojnę z całym światem.

— Twój akcent... czy to jest to, o czym myślę?

— Z tym już skończyłem na dobre, Harry — odparł wymijająco Dillon. — Pracuję w tajnym wydziale służby bezpieczeństwa. Ale o tym nie mówmy.

— W porządku, synu. — Salter wyszczerzył zęby. — Ale przed tym, co cię czeka, powinienes trochę napchać brzuch. Pójdziemy na Wapping High Street. Dają tam najlepszą rybę z frytkami w całym Londynie.

Tuż przed trzecią w nocy „River Queen” przepłynęła pod mostem westminsterskim i walcząc z potężnym prądem zawróciła. Światła na pokładzie były wygaszone i jedynie

w sterówce paliła się słaba lampa. Dillon rozkładał ekwipunek na rufie. Obok niego stał Salter.

— Przejmę od Billy'ego ster i przyślę go tutaj z radiotelefonem. Ty zwiesz się za rufą. Łopatek śruby napędowej nie musisz się obawiać, bo jest schowana głęboko pod statkiem.

— I co później?

— Gdy uznam, że moment jest właściwy, dam przez radio sygnał Billy'emu. On do ciebie krzyknie, a ty wskoczysz do wody. Jeśli dobrze wyliczę moment, prąd sam rzuci cię na podstawę tarasu. Jeśli mi ta sztuka nie wyjdzie, tylko Bóg będzie w stanie ci pomóc.

— Dzięki, Harry — powiedział Dillon z uśmiechem. — Jesteś fajny facet.

— Wypchaj się, pieprzony czubku — odrzekł Salter i zniknął w ciemnościach.

Dillon wrócił do Halla i Baxtera, którzy już na niego czekali.

— W porządku, chłopaki. Pomóżcie mi wrzucić na grzbiet ten chłam.

W dziesięć minut później wisiał na linie spuszczonej z rufy, do pasa miał przytroczone dwa pakunki. Spostrzegł, że przez reling wychyla się Billy. Było ciemno, pod nogami kłębiła się woda i Dillon każdym nerwem wyczuwał, jak potężny jest jej prąd. Wtedy też Billy krzyknął i Dillon puścił linę.

Zanurzył się pod wodę na jakieś dwa metry. Prąd był wprost niewiarygodny; zupełnie jakby jakaś olbrzymia garść chwyciła go w nielitościwy uścisk. Wypłynął na powierzchnię, przez mgnienie oka widział jeszcze mroczną sylwetkę oddalającej się „River Queen”, dostrzegł wiktoriańskie lampy palące się na tarasie, po czym znów poszedł pod wodę. W sekundę później uderzył w kamienną ścianę podstawy tarasu, wypłynął i chwycił się rusztowania schodzącego z miejsca, gdzie siedziba Izby Gmin oddzielała się od Izby Lordów.

Wisiał przez chwilę na metalowej rurze, po czym odrzucił butlę wraz z pływakiem, którą natychmiast porwał wartki prąd. To samo zrobił z płetwami i maską. Przez chwilę odpoczywał, a potem rozpoczął mozolną wspinaczkę. Dotarł do parapetu, przeciągnął przez niego oba pakunki i skulił się w cieniu.

Po drugiej stronie tarasu otworzyły się drzwi i w progu pojawił się strażnik. Podszedł do parapetu i zapalił papierosa. Dillon poczuł w wilgotnym powietrzu smród dymu. Przez pięć pełnych udręki minut czekał, aż wartownik wyrzuci niedopałek do rzeki, odwróci się i opuści taras.

Sean szybko odwiązał od siebie pakunki, rozpiął kombinezon i został w samych kąpielówkach. Cisnął skafander do rzeki, podniósł worek ze sprzętem i ruszył w stronę „Terrace Bar” i mieszczących się obok niego pakamerek. Otworzył worek, wyjął z niego lampę halogenową, a z niewielkiej saszetki wytrychy. Włączył światło i przystąpił do pracy. Z zamkiem uporał się po niecałych pięciu minutach.

Szybko zerknął do pomieszczenia. Piętrzyły się tam stojaki z ręcznikami i obrusami oraz kartony z kieliszkami do wina. Dalej mieściły się dwie toalety i umywalka. Otworzył duży worek, z którego wyciągnął ubranie i ręcznik. Dokładnie się wytarł, ściągnął kąpielówki i przywdział kelnerski uniform.

Zerknął na zegarek. Dochodziła za kwadrans czwarta. W zależności od tego, o której personel zaczynał pracę, miał przed sobą cztery lub pięć godzin. Dostrzegł kilkanaście kartonów wypełnionych serwetami, ręcznikami i serwetkami. Ponieważ w drzwiach nie było klucza, zamknął je wytrychem i z ręczników wyciągnął sobie prowizoryczne pośłanie. Był zdumiony swym dobrym samopoczuciem.

— Harry będzie rad — pomyślał i natychmiast zapadł w sen.

Obudził się w jednej chwili świadom, że ktoś szarpie za klamkę. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Usłyszał czyjeś wołanie:

— Te cholerne drzwi są zamknięte! Idę poszukać klucza.

Rozległ się dźwięk odchodzących kroków, a następnie trzaśnięcie drzwiami. Dillon błyskawicznie otworzył zamek i przeniósł się do kabiny w toalecie, którą dokładnie za sobą zamknął. Czekał. Niebawem znów usłyszał czyjeś kroki i drzwi do magazynku się otworzyły. Były tam dwie osoby; najpierw rozległ się męski głos:

— W porządku, bierz te obrusy i pospiesz się.

— Tak jest, panie Smith — odparł głos należący do kobiety.

Trzasnęły drzwi i pan Smith, pogwizdując pod nosem ruszył do toalety. Po chwili wszedł do sąsiedniej kabiny, rozsiadł się na sedesie i zapalił papierosa. Dillon spuścił wodę i szybko wymknął się ze swojego schronienia. Obok umywalki wisiała biała kurtka kelnerska z plastikowym identyfikatorem. Dillon zabrał identyfikator i przypiął go sobie do kurtki tak, że prawie zasłaniała go kłapa kołnierza.

Gdy pojawił się na tarasie, zastał tam już wiele osób, wszędzie kręcili się kelnerzy przygotowujący bar i nakrywający stoły. Dillon wziął serwetkę, zawiesił ją sobie na przedramieniu i sięgnął po tacę. Minał dwóch strażników, a potem wyszedł z tarasu na schody.

Przez godzinę płatał się po gmachu, zwiedzając restauracje, i to nie tylko te w Izbie Gmin, ale i w Izbie Lordów. Znajdował się w ciągłym ruchu, przed sobą dumnie trzymał tacę. Nikt go nie zaczepił. Bóg wie, co zrobi z tym Ferguson. Co zaś do Cartera...

Tuż po dziesiątej wrócił na taras. Roiło się tam jak w ulu. Znów minął strażników i przystanął. Siwowłosa mężczyzna w czarnej marynarce i spodniach z lampasem wydawał polecenia kelnerom.

— Ty... tartinki z krakersów na ostatnim stole — polecił Dillonowi, nie zwracając na niego większej uwagi.

— Tak, proszę pana.

Później stał wraz z innymi kelnerami pod ścianą, a na taras napływali szeroką falą członkowie parlamentu. Zdumiewające, jak szybko pomieszczenie wypełniło się ludźmi. Kelnerzy natychmiast ruszyli do pracy. Dillon również

zwijał się jak w ukropie, roznosząc tace z tartinkami. W pewnej chwili dostrzegł wchodzących na taras Fergusona, Hannah Bernstein i Cartera.

Odwrócił się do nich plecami, ale usłyszał słowa Cartera:

— Żal mi ciebie, Ferguson, ale ten bałwan wykręcił ci niezły numer.

— Skoro tak twierdzisz — odparł brygadier.

W chwilę później z głośnika rozległ się głos:

— Panie i panowie, nasz premier i prezydent Stanów Zjednoczonych.

Obaj mężowie stanu wkroczyli na taras i przystanęli. Zebrani przywitali ich rześzystymi brawami. Dillon podszedł do stołu, wziął przykrytą pokrywą tacę z tartinkami, chwilę coś przy niej majstrował, po czym odwrócił się. Prezydent i premier szli przez tłum, przystając co chwila, żeby zamienić z poszczególnymi gośćmi kilka słów. Dotarli do Simona Cartera, Fergusona i Hannah Bernstein.

Dillon usłyszał słowa prezydenta:

— Brygadier Ferguson. Miło mi znów pana widzieć.

Później przywitał się z Carterem i Hannah.

Dillon ruszył do przodu.

— Przepraszam, panowie.

Widział wyraz zdumienia na twarzy Hannah i pełne niedowierzania zmarszczenie brwi Fergusona. Oblicze Cartera natomiast wyrażało czysty szok. Dillon uniósł pokrywę z tacy z tartinkami, na których ułożony był pięcioletni banknot.

— Pańskie funciaki, sir.

Carter ział otchłanną, żrącą nienawiścią, ale najbardziej interesująca była reakcja prezydenta Clintona.

— Co ja widzę? Panie Dilllon, czy to pan? — zapytał.

Późnym popołudniem cała trójka spotkała się w gabinecie Fergusona. Twarz brygadiera promieniowała niezwykłym wprost zachwytem.

— Ty cwany, irlandzki draniu.

— Ty również po części jesteś Irlandczykiem.

— Mina Cartera! Pyszności! Musiałem oczywiście wszy-

tko wyjaśnić prezydentowi i premierowi, a Carter nie mógł mi w tym przeszkodzić. Prezydent oświadczył, że to coś fantastycznego. Muszę ci wyznać, że już po pomocy, jakiej mu udzieliliśmy podczas negocjacji pokojowych w Irlandii w zeszłym roku, miał o tobie bardzo wysokie mniemanie, ale teraz ceni cię jeszcze bardziej. No więc, jak to zrobisz?

— Z rzeki, brygadierze, ale w szczególności wolałbym się nie wdawać.

Ferguson odwrócił się do Hannah Bernstein.

— A pani coś wie na ten temat, główna inspektor?

— Obawiam się, że tak.

— Jest aż tak źle?

— Powiedziała bym, że gorzej. Okoliczności tak kryminalne, że gdybym w dalszym ciągu pracowała w wydziale specjalnym Scotland Yardu, nie miałabym wyboru. Odczytałabym Dillonowi przysługujące mu prawa i natychmiast wsadziłabym go za kratki. Z drugiej jednak strony, biorąc pod uwagę szczególne okoliczności, w jakich przyszło mi pracować pod twoim światłym kierownictwem, taka procedura nie miałaby sensu.

— Wielki Boże! — Ferguson pokręcił głową. — Niemniej zatrudniając ciebie, Dillon, wiedziałem, co biorę sobie na głowę, i pretensje mogę mieć wyłącznie do siebie. A teraz do roboty. Oboje — powiedział i pochylił się nad aktami.

W tym samym czasie w ośrodku odosobnienia Green Rapids Kathleen Ryan przechadzała się ze stryjem po parku. Jak zwykle, dzięki bardzo liberalnym przepisom dotyczącym odwiedzin, wokół kręciło się wielu więźniów w towarzystwie odwiedzających ich osób. Za Kathleen i Michaelem w niewielkiej odległości posuwał się Salamone. Po śniadaniu dzwonił do niego jego prawnik, Sollazo.

Ich rozmowę można by streścić następująco: „Oдноśnie problemu, który niedawno poruszaliśmy, a który dotyczy pewnej osoby, informacje tej osoby z pewnością pomogą rozwiązać nam ten problem”.

Salamone'a od dawna już nic tak nie poruszyło. Pojawiła się szansa, że przy poparciu Sollaza i dona nastąpi rewizja

wyroku. A to już było warte wszystkiego; teraz musiał tylko mieć baczne oko na dziewczynę o nazwisku Kelly. Z rozmów z jej stryjem wynioskował, że w szpitalu pracuje głównie na nocnych dyżurach, dzięki czemu może odwiedzać Ryana trzy, a nawet cztery razy w tygodniu.

Prawie nie odzywając się do siebie, Kathleen i Ryan szli w kierunku niewielkich altanek w wiejskim stylu usytuowanych na brzegu jeziora. Salamone okrążył mały zagajnik i przystanął tuż za altanką. Każde słowo słyszał bardzo wyraźnie.

— Jesteś dziś przygnębiona, dziecko.

— A z czego mam się cieszyć? Przecież tkwisz tutaj jak zwierzę w klatce.

— Nic nie mogę zrobić, nikt nic nie może zrobić.

— Kiedy cię tu przenieśli, wstąpiła we mnie nadzieja. Dlatego właśnie skontaktowałam się z Cassidym, z którym siedziałeś w jednej celi, a on przygotował nam fałszywe paszporty. Sądziłam, że trafi się jakaś okazja do ucieczki.

— Nie stąd. Wiesz, że obowiązują tu bardzo łagodne przepisy. Ale to dlatego, że strażę z kolei są bardzo czujne. W ścianach masz zainstalowane elektroniczne cuda, kamery śledzą każdy krok więźniów. Kathleen, prawda jest taka, że ja już tu umrę. Czas pomówić o twojej przyszłości. Czas, żebyś się stąd wyniosła. Kiedy już się na to zdecydujesz, powiem ci o pewnych rzeczach.

— O jakich rzeczach?

— Na to mamy jeszcze czas.

— A zatem nie rozmawiajmy o głupstwach. Jak się naprawdę czujesz?

— Nie najgorzej. Biorę pastylki, które mi dają. We wtorek jadę do Green Rapids na kolejne badania serca.

— To dobrze.

Wstali z ławki i ruszyli przed siebie. Salamone przemykał się między drzewami.

Kiedy przystanęli przy bramce strażników, Kathleen zapytała:

— Wciąż dostajesz te same lekarstwa?

— Nie, inne. — Z kieszeni na piersi wyciągnął plastikową fiolkę. — Te.

Kathleen popatrzyła na etykiетkę.

— „Dazane”? To coś nowego. Zapytam w szpitalu. —
Oddała fiolkę stryjowi i pocałowała go w policzek. —
Niebawem się zobaczymy.

Z jednej z kabin telefonicznych przeznaczonych dla więźniów Salamone zadzwonił do biura Sollaza. Sekretarka początkowo nie chciała go połączyć tłumacząc, że prawnik jest zajęty, ale w końcu dała za wygraną.

— Masz coś nowego? — zapytał Sollazo. — W twoim interesie leży, żebyś przekazywał mi dobre wiadomości.

— Podśluchałem rozmowę Kelly'ego z bratanicą. Miała nadzieję, że po przeniesieniu z Ossining do Green Rapids uda mu się zbiec. Mała szansa. Od czasu otwarcia tego ośrodka nikt jeszcze z niego nie uciekł.

— I co w tym tak interesującego?

— Wspominała o fałszywych paszportach, które przygotował jakiś Cassidy. Podobno w Ossining dzielił z Kellym celę.

— Teraz mówisz z sensem — oświadczył Sollazo. —
Coś jeszcze?

— Niewiele. Aha, Kelly we wtorek rano ma badania serca w szpitalu Green Rapids. Z tego, co wiem, cierpi na anginę pectoris. Jego bratanica zamierza się spotkać z nim o jedenastej rano.

— Dobrze się spisałeś, Paolo. Wykonałeś kawał niezłej roboty. Ale jeszcze jednego ci nie powiedziałem. Tak naprawdę, Liam Kelly nazywa się Michael Ryan, w swoim czasie był bojownikiem irlandzkim zaangażowanym po stronie protestantów. Nigdy nie został schwytany. Zabił więcej ludzi, niż możesz to sobie wyobrazić.

— Jezus, Maria! — jęknął Salamone.

— A teraz jego bratanica, Kathleen Ryan. Ona również w swoim czasie zabijała. Paolo, to nie są zwykli bandyci. To rewolucjoniści. Gorszi od wściekłych psów. I trochę stuknięci. Z takimi nigdy nic nie wiadomo.

— Będę uważał, a ty, Sollazo, zrobisz dla mnie wszystko, co w twojej mocy?

— O tym nawet nie musisz mówić.

Prawnik odłożył słuchawkę i przez chwilę siedział zamyślony. Po chwili wywołał sekretarkę.

— Poszukaj Moriego. Powinien się gdzieś tu kręcić.

Zagłębił się w lekturze leżących przed nim na biurku akt. Uśmiechnął się lekko na myśl o fatalnym uchybieniu w prowadzonej przez prokuratora okręgowego sprawie. Rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu wkroczył Mori.

— Tak, *signore*? — zapytał po sycylijsku.

Sollazo rozparł się na krześle.

— Dostałem od Salamone'a kolejne informacje o Ryanie i jego bratanicy. Fałszerz nazwiskiem Cassidy, który siedział z Ryanem w Sing-Singu w jednej celi, przygotował im lewe paszporty. Znajdź tego gościa i przyprowadź do mnie. Ktoś chce go poznać.

— Nie ma sprawy — odparł Mori. — Wykonam kilka telefonów.

Zaledwie w półtorej godziny później zatrzymał limuzynę przed niewielkim zakładem fotograficznym, a zarazem pracownią ksero w bocznej uliczce Bronxu i wszedł do środka.

Przy maszynie, która wypluwała z siebie jakieś zdjęcia z weekendu, siedział młody Murzyn.

Na widok Moriego przerwał swe zajęcie i podszedł do lady.

— Czym mogę służyć? — zapytał.

— Szukam pana Cassidy'ego.

— Jest na zapleczu. Zaraz go poproszę.

— Nie ma sprawy, koleś, sam się do niego pofatyguję.

Obszedł kontuar i otworzył drzwi prowadzące na zaplecze. Cassidy, drobny łysiejący mężczyzna w okularach w drucianej oprawie, pracował nad czymś, co Moriemu przypominało papiery akcji giełdowych.

— Stare sztuczki — odezwał się Sycylijczyk.

Cassidy zawsze potrafił zwietrzyć nadchodzące kłopoty, ale wstał i popatrzył na Moriego zaczepnie.

— O co chodzi?

— Reprezentuję rodzinę Russo. Pan Marco Sollazo, siostrzeniec i prawnik don Antonia, bardzo doceniłby pańską pomoc w drobnej sprawie.

Cassidy pobladł i drżącą ręką ściągnął z nosa okulary.

— Zawsze jestem do usług.

— Tak też myślałem. Wspaniale podrabia pan paszporty i sądzę, że jest pan na tyle ostrożny, aby mieć prywatne archiwum swych arcydzieł. Mam rację?

Cassidy nerwowo oblizał usta.

— Tak. O kim rozmawiamy?

— O gościu, z którym dzielił pan celę w Ossining. O Liamie Kellym. Jakiś czas temu odwiedziła pana jego bratanica.

— Oczywiście — odparł Cassidy. — Mam w dokumentach wszystkie szczegóły.

— Proszę zatem wziąć tę kartotekę i jedziemy. Pan Sollazo nie lubi czekać.

— Mówi pan, paszporty irlandzkie? — odezwał się Sollazo do stojącego przed biurkiem Cassidy'ego.

— Tak jest, panie Sollazo, na Daniela i Nancy Forbesów. Nie ma problemu ze zdobyciem aktualnego zdjęcia Kelly'ego. W więzieniu mają automat do robienia fotografii. Ze względów bezpieczeństwa więźniom bez przerwy robią zdjęcia.

— A to kiedy robiono?

— Osiemnaście miesięcy temu. Mają paszporty Wspólnoty Europejskiej w brązowych okładkach. W swoim Kelly jako zawód ma wpisane: artysta. Pomyślałem, że to będzie pasować, ponieważ widziałem w celi, jak ładnie rysuje.

— A dziewczyna?

— Pielęgniarka. Tak mi w każdym razie powiedziała.

— Wiem — mruknął Sollazo. — A przyłożył się pan do tej roboty?

— O, naturalnie, stemple wjazdowe i wyjazdowe państw od Hongkongu po Zjednoczone Królestwo. Dałem nawet wizę egipską. Słowo honoru, panie Sollazo, to majster-szytk.

— Jestem pewien, że pan nie kłamie — powiedział Sollazo i odwrócił się do Moriego. — Giovanni, jeśli jednak skłamał, upoważniam cię do tego, żebyś połamał mu nogi i ręce.

— Zrobię to z największą przyjemnością — odparł z uśmiechem Mori.

Cassidy obficie się pocił.

— Panie Sollazo, proszę. Naprawdę jestem człowiekiem uczciwym.

Prawnik wybuchnął śmiechem.

— Wynoś się pan stąd.

Mori odprowadził go do drzwi, po czym wrócił.

— Coś jeszcze, *signore*?

— Tak. Chcę, żebyś spotkał się z Salamone'em. Wszystko wskazuje na to, że Ryan zostanie we wtorek rano zawieziony do Green Rapids na badania serca. Dowiedz się wszystkiego. Poznaj procedurę przewożenia więźniów na tego typu badania.

— Czy *signore* ma na myśli to, o czym ja myślę?

— Zapewne. Później sprawdź szpital. Chyba nie muszę ci mówić, że masz być dyskretny. Zresztą zawsze taki jesteś.

— Dziękuję, *signore* — odparł z niewzruszoną twarzą Mori i wyszedł z gabinetu.

Sollazo wrócił do pracy.

Jak większość ludzi, Salamone panicznie bał się Moriego, który był jednym z najgroźniejszych „żołnierzy” rodziny Russo, więc pojawienie się Sycylijczyka wzbudziło w nim lęk. Kiedy szli trawnikiem w stronę jeziora, a Mori wyjaśnił powód swej wizyty, Salamone okazał się bardziej niż chętny do współpracy.

— Więźniów do szpitala wożą specjalnym ambulansem z obstawą. Raz nim jechałem. Potrzebowali pielęgniarza do eskortowania pacjenta na noszach.

— Ilu jest tych strażników?

— Kierowca, a tuż za nim facet ze spluwą. Z tyłu pojazdu zazwyczaj więźniom towarzyszy jeszcze dwóch. Ale to zależy od tego, ilu delikwentów przewożą. O ile się

orientuję, ten wtorek zapowiada się spokojnie. Wiozą tylko Kelly'ego, czy też Ryana, jak go nazywacie, oraz gościa o nazwisku Bryant. Czeką go operacja prostaty.

— Doskonale. A dokąd zabiorą Ryana?

— Na drugie piętro. Na kardiologię.

— I będzie go pilnować jeden albo dwóch konwojentów?

— Prawdopodobnie jeden. Ostatecznie facet ma kłopoty z sercem. No i będzie skutki.

— Przez cały czas?

— Podczas badań nie.

— Dobrze. To wszystko, co chciałem wiedzieć. Znasz stare sycylijskie powiedzenie? „Trzymaj język za zębami, to nie stracisz, będziesz z nami”.

— Jezu, Giovanni! — Paolo był wyraźnie wstrząśnięty. — Przecież wiesz, jak bardzo jestem oddany donowi!

— Z pewnością.

Mori poklepał go po policzku i odszedł.

Szpitalny parking był zatłoczony, ale gdy pojawił się tam Mori, akurat wyjechał jeden z samochodów i Sycylijczyk zajął miejsce oznakowane napisem „Naczelny Chirurg”.

Wysiadł z auta i wszedł głównym wejściem do budynku. Wnętrze urządzone bardzo nowocześnie. Kafelki, szkło, nikiel i wysoka technologia. Wszędzie roily się pielęgniarki, lekarze w białych fartuchach oraz odwiedzający chorych goście.

Mori pewnym siebie krokiem skierował się do windy, celowo wjechał na trzecie piętro i wyszedł na opustoszały korytarz. Naprzeciwko ujrzał drzwi z napisem „Magazyn”. Obok znajdowała się bardzo obszerna winda do przewożenia chorych na wózkach. Na kolejnych drzwiach widniał napis: „Pomieszczenie służbowe”. Mori wszedł tam bez wahania.

W środku zamontowano umywalki, kabiny z sedesami oraz rząd wieszaków. Na jednej z białych marynarek widniał plastikowy identyfikator: Doktor Lynn, radiolog. Mori włożył tę kurtkę i opuścił pomieszczenie.

Zjechał na drugie piętro i ruszył zdecydowanie korytarzem,

poszukując oddziału kardiologii, o którym wspomniał mu Salamone. Jest. Główny Oddział Kardiologiczny. Pchnął wahadłowe drzwi i wszedł do poczekalni.

Na ławkach siedziało trzech pacjentów, a za biurkiem w recepcji dyżurowała młoda Murzynka. Spojrzała na Moriego i przesłała mu uśmiech. Giovanni włożył ręce do kieszeni tak, że kłapa kołnierza prawie zasłoniła identyfikator.

— Czym mogę służyć, panie doktorze? — zapytała siostra.

— Jestem tu nowy. Radiolog. We wtorek rano mam zająć się pacjentem, więźniem z więzienia generalnego w Green Rapids. W tej chwili po prostu wszystko sprawdzam. Rozumie pani, jestem tu nowy. To człowiek z wadą serca.

— O, wiem, chodzi o Kelly'ego. Bywał już u nas. Tak, trafił pan we właściwe miejsce. Sala numer trzy, w końcu holu. Tam właśnie zawsze zajmują się Kellym.

— Dziękuję bardzo — powiedział Mori i ruszył korytarzem.

Zerknął przez okrągłe okno w drzwiach sali numer trzy. Dostrzegł pacjenta na wózku i popychającą go pielęgniarkę.

Dotarł do kolejnych drzwi, tym razem z napisem „Wyjście przeciwpożarowe”. Otworzył je i znalazł się w zacisznym korytarzu. Dostrzegł napis „Winda towarowa”. Wezwał dźwig i zjechał nim do suteren. Przez szeroko rozwarte wrota wkroczył do podziemnego parkingu i dalej, na parking przyszpitalny, gdzie zostawił limuzynę. Chwilę stał obok samochodu i uśmiechał się. Następnie zdjął białą kurtkę, wrzucił ją na tył samochodu, a potem zajął miejsce za kierownicą.

Gdy na oddziale farmakologii pojawiła się Kathleen Ryan, dyżur pełniła doktor Sieed. Pochodziła z Indii i ubrana była w sari. Lekarka bardzo lubiła Kathleen.

— Czym mogę służyć, siostrze? — zapytała.

— Mój stryj choruje na anginę pectoris. Przepisano mu nowy środek, o którym nigdy nie słyszałam. Nazywa się Dazane.

Doktor Sieded skinęła głową.

— Tak, to najnowszy lek. Bardzo skuteczny, lecz należy go bardzo ostrożnie dozować. Do trzech tabletek na dobę.

— Tak, to zauważyłam.

— Przedawkowanie może spowodować poważne kłopoty. Trzy pastylki potrafią wywołać bardzo ostry atak dusznicy.

— Ostry atak?

— Może nie tragiczny w skutkach, ale z całą pewnością pacjent wpadnie w kilkudniowy silny szok. Proszę przekazać stryjowi, żeby uważał.

— Dziękuję, pani doktor.

Kathleen przeszła przez pomieszczenie służbowe, wzięła płaszcz i torebkę, po czym opuściła szpital głównym wyjściem. Kiedy mijała parking, w limuzynie przejechał Giovanni Mori i skręcił w główną ulicę.

10

Kiedy przyszedł do niego Sollazo, zastał dona w bardzo serdecznym nastroju.

— Marco, sprawiasz wrażenie ogromnie z siebie zadowolonego.

— Sądzę, że znalazłem rozwiązanie.

— To dobrze, ale najpierw interesy rodzinne. Mam ci coś podpisać?

— Tak, dwa dokumenty dotyczące nieruchomości. Chodzi o przekazanie prawa własności.

Sollazo otworzył teczkę i wyjął z niej plik papierów.

— Załatwmy tę sprawę natychmiast — powiedział i podał wujowi pióro.

Gdy dokumenty zostały już podpisane, Russo powiedział:

— Doskonale. Teraz napijmy się mojej ulubionej wódki z martini.

— Przyrządzasz najlepszą na świecie.

— Jasne.

Russo podszedł do barku, przygotował napoje, a Sollazo usiadł na wysokim taborecie. Trunek był wyśmienity. Starszy mężczyzna wzniosł szklanę.

— Przejdźmy do Ryana. Mów.

Sollazo zrelacjonował sprawę z najdrobniejszymi szczegółami.

— Naprawdę sądzisz, że Mori sobie z tym poradzi? — spytał don, kiedy skończył.

— Absolutnie i na pewno. Nikogo innego nie będziemy w to plątać.

- Lecz Ryan musi wyrazić chęć do współpracy.
- Wyrazi.
- Będzie chciał też wciągnąć w to swą bratanicę.
- Naturalnie.
- A w jaki sposób zamierzasz go przekonać?
- Pozwól, że zacytuję kwestię z twego ulubionego filmu: „Złożę mu propozycję nie do odrzucenia”.

Starszy mężczyzna skinął głową.

— Ale nie może być żadnych powiązań między tobą a Ryanem, żadnych tropów wiodących do Rodziny. Jeśli przedsięwzięcie się powiedzie, nie chcę, żeby policja trafiła na nasz ślad.

— Z tym nie ma problemu. W Green Rapids obowiązują aż śmiesznie liberalne przepisy, a moje spotkania z Salamone'em są absolutnie legalne. Poza tym więźniowie pętają się z odwiedzającymi ich rodzinami czy prawnikami po całym parku i praktycznie mogę rozmawiać, z kim dusza zapagnie. Salamone twierdzi, że jutro o jedenastej rano dziewczyna ma odwiedzić stryja. Spotkam się z Salamone'em i postaram się porozumieć z Ryanem.

Don upił łyk wódki z martini i głęboko się zamyślił.

— Posłuchaj, Salamone spodziewa się, że zdołasz doprowadzić do rewizji jego wyroku. Są na to jakieś widoki?

— Żadnych, ale łudzę go z całkiem innego powodu. Bardzo dużo wie o interesach Rodziny.

— Za dużo. Jak się mówi na Sycylii: „Lepiej obciąć gałąź, niż stracić całe drzewo”. — Don pokiwał głową. — Poza tym Salamone stanowi jedyne ogniwo łączące nas z Ryanem.

— Mamy go całkowicie w ręku — powiedział cicho Sollazo. — A niebawem spotka go zła przygoda. Mamy w więzieniu przyjaciół, którzy chętnie się nam przysłużą.

— Doskonale, to wyczerpuje temat.

Tuż przed jedenastą, w piękny, słoneczny dzień, Sollazo wyszedł do parku w towarzystwie Salamone'a.

— Dobrze się spisałeś — oświadczył prawnik. — Don jest bardzo z ciebie rad.

— Cieszę się — odrzekł Paolo, skwapliwie kiwając głową. — A jak moja sprawa?

— Paolo, robię co w mojej mocy, ale sam wiesz, że trochę to potrwa.

W tej chwili dostrzegł Michaela Ryana i Kathleen, którzy podeszli nad brzeg jeziora i usiedli w jednej z wiejskich altan.

— Stryju, musisz bardzo uważać z zażywaniem tych nowych tabletek. Mówię o dazane.

— Wiem. Trzy razy na dobę po jednej.

— Rozmawiałam z doktor Sied. Jeśli zażyjesz od razu trzy, dostaniesz ostrego ataku dusznicy.

— A wtedy kurtyna?

— Powiedzmy, że przez pewien czas nie czułybyś się najlepiej.

W tej samej chwili zatrzymał się przed nimi Sollazo; elegancki mężczyzna w ciemnym garniturze i narzuconym na niego długim płaszczu od Armaniego.

— Dzień dobry, panie Ryan — powiedział i przesłał Kathleen promienny uśmiech. — Panią też witam, panno Ryan.

Michael znieruchomiał.

— Panu coś się pokręciło, pan pomylił nazwiska.

— Nie sądzę.

— Daj spokój, stryju Michaelu — powiedziała Kathleen i spojrzała na Sollaza. — O co panu chodzi?

— Zacznijmy od tego, że wiem o was wszystko. Michael i Kathleen Ryan, ciągle jeszcze poszukiwani przez policję w Ulsterze za szereg akcji terrorystycznych dokonanych z ramienia lojalistów. Panno Ryan, podejrzewam, że gdyby Brytyjczycy wiedzieli, gdzie jesteście, wystąpiliby o waszą ekstradycję.

— Niech pana szlag trafi — warknęła Kathleen. — Czego pan chce?

— Złota, które przed dziesięcioma laty zatoneło wraz z „Irish Rose” u wybrzeży hrabstwa Down. I proszę, nie udawajcie, że o niczym nie wiecie.

Stryj i bratanica przez chwilę wytrzeszczali na prawnika oczy.

— Widzę, że sporo pan wie.

— Wszystko.

— W porządku — mruknął Ryan. — Zatem wie pan również, że „Irish Rose” zatonała nocą podczas sztormu. Zeszliśmy z kursu i nie wiemy, gdzie barka poszła na dno.

— Ależ wie pan. Miał pan w kieszeni cacko, które nazywało się master navigator. To taki minikomputer, który dokładnie wyznaczył kurs i zarejestrował pozycję barki w chwili katastrofy.

Ryan ponownie popatrzył ze zdumieniem na Sollaza.

— Skąd pan to wszystko wie? To tajemnica moja i Kathleen. Tylko jej ją powierzyłem.

— Ktoś stał za drzewami i podsłuchiwał waszą rozmowę. Człowiek, którego znaleźcie jako Martina Keogha.

— Mówi pan tak, jakby był kimś innym — powiedziała Kathleen, przybierając poważny wyraz twarzy.

— Bo był. Panie Ryan, czy zetknął się pan kiedykolwiek z szefem sztabu IRA, Jackiem Barrym?

— Nie bezpośrednio.

— Otóż znał pański pierwotny plan, który odrzuciła rada wojskowa. Dotarły do niego plotki, że zamierza pan zrealizować go na własną rękę. Polecił zatem swemu najlepszemu człowiekowi, żeby się do was przyłączył.

— Kto to był? — zapytała pobladła naraz Kathleen.

— Sean Dillon. Słyszeliście o nim?

— O, tak — burknął Ryan, kiwając głową. — To legenda. Mówią o nim „człowiek o tysiącu twarzy”. Kiedyś był aktorem. Odszedł z armii, przez rok służył w RUC. — Znów pokiwał głową. — Nigdy go nie schwytano. A więc to on był tym Martinem.

— Kawał skurwysyna — odezwała się Kathleen.

— Wtedy, na drodze, mógł was zabić i zabrać master navigatora. Barry był na niego wściekły, że tak właśnie nie zrobił. Ale on oświadczył Barry'emu, że polubił pana. — Sollazo uśmiechnął się do dziewczyny. — I panią.

— Niech się pieprzy — burknęła Kathleen, w oczach miała łzy. — Mam nadzieję, że zgnije w piekle.

— Obecnie pracuje w wyjątkowo tajnym wydziale brytyjskiego wywiadu.

— Boże, chroń nas! — wykrzyknął Ryan i wybuchnął głośnym śmiechem. — Chroń nas, a nie Martina, którego kiedyś znaliśmy i lubiliśmy.

— Teraz już pana poznaję — powiedział Ryan. — Jest pan prawnikiem mafii i prowadzi sprawę Paola Salamone'a. Pracuje pan dla rodziny Russo.

— Czy ma to jakiegokolwiek znaczenie? Przejdźmy do interesów. Wiem wszystko, wiem nawet to, że pani, panno Ryan, posiada fałszywe irlandzkie paszporty wystawione na Daniela i Nancy Forbesów. Wiem też, że jest pani pielęgniarką w szpitalu Green Rapids.

— Rzeczywiście wie pan dużo, ale do czego to wszystko prowadzi?

— Do umożliwienia ucieczki z więzienia pani stryjowi. We wtorek rano, kiedy pojedzie na badania serca.

Zapadła ogłuszająca cisza, na twarzy Michaela malowało się kompletne oszołomienie.

— Dobry Boże, mówi pan poważnie?

— Jak najpoważniej.

— Chwileczkę — wtrąciła twardo Kathleen. — Czego pan oczekuje od nas w zamian?

— Ujawnienia miejsca zatonięcia „Irish Rose” — odparł cicho Sollazo. — Dobiłem targu z Jackiem Barrym. Spotkałem się z nim osobiście w Dublinie. Nie pełni już funkcji szefa sztabu, ale jest chętny do współpracy z ramienia ruchu, który reprezentuje. Najpierw musimy wstępnie zlokalizować zatopiony statek, a później moja organizacja przystąpi do właściwej akcji wydobywczej.

— Współpracujecie z tą pieprzoną IRA? — zapytała oburzona Kathleen.

— Tak, na zasadzie pół na pół.

— I zbierzecie owoce pracy mego stryja? A co on będzie z tego miał?

— Powiedziałbym... milion funtów. Nie, postawmy sprawę uczciwie. Daję dwa miliony.

— Jezu Chryste, synu, masz tupet — powiedział Ryan.
— Ma pan wybór — odparł Sollazo. — Może pan tu siedzieć przez kolejnych piętnaście lat.

Twarz Ryana była biała jak kreda.

— Ale pracować z Barrym i przekłętą IRA?

Kathleen położyła mu dłoń na ramieniu.

— Stryju, powinniśmy być praktyczni. — Odwróciła się do Sollaza. — Wchodzimy.

— Oczywiście. Gdy tylko wyrwiemy pani stryja, pani do niego dołączy. Zorganizujemy wam bezpieczną ucieczkę.

— A czy nie będzie problemów z opuszczeniem kraju?

— Żadnych. Do Irlandii polecimy gulfstreamem. Pojadę z wami.

— I to wszystko?

— Nie. Chcę znać współrzędne „Irish Rose”. Musicie przekazać mi dane z master navigatora. I proszę mi nie wmawiać, że nie macie tej informacji wyrytej głęboko w pamięci.

Kathleen znów położyła dłoń na ramieniu stryja.

— Nie, proszę pana. Informację otrzyma pan dopiero, gdy bezpiecznie dotrzemy do Irlandii.

Sollazo uśmiechnął się.

— Zgoda, panno Ryan, przyjmuję pani warunki. A teraz pozwólcie państwo, że wam powiem, jaki przewiduję przebieg wydarzeń.

We wtorek rano padało. Więzienna karetka zjawiła się na szpitalnym parkingu i zatrzymała w wyznaczonym miejscu tuż obok głównego wejścia. Kathleen Ryan siedziała za kierownicą swego samochodu. Obserwowała, jak jej stryj i drugi więzień wysiadają z ambulansu skuci kajdanami. Drugi strażnik i kierowca też wyskoczyli z auta i zapalili papierosa.

Kathleen opuściła samochód, wzięła teczkę, a potem przeszła na podziemny parking. Zgodnie z instrukcją otrzymaną od Sollaza szukała zielonej ciężarówki z blaszaną paką opatrzoną napisem „Pralnia Henleya”. Pojazd znalazła bez trudu. Za kierownicą siedział Giovanni Mori i ćmił papierosa.

— Jestem Kathleen Ryan. Czy pan Mori?

— Zgadza się. — Mężczyzna wysiadł z auta i wyciągnął z tylnego siedzenia białą lekarską marynarkę, którą wcześniej ukradł. — Już przyjechali? — zapytał, wkładając tę kurtkę.

— Przed chwilą.

— Niech pani czeka na miejscu obok kierowcy. Nie zajmie mi to dużo czasu.

Znów sięgnął do samochodu, wyjął biały kitel i przerzucił go przez ramię.

— Wie pan, jak wygląda mój stryj?

— Znam go z fotografii — odparł cicho Mori i ruszył do windy towarowej, którą wjechał na drugie piętro.

Stał chwilę w korytarzu, po czym pchnął drzwi przeciwpożarowe i wszedł na oddział kardiologii. Zajrzał przez okrągłe okno w drzwiach do sali numer trzy. Ryan leżał na stole, a młody lekarz przyczepiał mu do skóry elektrody. Mori przeszedł korytarzem do końca i zerknął przez wahadłowe drzwi do recepcji. Za biurkiem siedziała dyżurna pielęgniarka, pod ścianami kilku pacjentów oraz strażnik więzienny w cywilu, czytający jakieś czasopismo. Mori wrócił do sali numer trzy i otworzył drzwi.

Młody lekarz uniósł głowę. Nie przestając przymocowywać elektrod, zapytał:

— Czym mogę służyć?

Mori błyskawicznie wyciągnął z kieszeni skórzany worek wypełniony śrutem. Wziął silny zamach. Lekarz z jękiem zwałił się na podłogę. Ryan usiadł na stole i zaczął gorączkowo odczepiać przewody z elektrodami.

Mori rzucił mu lekarski kitel.

— Wkładaj — polecił.

Otworzył drzwi do łazienki, wciągnął tam lekarza, po czym wrócił.

— Wychodzimy — powiedział. — W lewo, do wyjścia przeciwpożarowego.

W chwilę później zjeżdżali już dźwigiem towarowym. Minęli podziemny parking i podeszli do zielonej ciężarówki, w której czekała pobladła z podniecenia Kathleen.

Mori otworzył tylne drzwi pojazdu.

— Wsiadaj. Znajdziesz tam ubranie. Jak najszybciej ściągnij z siebie te więzienne łachy. Nie mamy dużo czasu.

Zdjął białą marynarkę, wrzucił ją do blaszanego pojemnika na śmieci. Wskoczył za kierownicę i ruszył. Przy wyjeździe z parkingu minął karetkę więzienną, obok której włączyli się beczynnienie strażnik i kierowca.

Mori skręcił w główną ulicę.

Minęło niestety dobrych piętnaście minut, zanim w sali numer trzy pojawiła się pielęgniarka. Ku swemu zdziwieniu spostrzegła, że w pomieszczeniu nikogo nie ma. Poszła do siostry dyżurnej.

— Co jest z doktorem Jessupem i pacjentem? — zapytała.

— Prowadzi badania. Trwają godzinę.

— Ależ w sali nikogo nie ma.

— Chodźmy i sprawdźmy.

Strażnik więzienny wciąż jeszcze pograżony był w lekturze czasopisma, kiedy do recepcji wtargnęły obie pielęgniarki. W toalecie znalazły nieprzytomnego lekarza.

W tej samej chwili ciężarówka z pralni wjeżdżała już na zatłoczony parking przed odległym od szpitala o piętnaście kilometrów wielkim supermarketem. Mori zatrzymał samochód obok ciemnego sedana.

— Zmieniamy środek transportu — oświadczył Kathleen, wysiadł i otworzył tylne drzwi. — Wyskakuj.

Ze środka wynurzył się ubrany w brązowy, tweedowy garnitur i w płaszcz Ryan. Kathleen rzuciła się stryjowi na szyję.

— Udało się, stryju Michaelu.

Mori otworzył drzwi sedana.

— Wsiadajcie — polecił.

Ryan z bratanicą zajęli miejsca z tyłu wozu. Mori wsunął się za kierownicę i włożył szoferski kaszkiet pasujący

kolorystycznie do granatowego garnituru, który miał na sobie.

— Dokąd jedziemy? — zapytał Ryan. — Musieli już wszcząć alarm. Drogi będą obstawione przez policję.

— Na Long Island.

— Ależ to kawał drogi — zdziwiła się Kathleen. — Z całą pewnością zdążyli już zablokować autostrady i czekają na punktach opłat drogowych.

— Nic im to nie da — odparł Mori. — Zaufajcie mi, niech was głowy o nic nie boją.

Po dziesięciu minutach minęła ich nadjeżdżająca z przeciwka kolumna samochodów policyjnych na sygnałach.

— Jezu, chyba czekają nas kłopoty — odezwał się Ryan. Mori wzruszył ramionami.

— Człowieku małej wiary. Jesteśmy prawie na miejscu. W kilka chwil później zjechał z autostrady i skręcił w lewo. Widniała tam tablica z napisem: „Jackson Aero Club”. Po kilku minutach dotarli na miejsce. Na parkingu stało kilka samochodów, obok znajdował się parterowy budynek biur, za którym widniał pas startowy, a na nim około dwudziestu jedno- i dwusilnikowych samolotów. Na końcu pasa stał helikopter Swallow.

Mori zatrzymał sedana.

— Jesteśmy na miejscu — oświadczył, wysiadł z auta i sięgnął po torbę Kathleen. — Polecimy tą maszyną. Ruszajcie się.

Gdy podchodzili do helikoptera, pilot, młody mężczyzna w przeciwsłonecznych okularach sprawiający wrażenie twardziela, uruchomił silnik. Mori otworzył drzwi śmigłowca.

— Wsiadajcie. Lecimy.

Ryan i Kathleen wsunęli się do maszyny. Za nimi Mori. Zamknął i zabezpieczył drzwi, zapiął pasy bezpieczeństwa i po raz pierwszy się uśmiechnął.

— Następny przystanek: Long Island — powiedział. — Widzicie? Proste, kiedy się tylko wie, jak to zrobić.

Wylądowali na lotnisku Westhampton na Long Island. Do helikoptera podjechała limuzyna.

— Czy mogę złapać oddech? Dokąd teraz? — spytała Kathleen, gdy odjeżdżali.

— Do posiadłości Russa w Quogue — wyjaśnił Mori. — Don Antonio pragnie osobiście was powitać.

— No właśnie — mruknęła buńczucznie Kathleen. — On zawsze osiąga to, czego pragnie.

— Zawsze. — Mori odwrócił się w jej stronę i po raz drugi się uśmiechnął. — Na pani miejscu, słodziutka, dobrze bym o tym pamiętał.

Wieść o ucieczce rozniosła się po Green Rapids z błyskawiczną szybkością. Pełniący akurat dyżur w więziennym szpitalu Salamone dowiedział się o tym od pracującego w pralni Chomsky'ego. Chomsky zatrzymał wózek pełen pościeli, którą wywoził właśnie z magazynku.

— Ej, Paolo, słyszałeś dobrą wieść? O Kellym, Irlandczyku?

— O co chodzi?

— Uciekł podczas badań w szpitalu. Powiedział mi Grimes z biura strażników. Panuje tam piekło. To pierwsza ucieczka z tego pierdła.

— Cóż, mogę mu tylko życzyć szczęścia — odparł Paolo.

Przez następne pół godziny, aż do przerwy śniadaniowej, myśł o tym go nie opuszczała. Po drugim śniadaniu poszedł do jednej z budek telefonicznych dla więźniów i za pomocą karty magnetycznej zadzwonił do Sollaza. Prawnik wyjeżdżał właśnie na Long Island.

— Tak, Paolo?

— Do licha, udało się, prawda? Pomogłem.

— Dokładnie tak, jak się spodziewałem.

— Czy mogę teraz oczekiwać na trochę cukru? Obiecałeś, że mnie stąd wyciągniesz. Zrobiłem wszystko, co mogłem. Chyba zasłużyłem na nagrodę. Mam nadzieję, że w kanał mnie nie wpuściłeś?

Mówił bardzo natarczywie, ale w jego tonie było jeszcze coś. Nuta groźby. Sollazo wyczuł ją natychmiast.

— Drogi Paolo, spokojnie. Naprawdę się tobą zajmę, i to szybciej, niż sądzisz. Cierpliwości.

Odłożył słuchawkę, chwilę się zastanawiał, po czym znów wykręcił numer. Po drugiej stronie telefon odebrano natychmiast. Prawnik nie musiał się nawet przedstawiać.

— Należy rozwiązać sprawę Salamone'a. Skontaktuj się z naszym człowiekiem w Green Rapids i powiedz mu, że chcesz szybkich wyników. To sprawa dużej wagi.

— Uważaj tę sprawę za załatwioną.

Sollazo odłożył słuchawkę, sięgnął po płaszcz i teczkę, po czym opuścił biuro.

Olbrzymi salon wspaniałego domu Russa w Quogue wydawał się ciągnąć w nieskończoność, a wahadłowe szklane drzwi w końcu sali prowadziły na coś w rodzaju platformy spacerowej ustawionej nad wodą. W przyćmionym blasku wczesnego zmierzchu Ryan i Kathleen siedzieli przy stoliku ustawionym obok metalowej poręczy.

— Wprost nie mieści mi się to w głowie — powiedziała z przejęciem Kathleen.

— Rozumiem. Mnie również cały czas wydaje się, że sen nagle minie i obudzę się w celi.

Z salonu wyszedł Sollazo, za nim kroczył starszy mężczyzna wsparty na lasce i z cygarem w ustach.

— A, tu jesteście. Pozwólcie, że przedstawię wam mego wuja, don Antonia Russo.

— Panie Ryan, panno Ryan, cała przyjemność po mojej stronie. — Starszy pan odwrócił się do Sollaza. — Przygotowałeś odpowiednią oprawę?

— Oczywiście, wuju.

Na molo wkroczył Mori z butelką szampana w kubełku i tacą ze szklankami.

— A oto nasz bohater dnia. Dobrze się sprawiłeś, Giovanni.

Mori udawał bardzo skromnego. Otworzył butelkę i nalał szampana do kieliszków.

— Sobie też — powiedział don. — Bez ciebie nie będziemy pić.

Mori przyniósł kolejny kieliszek.

— Toast — oświadczył don. — Piję do pana, panie Ryan, piję za pański powrót do ojczyzny i za nasze wspólne przedsięwzięcia. Piję za „Irish Rose”.

W Green Rapids Salamone kończył dyżur. Poszedł do męskiej toalety, żeby umyć ręce i twarz. Towarzyszył mu jeden z odźwiernych. Kiedy Paolo zerknął w lustro, ujrzał Chomsky'ego, który oparty o ścianę palił papierosa.

— Masz jakieś nowe wiadomości o Kellym?

— Żidnych — odparł Chomsky.

— W pierdłu aż huczy od plotek. — Salamone wytarł dłonie i skierował się do wyjścia. Chomsky za nim. — Niepokoi mnie, że mogą nam teraz zaostrzyć rygor i dobrać się do tyłków. Wiesz, co mam na myśli?

— Tak, też się tego boję.

Dotarli do końca korytarza. Przy windzie znajdowało się duże lustro, a obok stojak z kwiatami. Salamone nacisnął guzik przywołujący dźwig. Dostrzegł w zwierciadle odbicie twarzy Chomsky'ego i w jednej chwili pojął, że żarty się skończyły. Drzwi windy stanęły otworem. Ale dźwigu nie było. Jedyne pusty szyb. Paolo błyskawicznie uskoczył w bok i pchnął głową do przodu nacierającego nań mężczyznę. Rozległ się zdławiony krzyk, po czym głucho tapnięcie, kiedy spadające z wysokości pięciu pięter ciało uderzyło w dno szybu.

Salamone nie wahał się ani przez chwilę. Ruszył prosto do wyjścia przeciwpożarowego w końcu korytarza, przebiegł przez drzwi i zaczął przeskakiwać po dwa stopnie. Ale nie dotarł do parteru. Wiedział, że na dole panuje już straszliwe zamieszanie. Przystanął na drugim piętrze, wszedł do pokoju pielęgniarek, zrobił sobie bardzo mocną kawę, usiadł nad filiżanką i zapalił papierosa.

Zdawał sobie sprawę z tego, że siedzi po uszy w gnoju. Wiedział też, na czyje polecenie. Tylko to miało ręce i nogi. Chomsky wielokrotnie już pracował dla Rodziny. Istniał inny jeszcze problem. I nie wolno go lekceważyć.

W więzieniu przebywali inni faceci pokroju Chomsky'ego, którzy aż palili się, żeby wyświadczyć rodzinie Russo grzeczność.

— Muszę się stąd wydostać — powiedział na głos. — Ale jak? Dokąd? Do cholery ciężkiej, co mam teraz zrobić?

Krażył po pomieszczeniu. Nieoczekiwanie, tknięty nagłą myślą, przystanął.

— Johnson... Blake Johnson! Jezu, jeśli on mi nie pomoże, to nie pomoże mi nikt!

W dziesięć minut później był już w biurze Cooka, zastępcy dowódcy straży więziennej. Siedzący za biurkiem oficer uniósł głowę.

— O co chodzi, Paolo? Powiedziałeś sekretarce, że to sprawa życia i śmierci.

— Panie Cook, mam bombową historię. Muszę widzieć się z agentem FBI, Blake'em Johnsonem.

— Musisz, nie musisz, o co chodzi?

— Panie Cook, proszę mnie wysłuchać. Jeśli pan ze mną nie porozmawia, zginę. Chce pan tego?

Cook zmarszczył brwi i rozparł się na krześle.

— Aż tak źle? — zapytał, powoli kiwając głową. — Sprawa jest tak poważna?

— Bardzo. Poza tym mogę powiedzieć kilka słów o Kellym i o tym, w jaki sposób ten skurwiol wyrwał się na wolność.

Cook zeszywniał.

— Wiesz coś o tym?

— Wiem, ale powiem tylko Blake'owi Johnsonowi.

— W porządku. Poczekaj na zewnątrz. Połączę się z FBI.

Po mniej więcej półgodzinie otworzyły się drzwi gabinetu i Cook wezwał Salamone'a.

— Pan Johnson nie pracuje już w FBI. Zatrudniono go w jednostce ochrony prezydenta w Waszyngtonie. Zadzwoń do niego i przekażę ci słuchawkę.

— Doskonale.

Blake Johnson miał czterdzieści sześć lat, był wysoki, przystojny i bardzo dobrze leżał na nim garnitur. Czarne jak smoła włosy ujmowały mu co najmniej dziesięć lat. Jako dziewiętnastolatek walczył w piechocie morskiej w Wietnamie, dwukrotnie otrzymał medal Purpurowego Serca, wietnamski Krzyż Męstwa oraz Srebrną Gwiazdę. Później ukończył prawo na uniwersytecie stanowym w Georgii i przeszedł do FBI. Sukcesy te sprawiły, że do obecnej pracy przyjęto go z otwartymi rękami. Od roku był dowódcą czegoś, co w Białym Domu określano mianem „Sutereny”, prywatnego oddziału uderzeniowego prezydenta, jak niektórzy to nazywali, jednostki nie podlegającej ani CIA, ani FBI i odpowiedzialnej jedynie przed prezydentem.

Właśnie do Johnsona zadzwonił zastępca dowódcy straży więziennej. Cook przedstawił sprawę i zakończył słowami:

— Zna pan tego człowieka?

— Pewnie, że znam. Kiedyś wsadziłem go do paki za napad na bank. Porozmawiam z nim. Proszę tylko o prywatność. Będzie bardziej otwarty, jeśli będzie pewien, że nikt inny nie przysłuchuje się naszej rozmowie.

W dziesięć minut po zakończeniu rozmowy z Salamone'em Johnson ponownie połączył się z zastępcą dowódcy straży więziennej.

— Najpierw ustalmy moje, że tak powiem, listy uwierzytelniające. Pracuję bezpośrednio dla prezydenta. Dowodzę oddziałem specjalnym zajmującym się wywiadem i bezpieczeństwem.

— Rozumiem — odparł Cook, na którym słowa Johnsona wywarły odpowiednie wrażenie.

— Zapewniam pana, że to, co powiedział mi Salamone, daleko wykracza poza zwykłą aferę kryminalną. Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że w grę wchodzi bardzo poważne kwestie bezpieczeństwa narodowego.

— Wielki Boże! — wykrzyknął Cook.

— No właśnie. Dlatego musi pan umieścić Salamone'a w bezpiecznej celi i zapewnić mu dobrą ochronę. Przyślę po niego helikopter.

— Naturalnie.

— Dobrze. Maszyna pojawi się za kilka godzin. Oficer sądu federalnego, który odbierze więźnia, będzie miał upoważnienie prezydenckie. Czy to dla pana jasne?

— Tak... aha, jeszcze jedno — powiedział Cook. — Mieliśmy tu więźnia nazwiskiem Kelly. Uciekł z miejskiego szpitala, dokąd zawieziono go na badania. Salamone twierdzi, że wie coś o tej sprawie.

Johnson, który kazał Paolowi trzymać głowę na kłódkę, gładko skłamał.

— Do diabła, powiedział tak tylko dlatego, że obawiał się, iż nie zechce pan go ze mną skontaktować.

— A to kawał łobuza!

— Oni tacy już są, lecz Salamone jest dla nas wyjątkowo ważny. Prezydent będzie panu bardziej niż wdzięczny za okazaną pomoc.

— Cieszę się, że mogłem pomóc.

— Składam panu w jego imieniu podziękowania.

Johnson w swym biurze w suterrenach Białego Domu rozparł się na krześle i dłuższą chwilę rozmyślał. Nacisnął staroświecki brzęczyk. Drzwi otworzyły się prawie natychmiast i w pomieszczeniu pojawiła się siwowłosa, pięćdziesięcioletnia Alice Quarbey, jego sekretarka. W rękę trzymała notatnik.

— Tak, panie Johnson?

— Proszę wystawić nakaz wydania w nasze ręce więźnia Paola Salamone'a. Przebywa w ośrodku odosobnienia Green Rapids. Papier niech podpisze oficer sądu federalnego. Chcę, żeby więźnia dostarczono do Waszyngtonu helikopterem, i to najszybciej jak to możliwe. Proszę umieścić go pod strażą w pomieszczeniach oddziału bezpieczeństwa na Hurley Street.

— Coś jeszcze?

— Nie powinniśmy marnować czasu. Proszę wyszukać w komputerze wszystkie informacje dotyczące Michaela Ryana, irlandzkiego terrorysty walczącego po stronie protestantów, oraz jego bratanicy, Kathleen Ryan. Proszę

też o informacje na temat rabunku złota w Okręgu Jezior w Anglii jesienią tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku.

Alice skwapliwie notowała.

— Brzmi to interesująco — stwierdziła.

— Bardziej, niż się pani wydaje. Proszę również wydobyć wszelkie informacje o barce „Irish Rose”, która zatonała wtedy u wybrzeży hrabstwa Down w Ulsterze. — Johnson wyszczerzył w uśmiechu zęby. — To wszystko. Oczywiście tych informacji potrzebuję na wczoraj.

— Rozumiem.

Po wyjściu sekretarki ponownie zaczął przetrawiać w myślach sprawę. Ze swego biura miał bezpośredni dostęp do sieci komputerowej zarówno FBI jak i CIA. Utrzymywał też przyjazne stosunki ze służbami brytyjskimi. Nie miał wątpliwości, że uzyska wszystkie potrzebne informacje. A potrzebował ich przed rozmową z prezydentem.

Ze srebrnej skrzyneczki stojącej na biurku wyjął papierosa, włożył go do ust i sięgnął po zapalniczkę. Wprawdzie przed rokiem rzucił palenie, ale w chwilach wyjątkowego napięcia potrzebował nikotyny. No cóż, jeden papieros krzywdy mu nie zrobi.

O osiemnastej w rezydencji w Quogue podano wytworny obiad. Pieczoną kaczkę, ziemniaki, sałate, a do tego szampana.

— Od lat tak nie jadłem — stwierdził z zadowoleniem Ryan.

— Myślę — odparł z powagą don. — Ale najlepsze jeszcze przed wami. — Zadzwoił małym, srebrnym dzwoneczkiem i do jadalni weszła służąca z podgrzewaną tacą. — *Cannolo* — wyjaśnił don Antonio. — Ulubiony sycylijski deser. Bardzo prosty. Mąka, jajka i śmietana.

— Delicje — powiedziała Kathleen.

— Smacznego. Do interesów przejdziemy przy kawie.

Zapadł wieczór. Zasiedli na molo, a służąca zaczęła przygotowywać kawę. Kiedy skończyła, don Antonio odprawił ją ruchem dłoni.

— Co teraz? — zapytała Kathleen.

— Marco zawiezie was do niewielkiego domku przy plaży. To niedaleko stąd i będziecie tam bezpieczni. Przypilnuje was Mori.

— A później? — zapytała Kathleen.

— Niedaleko stąd znajduje się lotnisko MacArthur. Mam tam gulfstreama. Polecicie nim do Dublina z moim siostrzeńcem i Morim. Chyba że zmienią się okoliczności — dodał z uśmiechem.

Był to bardzo groźny uśmiech i Kathleen mimowolnie zadrżała.

— A czego pan żąda od nas teraz? — zapytał Ryan.

— Pańska bratanica oświadczyła memu siostrzeńcowi, że wszelkie dane o lokalizacji „Irish Rose” dostarczycie nam, kiedy będziecie już bezpieczni w Irlandii.

— Dokładnie tak powiedziała — przyznał Ryan.

— Ja jednak nalegam, żebyście nam zaufali i podali te informacje teraz.

Don Antonio ponownie się uśmiechnął.

— O nie, proszę pana — odparła Kathleen, zdecydowanie kręcąc głową. — Musicie poczekać, aż znajdziemy się w Irlandii.

— A zatem i wy musicie poczekać. W każdym razie pani, *signorina*. — Odwrócił się do Ryana. — Pan pojedzie, a ona zostanie tu jako nasza gwarancja.

— Nie może pan tak postąpić! — wybuchnął Ryan.

— Przyjacielu, mogę zrobić, co mi się żywnie podoba. Przed wielu laty ojciec nauczył mnie wykorzystywać ludzkie słabości. Pańskim słabym punktem, panie Ryan, jest pańska bratanica. — Wstał. — Niech pan sobie to przemyśli. Chodźmy, Marco, dajmy im trochę czasu.

— Cóż za banda skurwysynów! — powiedziała po ich wyjściu Kathleen. — Własnoręcznie bym ich zastrzeliła.

— Nie zastrzelisz, a my nie mamy wyboru — odrzekł rozsądnie jej stryj. — Jak najszybciej musimy się wynieść

z Ameryki. Nie mogę znieść myśli, że znów wrócę za kraty, ale też nie potrafię pogodzić się z tym, że ciebie tu zostawię.

— Co zatem mamy robić? A jeśli nas wykiwają? Co, jeśli podasz im informacje, a ten bydlak Mori nas zastrzeli?

— Nie sądzę, żeby do tego doszło. Jestem dla nich cenny z kilku powodów, a jeśli rzeczywiście planują nas w pewnej chwili zabić, równie dobrze mogą to uczynić w Irlandii. — Ponuro się uśmiechnął. — Nie, damy im to, czego chcą.

— Fałszywą pozycję?

— Myśl logicznie. W pewnej chwili znajdziemy się z tymi łobuzami i nurkiem na łodzi. Jeśli nie znajdą we wskazanym przez nas miejscu wraka „Irish Rose”, Mori nas zastrzeli i będzie po herbacie. — Ryan potrząsnął głową. — Musimy dostać się bezpiecznie do Irlandii. Widzisz, jest jeszcze jeden powód. Prawda jest taka, że nie do końca byłem z tobą szczery.

Kathleen popatrzyła pytająco na stryja.

— Powiesz mi?

Ryan powiedział.

Później długo siedzieli w milczeniu i trzymali się za ręce.

— I przez tyle lat nie zająknałeś się o tym słowem — przerwała w końcu ciszę Kathleen.

— Zawsze ci mówiłem, że nie wierzę nikomu. Nawet tobie.

— Ale teraz zaufałeś. I postąpiłeś słusznie. Musimy dotrzeć do Irlandii. Kiedy już tam będziemy, coś wymyślimy. — Podniosła głos. — Don Antonio?

Na molo pojawił się Russo. Towarzyszył mu Sollazo.

— Przemysleliście sprawę? — zapytał.

— Tak, zgadzamy się.

— Doskonale.

Sollazo wyjął z kieszeni na piersi notatnik i pióro, a don Antonio Russo uśmiechnął się serdecznie.

— Od samego początku wiedziałem, że jest pani, *signorina*, praktyczną młodą damą.

11

Prezydent siedział w Gabinetcie Owalnym i słuchał Blake'a Johnsona, który przekazywał mu niedobre wieści.

— Widziałem się z Salamone'em, który przebywa w jednostce bezpieczeństwa przy Hurley Street. Solidnie go przemaglowałem. Wyznał wszystko, co wie. Czytał już pan dokumenty, które przesałem, i zdaje sobie sprawę, że wywiad brytyjski posiada raport o porwaniu przez Ryana ciężarówki. Informacje te przekazał protestancki terrorysta, Reid, który został aresztowany za morderstwo dokonane na dwóch żołnierzach. Podając te fakty, chciał dobić targu. Twierdził, że napadu dokonał Ryan, jego siostrzenica oraz niejaki Martin Keogh. Ten ostatni stanowi kompletną zagadkę. Nie mamy o nim żadnych informacji.

— Ten Ryan to desperat — odparł prezydent. — On i ta młoda kobieta. — Potrząsnął głową, po czym wyprostował się na krześle. — Współczuję czasem istotom ludzkim... Ale wracajmy do sprawy. Co z Russem?

— Moim zdaniem to nas donikąd nie zaprowadzi. Marco Sollazo jest jednym z najbardziej wziętych prawników na Manhattanie. Jeśli spróbujemy się do niego zbliżyć, wyrazi zaskoczenie i zakłopotanie, a następnie wyprze się jakiegokolwiek znajomości z Ryanem. Bardzo liberalne przepisy, jakie wprowadzono ostatnio w instytucjach typu Green Rapids, zezwalają więźniom pałętać się z odwiedzającymi ich osobami po całym terenie zakładu. Tak zatem Sollazo mógł swobodnie nawiązać kontakt z Ryanem, a później

łatwo wyprzeć się tej znajomości. Tak, bywał w Green Rapids, ale tylko z wizytami u Salamone'a. A Salamone skazany został za zabójstwo policjantki. — Wzruszył ramionami. — Ewidentna sprawa, prokurator okręgowy uporał się z nią w pięć minut.

— A don Antonio Russo?

— Ma na liście płac swego siostrzeńca, najlepszego prawnika w Nowym Jorku. Przez całe życie nie spędził za kratkami nawet jednego dnia.

— Ale Salamone'owi pan wierzy?

— Obawiam się, że tak.

— Cóż zatem, pana zdaniem, się dzieje?

— Sądzę, że Solazzo i jego wuj porwali Ryana, żeby położyć ręce na złocie. Z pewnością dobili jakiegoś targu, na przykład pół na pół. Proszę nie zapominać, że złoto to warte jest obecnie sto pięćdziesiąt milionów dolarów, a Ryan jest fanatykiem, bez reszty oddanym sprawie protestantów.

— Tak olbrzymia kwota pieniędzy przeznaczona na broń? — Prezydent z niedowierzaniem potrząsnął głową. — A przecież pokój już puka do drzwi. To zbyt ponura perspektywa, żeby w ogóle brać ją pod uwagę. Wszelkie zabiegi moje i zabiegi pana Johna Majora pójdą na marne.

— Dokładnie tak, panie prezydencie, i moim zdaniem kwestia aresztowania don Antonia Russo lub jego siostrzeńca staje się sprawą drugorzędną. Przede wszystkim nie wolno nam dopuścić do tego, by złoto, czy choćby jego część, wpadło w ręce lojalistów. Mówiąc otwarcie, taka fortuna umożliwiłaby im wzniecenie wojny domowej.

— Tak, nie wolno nam do tego dopuścić. Jakie, pana zdaniem, będzie ich następne posunięcie?

— Zabiorą Ryana i dziewczynę do Irlandii. Tam spróbują zlokalizować wrak. To stosunkowo prosta operacja, do której potrzebują jedynie łodzi ratowniczej i nurka. Kiedy już będą znali położenie barki, spróbują wydobyć złoto.

— Tak, musimy temu za wszelką cenę zapobiec. — Prezydent nachmurzył się, ale po chwili na twarzy wykwitł mu uśmiech. — Sądzę, że będzie to odpowiednia robota dla Dillona.

— Dillona, panie prezydencie?

— Zapomniał już pan, co wydarzyło się w zeszłym tygodniu podczas mego spotkania z premierem Johnem Majorem na tarasie Izby Gmin? Zapomniał pan tego fałszywego kelnera? Sean Dillon, niegdyś jeden z budzących największy postrach bojówkarzy IRA, obecnie człowiek do zadań specjalnych brygadiera Charlesa Fergusona, pańskiego brytyjskiego odpowiednika.

— Nie, nie zapomniałem, panie prezydencie.

— To dobrze. Proszę zatem natychmiast połączyć mnie gorącą linią z premierem.

Na Downing Street, w domu pod numerem dziesięć, John Major siedział w gabinecie ze słuchawką telefoniczną przy uchu.

— Całkowicie się z panem zgadzam — powiedział, gdy prezydent skończył mówić. — Nie możemy do tego dopuścić. Upoważnię brygadiera Fergusona do natychmiastowej interwencji. Jestem przekonany, że Dillon, jak zwykle, podoła zadaniu. Proszę ten problem zostawić mnie.

Odłożył słuchawkę, przez chwilę głęboko się nad czymś zastanawiał, po czym znów sięgnął do telefonu.

— Brygadier Charles Ferguson — polecił sekretarzowi. — Chcę natychmiast widzieć go u siebie.

Siedział ze zmarszczonymi brwiami. Ta przeklęta Irlandia. Mimo wszelkich wysiłków, jakie podejmował, sprawa nie chciała się zakończyć; groziła wręcz załamaniem jego kariery politycznej.

Charles Ferguson siedział w milczeniu, twarz miał zasępioną, a premier referował sprawę.

— Nie możemy do tego dopuścić, brygadierze Ferguson — zakończył. — Nie możemy dopuścić, aby tak olbrzymia fortuna wpadła w ręce którejkolwiek ze zwaśnionych stron w Irlandii. Dostyc już tych jatek. Nie stać nas na wojnę domową.

— W pełni się z panem zgadzam, panie premierze.

— Brygadierze, chcę, by sprawą tą zajął się osobiście Dillon — oświadczył John Major. — Cóż, nie pochwalam jego przeszłości w IRA i w tym punkcie dystansuję się od niego, lecz nie ulega wątpliwości, że jest to człowiek obdarzony nadzwyczajnymi zdolnościami. Ostatecznie to on sprawił, że rodzina królewska uniknęła poważnej kompromitacji podczas zeszłorocznej afery windsorskiej. Te wszystkie bzdury o faszystach. Później udaremnił grupie terrorystycznej Trzydziesty Stycznia próbę przerwania negocjacji pokojowych. To Dillon również uratował życie senatora Patricka Keogha, kiedy ten odważył się zwrócić do Sinn Fein i IRA w Irlandii z apelem o pokój. Zdaję sobie sprawę z tego, że Sean Dillon jest człowiekiem pozbawionym skrupułów, lecz jednocześnie jedyną osobą, która może poradzić sobie z obecnym kryzysem.

— W pełni podzielam pańską opinię, panie premierze.

Ferguson wstał, lecz John Major nie spuszczał z niego wzroku.

— Pańskich ludzi nazywają prywatną armią premiera. A to daje wam wyjątkowe uprawnienia. Wykorzystaj je, brygadierze, wykorzystaj.

Gdy Hannah Bernstein i Sean Dillon stawili się w biurze Fergusona, brygadier stał przy oknie. Na odgłos otwieranych drzwi odwrócił się. Miał bardzo poważną minę.

— Ta sprawa ma absolutny priorytet. Wszystko inne odłożyć na bok. To kategoryczne żądanie premiera. Na moim biurku leżą akta oznaczone kryptonimem „IRISH ROSE”. Proszę zabrać je do swego biura, pani główna inspektor. Oboje się z nimi zapoznajcie, a potem zameldujcie się u mnie.

Hannah Bernstein przeglądała kartoteki, czytała stare wycinki prasowe, studiowała dokładnie szczegóły dotyczące działalności Ryana oraz sprawozdanie Salamone'a o tym, co wydarzyło się w Green Rapids. Dillon, pochylony nad jej ramieniem, również z uwagą czytał te dokumenty.

— No cóż, mamy do czynienia z wyjątkowo paskudnym działaczem prodów, Michaeliem Ryanem, oraz jego drapieżną brataniczką, Kathleen — oświadczyła Bernstein. — Co wiemy? Złoto zrabowano w Okręgu Jezior, a zgodnie z oświadczeniem złożonym policji przez łowiącego w Marsh End ryby chłopca, w przystani zacumowana była „Irish Rose”. Zakładamy, że ciężarówka wjechała na pokład... ale tylko zakładamy. Kolejny fakt? Na wybrzeżu Down znaleziono wyrzucone przez fale kapoki i różne drobiazgi z „Irish Rose”. Następny w kolejce jest Salamone i Ryan, występujący pod fałszywym nazwiskiem Kelly, który w stanie Nowy Jork napadł na bank, zastrzelił policjanta, za co został skazany na dwadzieścia pięć lat -więzienia. Bredząc w gorączce, wyznał, że tylko on zna dokładne miejsce zatonięcia „Irish Rose”. Resztę wiemy. A zatem Ryan i dziewczyna z pomocą rodziny Russo wyrwali się na wolność. I co z tego? Nic nie wiemy, Dillon.

— Poza tym, dziewczyno miła, co mówi nam prosta logika. A logika mówi, że wszystkie tropy wiodą do Irlandii. Ale istnieje coś jeszcze. Muszę uczynić pewne straszliwe wyznanie. Chodźmy do Fergusona, żebym nie musiał opowiadać dwa razy.

Ferguson zajął miejsce za biurkiem, Hannah naprzeciwko niego, a Dillon, trzymając ręce w kieszeniach, podszedł do okna.

— I co o tym powiecie? — zapytał brygadier. — Składając wszystko do kupy, łącznie z plotkami i pogłoskami plus informacje dostarczone jeszcze w osiemdziesiątym piątym przez tego bydlaka Reida, chodzi o bardzo cwaną robotę wykonaną przez Michaela Ryana, jego bratanicę Kathleen i tajemniczego Martina Keogha. Potwierdza to pewien niejasny raport Królewskiej Policji Ulsteru o napadzie na pub „Orange Drum” w Belfaście, którego właścicielem był właśnie Ryan. Pewien żalosny barman z jedną ręką, Ivor, pamięta, iż ów Keogh wyrwał dziewczynę z łap katolików, którzy zamierzali dokonać na niej zbiorowego gwałtu. Działo się to na dzień lub dwa przed tym, jak

świadek po raz ostatni widział całe to towarzystwo. Zeznał, że pojechali taksówką na lotnisko, skąd odlecieli do Londynu.

— To racja, brygadierze — wtrąciła Hannah. — Reid wspominał o działaczu protestanckim, Hughu Bellu, który miał w Kilburn pub pod nazwą „William and Mary”. Człowiek ten zginął w wypadku ulicznym.

— Pieprzenie w bambus — przerwał Dillon. — Wykończył go Reid i jego goryl, skurwiel nazwiskiem Scully.

Oboje popatrzyli na niego ze zdumieniem.

— Przecież tego szczegółu w papierach nie ma. Skąd o tym wiesz?

— Ponieważ to ja byłem Martinem Keoghem. — Dillon odwrócił się do Fergusona. — Poczęstuję się twoją whiskey, brygadierze, a potem o wszystkim opowiem.

— Miły Boże, Dillon, zawsze zdołasz mnie czymś zaskoczyć — stwierdził Ferguson.

— Jestem mężczyzną z przeszłością, brygadierze. Dobrze sobie z tego zdawałeś sprawę, gdy wciągałeś mnie do pracy u siebie.

— Tak, przeszłość. To dobre słowo. Bojownik walczący przez mniej więcej dwadzieścia lat pod sztandarami IR A.

— Brytyjscy spadochroniarze zastrzelili mi ojca, brygadierze. Chciałem, żeby ktoś za to zapłacił. Kiedy ma się dziewiętnaście lat, na świat patrzy się właśnie w taki sposób.

— A OWP? Działałeś w niej dla idei czy dla pieniędzy?

— Brygadierze, człowiek musi z czegoś żyć — odparł z uśmiechem Dillon. — Ale pragnę przypomnieć, że pracowałem również dla Izraelczyków.

— Ale teraz pracujesz tutaj — wtrąciła Hannah. — Czy nie czujesz się trochę brudny, wspominając własną przeszłość?

— Jeśli chodzi ci o to, że sprzedałem swych przyjaciół z IRA, to nie. Przez lata byłem prawą ręką Jacka Barry'ego, ale później, tak to ujmijmy, rozczarowałem się do ich wzniosłych idei i odszedłem. Poza tym nie zapominaj, w jaki sposób do was trafiłem. Miałem do wyboru: albo

stanać przed plutonem egzekucyjnym Serbów, albo podjąć pracę dla Jego Wysokości. Nie oszukuj się, naprawdę miał zamiar postawić mnie pod murem. Nie bądźmy hipokrytami, przy ganiał kocioł garnkowi. — Dillon wzruszył ramionami. — A ty, dziewczyno miła, czy pracując w tym wydziale, naprawdę uważasz, że masz czyste ręce?

Cios był bardzo celny i bardzo bolesny.

— Niech cię piekło pochłonie, Dillon!

— Dostyc tego — przerwał im wymianę zdań Ferguson. — Macie robotę do wykonania. Musicie to wszystko dokładnie przesiać. Dane wywiadowcze nie tylko z komputerów MI5 i 6, ale również Scotland Yardu, RUC oraz dublińskiej Gardy *. Chcę wyników, więc bez zwłoki bierzcie się do roboty.

W gabinecie Hannah Dillon zapytał:

— Ale w dalszym ciągu jesteśmy przyjaciółmi?

Bernstein obrzuciła go płonąącym wzrokiem, po czym nieoczekiwanie, acz z niechęcią, uśmiechnęła się.

— Dillon, już ci mówiłam, że jesteś straszliwym łotrem, ale cię lubię.

Dillon zdjął marynarkę. W samej koszuli stał w pracowni komputerowej, popijał herbatę i obserwował pochyloną nad ekranem Hannah. Po długiej chwili główna inspektor wyprostowała plecy i gniewnie parsknęła:

— Komputer RUC nie posiada żadnych informacji. Natrafiłam w nim jedynie na dawne dzieje Ryana, a i te informacje urywają się przed dziesięcioma laty.

— A czegoś się spodziewała? Właśnie od dziesięciu lat przebywał w amerykańskim kiciu. Ja również nie dogrzebałem się niczego w kartotekach wywiadu Scotland Yardu. Ludzie Cartera też nic nie wiedzą.

— Już oczy mnie bołą od gapienia się w ten cholerny ekran — burknęła Hannah. — Muszę zrobić sobie kawę. A ty?

— Zacznę przeglądać dane wywiadowcze Gardy z Dub-

* Policja irlandzka.

lina. — Kiedy Hannah wstała z za komputera, Dillon zmarszczył brwi, potrząsnął ze złością głową i dodał: — Myślę o tym na okrągło. Urowadzenie ciężarówki, farma Folly's End, Marsh End, podróż morską, zatopienie barki i wczesny poranek w hrabstwie Down. Michael i Kathleen ruszyli drogą w kierunku Drumdonald, a ja zawróciłem do Scotstown.

— I jakie wnioski?

— Coś nieustannie umyka mojej uwagi. Szperam stale w pamięci, przeglądam wszystkie wycinki prasowe, a jednak to coś ciągle mi umyka.

— Tak czasami bywa.

— Ale nie w przypadku Wielkiego Dillona.

Zajął miejsce za komputerem, a Hannah ruszyła do drzwi.

— Tamtego ranka na drodze mogłeś zabić Ryana i odebrać master navigatora. Wtedy przekazałbyś Barry'emu dokładną pozycję zatonięcia barki.

— Wiem — odparł z uśmiechem Dillon. — Czyż nie jestem osobą bardzo skomplikowaną?

Hannah wyszła z pokoju, a Dillon zaczął przeglądać kartoteki Gardy.

Dokładnie w tym samym czasie gulfstream przebył już połowę drogi i leciał nad Atlantykiem. Sollazo zajął miejsce z przodu i najwyraźniej spał. W sąsiednim rzędzie siedział Mori. Michael i Kathleen ulokowali się z tyłu maszyny. Ryan znalazł tam niewielki barek i nalał sobie porcję whiskey.

— Następny przystanek w ślicznym Dublinie. Stara, dobra Irlandia. — Pokręcił głową. — Upłynęło dużo czasu i wszystko się zmieniło... tak mi mówiono. Nic, tylko rozmowy o pokoju.

— Bzdury — odrzekła Kathleen. — Posadź w siodle Sinn Fein, a ona już zepchnie do morza każdego protestanta. Byłoby tu gorzej niż w Bośni.

— Zajadła jesteś.

— Nikt nie wie lepiej od ciebie, że mam ku temu wszelkie powody.

Ryan wyciągnął rękę i poklepał bratanicę po dłoni.

— Ale nie zapominaj o jednym. W Dublinie musimy zachowywać się bardzo rozsądnie. Zatem, gdy już spotkamy się z Jackiem Barrym, trzymaj język za zębami i nie irtuj go. Po prostu uzbrój się w cierpliwość i czekaj na stosowną chwilę. — Wyjął z barku kolejną małą buteleczkę whiskey. — Pozostaje jeszcze nie rozwiązana kwestia pieniędzy. Ich właśnie potrzebujemy w tej chwili najbardziej.

— No właśnie, pieniądze. Nie do końca byłam z tobą szczerą. Przez wszystkie te lata oszczędzałam i odkładałam gotówkę, żywiąc szaleńczą nadzieję, że w jakiś sposób uda ci się wyrwać na wolność. Tak więc teraz, przed wyjazdem, opróżniłam konto.

— Jezu Chryste, dziewczyno, dużo masz tej forsy?

— Mniej więcej pięćdziesiąt tysięcy dolarów. — Uniosła torbę. — Jest tu podwójne dno. Połowa to banknoty pięćdziesięciodolarowe, a reszta w piątkach.

Michael aż poblądł z podniecenia.

— Boże, to wspaniała wieść. — Zamilkł i głęboko się zamyślił. — Za pieniądze można w tym świecie dostać wszystko. Za dawnych dni, gdy wykonywałem zadania dla rady wojskowej, zatrudniałem w Down niejakiego Tony'ego McGuire'a. Miał firmę taksówek powietrznych. Mieściła się na przedmieściach Ladytown. Samolociki te stanowiły najlepszy i najszybszy środek przedostania się do Anglii, gdy chciałem uniknąć kontroli na lotnisku Aldergrove.

— Ale czy prowadzi jeszcze ten interes?

— Dlaczego miałyby nie prowadzić? A jeśli nie on, to ktoś inny. Firma tego typu to najlepsze rozwiązanie, gdy już przejmujemy złoto i ruszy za nami nagonka.

— A może nawiązać kontakt z radą wojskową w Belfaście?

— Nie wiem, Kathleen. Upłynęło dziesięć lat, dziesięć długich lat, a jak mi mówiono, w kraju wszyscy już pragną tylko pokoju. Ciekaw jestem, co z takimi ludźmi jak Reid lub Scully.

— Było, minęło, nic nie osiągnęli.

— Pozostaje problem, jak mamy zerwać się ze smyczy.

— Mam pewien pomysł — odrzekła Kathleen, lecz jej twarz wyrażała zakłopotanie. — Nie jestem tylko pewna, czy powinieneś ryzykować.

— Jezu, dziewczyno, zrobię wszystko! Co to za pomysł?

Kiedy skończyła mówić, Ryan przez dłuższy czas milczał i zastanawiał się nad tym, co powiedziała mu bratanica.

— Rzekłbym, chytre — przerwał w końcu ciszę.

— Może nie będziemy musieli chwytać się tego sposobu. Może znajdziemy jakieś inne rozwiązanie?

— Kto wie — odparł Ryan i uśmiechnął się. — Do licha, chyba wypiję jeszcze jedną whiskey.

Upłynęły dobre trzy godziny, zanim pochyłony nad komputerem Dillon zawołał:

— Bingo! Jesteśmy w domu!

Hannah znalazła się przy nim w jednej chwili.

— Co, do licha, odkryłeś?

— Wielkiemu Dillonowi znów los sprzyjał. Przewertowałem wszystkie kartoteki Gardy dotyczące lojalistów i nie znalazłem dosłownie nic. Poza informacjami, które już znamy, ani słowa o „Irish Rose”.

— I co?

— Wtedy zacząłem studiować powiązania Sinn Fein z provosami. — Dillon roześmiał się. — Później pomyślałem sobie, dlaczego nie miałbym się cofnąć aż do czasów dinozaurów, do twardych ludzi z dawnych dni. Poszukiwania doprowadziły mnie do Jacka Barry'ego, niegdyś szefa sztabu, dziś już emeryta.

— I?

— Obecny pokój jest bardzo kruchy i Garda nieustannie trzyma na oku wszystkich głównych graczy, płacąc hojnie za wszelkie wewnętrzne informacje. To taki stary, irlandzki zwyczaj zbierania przez naganiaczy informacji wszędzie, gdzie się da.

— Naganiaczy?

— Informatorów, którzy pracują za pieniądze. I oto

proszę, dokąd nas to zaprowadziło. — Dillon wskazał dłonią ekran komputera.

— Wyjaśnij mi to, proszę.

— Nie, sprowadźmy tu brygadiera i uradujmy nasze dusze.

Ferguson stał obok Dillona, a ten naciskał klawisze klawiatury komputera. Hannah siedziała za plecami brygadiera. Dillon rozparł się na krześle.

— Proszę, tu jest wszystko — powiedział. — W zeszłym tygodniu pewien prostak o nazwisku O'Leary przebywał w znajdującym się w pobliżu mieszkania Jacka Barry'ego „Cohan's Bar”. Oświadczył, że w pubie pojawił się Barry. Towarzyszył mu elegancko ubrany jegomość, Amerykanin. O'Leary podsłuchał kilka słów ich rozmowy. Obaj zajęli miejsce w łoży, jedli lunch, popijali, a gawędząc trzymali głowy bardzo blisko.

— I dokąd nas to prowadzi? — zapytał Ferguson.

— Później wyszli z lokalu i ruszyli przez park, po którego drugiej stronie znajduje się mieszkanie Jacka. O'Leary okrążył samochodem park i przed domem dostrzegł limuzynę z szoferem. Odczekał, aż Amerykanin ulokuje się w samochodzie, po czym pojechał za nim na lotnisko dublińskie.

— Co dalej?

— Amerykanin odleciał prywatnym gulfstreamem. W kapitanacie lotniska oświadczone O'Leary'emu, że samolocik udał się na lądowisko MacArthur na Long Island. — Dillon wybuchnął śmiechem. — Nie będzie trudno ustalić, do kogo ta maszyna należy.

— W tej chwili łączę się z Johnsonem — oświadczył Ferguson, odwrócił się i ruszył spieszenie do swego gabinetu.

Blake Johnson tkwił właśnie nad rozłożoną na biurku kartoteką, gdy do pokoju wsunęła się Alice Quarbey z nieodłącznym notatnikiem w rękę.

Johnson wyprostował się na krześle.

— No dobrze — powiedział. — Mów.

— Mam już informacje dotyczące gulfstreama, o którym brygadier Ferguson dowiedział się z kartotek Gardy. Samolot należy do Russo Corporation, a jego macierzystym lotniskiem jest MacArthur na Long Island. Zgodnie z dokumentami z ubiegłego tygodnia maszyna poleciała do Dublina. Na pokładzie było dwóch pasażerów, Marco Sollazo i Giovanni Mori.

— Doskonale! — mruknął Johnson. — Wreszcie coś mamy.

— Ale teraz rzecz najważniejsza. Ten sam gulfstream odleciał przed dziewięcioma godzinami. Na pokładzie było dwóch poprzednich pasażerów oraz dwójka obywateli irlandzkich, Daniel i Nancy Forbesowie.

— Cholera jasna! — wykrzyknął Johnson. — Muszę natychmiast skontaktować się z Fergusonem.

— Strata czasu — odparła lakonicznie Alice. — Już wszystko sprawdziłam. Dwie godziny temu samolot wylądował w Dublinie.

Johnson potrząsnął głową.

— Powiem ci coś, Alice. Sądzę, że pora na papierosa. A niezależnie od wszystkiego i tak połącz mnie z Fergusonem.

Brygadier trzymał przy uchu słuchawkę telefoniczną, a Dillon i Hannah cierpliwie czekali. Ferguson skinął głową.

— Dziękuję nadinspektorze — powiedział i przerwał połączenie. — Rozmawiałem z Costellem z wydziału specjalnego Gardy. Gulfstream wylądował, wysiadło z niego czterech pasażerów, maszynę ponownie zatankowano, po czym samolot odleciał.

— Czy coś więcej?

— Tak, mieliśmy odrobinę szczęścia. Oficer z ochrony lotniska, emerytowany sierżant detektyw z wydziału specjalnego widział ich, jak wychodzili głównym wyjściem z lotniska i wsiadali do wielkiego kombi. A zwrócił na nich uwagę z tego względu, że za kierownicą samochodu siedział Jack Barry, którego dobrze zna i rozpoznał.

— Zatem wiemy już, na czym stoimy — stwierdził Dillon. — Russowie związali się z tymczasową frakcją IRA. Ciekaw jestem, co sądzi o tym Michael Ryan?

— Podejrzewam, że niewiele go to obchodzi — wtrąciła Hannah Bernstein. — Z drugiej strony jest absolutnie pewne, że rodzina Russo wyrwała go z więzienia i teraz musi jej za to zapłacić.

— Jedna rzecz nie budzi wątpliwości — powiedział Dillon. — Nie ma sensu przetrząsać mieszkania Barry'ego ani robić innych tego typu głupot. Z całą pewnością ma jakiś inny, bezpieczny lokal.

Przez chwilę panowało milczenie, które przerwał dopiero śmiech Fergusona.

— Wiem już, kogo potrzebujemy. Największego eksperta od spraw IRA. Liama Devlina.

Otworzył szufladę biurka, wyciągnął z niej niewielki czarny notes i zaczął go kartkować.

— Liam Devlin? — zapytała Hannah Bernstein.

— Naukowiec, poeta, były profesor w Trinity College, zabójca, który dla IRA zabił zapewne więcej ludzi niż ja w całym swoim życiu — wyjaśnił Dillon. — Żywa legenda IRA.

— Devlin, stary byku, to ty? — zapytał przez telefon Ferguson.

W saloniku wiejskiego domu w Kilrea na przedmieściach Dublina Liam Devlin słuchał, co ma mu do powiedzenia Ferguson. Gdy brygadier skończył mówić, Devlin roześmiał się.

— Jezu, brygadierze, macie pewien kłopot.

— Devlin, musisz zrozumieć, że to bardzo ważne.

— Rozumiem. Chodzi o to, że wszyscy jesteśmy mocno zaangażowani w rokowania pokojowe. Podeslij do mnie Dillona i panią główną inspektor. Ale tym razem niech nie próbują mnie zabijać.

Ferguson odłożył słuchawkę.

— Spotka się z wami. I jeśli ktokolwiek jest nam w stanie pomóc, to tylko on. Nikt nie wie o IRA tyle co Devlin. Tak zatem zamawiajcie learjeta, pakujcie manatki i w drogę.

— Jak pan sobie życzy — powiedziała Hannah i ruszyła do drzwi. Za nią Sean.

— A, Dillon! — zawołał Ferguson.

— Słucham, brygadierze?

— Liam Devlin byłby bardzo zobowiązany, gdybyś tym razem nie próbował go zastrzelić.

Twarz Hannah wyrażała szok, lecz Dillon uśmiechnął się.

— Brygadierze, czy wyglądam na kogoś, kto robi takie brzydkie rzeczy? — zapytał.

12

Learjet wystartował z lotniska Gatwick i wzbił się na wysokość dziesięciu tysięcy metrów. Dillon usiadł obok Hannah Bernstein, tyle że w sąsiednim rzędzie.

— Devlin... Liam Devlin — odezwała się zamyślona Hannah. — Zawsze sądziłam, że ta historia z próbą porwania Winstona Churchilla to wyłącznie zgrabna bajeczka.

— Ale to prawda. Listopad tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Obcy, Liam. Urodził się w Ulsterze. W dwudziestym pierwszym, podczas wojny irlandzko-angielskiej, Anglicy rozstrzelali mu ojca. Pierwsze tytuły naukowe zdobył w Trinity College. W latach trzydziestych walczył po stronie IRA, później wyjechał na wojnę domową do Hiszpanii, gdzie walczył w Brygadach Międzynarodowych. Został jeńcem Włochów, którzy przekazali go Abwehrze — wywiadowi niemieckiemu. Hitlerowcy maglowali go na wszystkie sposoby, lecz cały problem polegał na tym, że Devlin był zdeklarowanym antyfaszystą.

— I co stało się dalej?

— Po nieudanej wyprawie spadochroniarskiej celem dołączenia do IRA w Irlandii udało mu się jakoś wrócić do Niemiec, gdzie zaczął wykładać literaturę angielską na uniwersytecie berlińskim.

— A co później?

— Och, misja specjalna. W oddziale uderzeniowym niemieckich spadochroniarzy, których zrzucono w Norfolk w listopadzie czterdziestego trzeciego roku. Celem operacji

było porwanie Winstona Churchilla, a Devlin miał pełnić funkcję swego rodzaju pośrednika i negocjatora.

— Przecież był antyfaszystą!

— I co z tego? Płacono mu dobrze, otrzymywał hojne fundusze dla IRA, a ponadto myślę, że gdyby ktoś ze strony sprzymierzonych poprosił go o porwanie Hitlera z Berchtesgaden, również próbowałyby to zrobić.

— Rozumiem.

— Wyznał mi kiedyś, że ma wielki, życiowy dylemat: „Czy to on rozgrywa grę, czy też gra steruje nim?” — Dillon uśmiechnął się pośępnie. — Doskonale go rozumiem.

— I ty próbowałeś go zabić?

— On mnie też.

— Podejrzewałam, że byliście przyjaciółmi.

— Zgadza się. Wiele się od niego nauczyłem. — Dillon wzruszył ramionami. — Miałem w życiu okres bardzo burzliwy, byłem najczystszej wody rewolucjonistą marksistowskim, który zabiłby nawet papieża, gdyby miało się to przysłużyć sprawie. Liam hołdował bardziej staroświeckim zasadom. Lubił spotykać się z przeciwnikiem twarzą w twarz jak prawdziwy żołnierz rewolucji. Kompletnie się ze sobą nie zgadzaliśmy. Oddaliśmy do siebie strzały i rozeszliśmy się, obaj mocno poszkodowani.

— Teraz tego żałujesz?

— O, tak. To najwspanialszy człowiek, jakiego w życiu spotkałem.

— Musi już być staruszkciem.

— Niedługo skończy osiemdziesiąt pięć lat.

— Dobry Boże — westchnęła z pewną dozą obojętności Hannah.

Barry od lat posiadał farmę nie opodal wioski Ballyburn, dwadzieścia pięć kilometrów na północ od Dublina. Ziemię dzierżawił miejscowemu rolnikowi, sympatykowi Sinn Fein, a po śmierci żony do tego domu przyjeżdżał tylko od czasu do czasu na weekend.

Gdy otworzył główne drzwi i wprowadził gości do środka, uderzyła w nich fala wilgoci. Kathleen Ryan zadrżała.

— Jezu, tutaj można skonać! — westchnęła.

— W kominku w salonie drwa są już przygotowane, a w kuchni wystarczy włączyć gaz. Niebawem będzie tu bardzo przytulnie. — Barry trzymał w ręku podróżną torbę, z którą przeszedł do kuchni o wyłożonej kamiennymi płytami podłodze i postawił bagaż na stole. — Świeży chleb, mleko, jajka i bekon. Dziewczyno, bierz się za gary.

— Sam się bierz za gary! — od warknęła Kathleen.

Barry uśmiechnął się.

— Kathleen Ryan, jak zwykle kąpana w gorącej wodzie. Proszę się rozgościć.

Podniósł klapę kuchenki i zapalił gaz. Michael Ryan stał oparty o ścianę, rękę trzymał w kieszeniach, ale pozostawał czujny.

— Jasne, najchętniej byś mnie zastrzelił, prawda, Michael?

— Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności.

Barry wybuchnął śmiechem i odwrócił się do dziewczyny.

— No cóż, mogłabyś przynajmniej zaparzyć herbatę.

Wyszedł do przedpokoju, gdzie Sollazo wieszał właśnie swój płaszcz. Mori w salonie rozpalał kominek. Było to bardzo miłe pomieszczenie. Na podłodze leżało kilka dywaników, pośrodku stał duży stół z sześcioma krzesłami, pod ścianą znajdowała się kanapa, po obu stronach paleniska ustawiono duże krzesła z poręczami, sufit podpierają drewniane belki, na parapecie kominka królowała figurka Matki Boskiej, a na ścianie wisiał jej obraz.

— Panie Barry, nie wiedziałem, że jest pan tak religijnym człowiekiem.

— To po mojej żonie, Panie świeć nad jej duszą. Codziennie rano chodziła na mszę. Przez te wszystkie dzikie lata, które pochłonęła mi walka, bardzo się o mnie niepokoiła, panie Sollazo. — Potrząsnął głową. — Nie miała ze mną łatwego życia.

— A gdzie nasi przyjaciele?

— W kuchni. Proszę się o nic nie martwić. Tylne drzwi są zamknięte na głucho, a kluczyki do kombi noszę przy sobie. — Podniósł głos. — No, gdzie jest ta herbata?

Kathleen odczekała, aż woda w czajniku zacznie wrzeć, po czym odezwała się cicho do stryja:

— Zażyłeś pastylkę?

— Tak.

— A więc niczym się nie przejmuj. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy, to żebyś teraz przewrócił się na plecy.

— W porządku, dziewczyno, po co ten hałas!

Kathleen przygotowała herbatę, a odkrywszy w jednej z szafek słoik z kawą, wsypała ją do dwóch kubków i zalała wrzątkiem. W tej właśnie chwili z pokoju dobiegło wołanie Barry'ego. Kathleen postawiła kubki na tacy i przeszła do salonu.

— Dla was kawa — odezwała się do Sollaza. — Niestety rozpuszczalna, ale innej nie było, więc musicie się nią zadowolić.

Mori upił łyk i skrzywił się.

— Okropna.

Barry roześmiał się.

— Synu, nie możesz mieć w życiu wszystkiego. Powinieneś spróbować herbaty. Istnieją dwie rzeczy, które Irlandczycy przygotowują bezbłędnie. Guinness i herbata.

— Zatem proszę — powiedziała Kathleen, nalewając parującego napój.

Barry sięgnął po naczynie i upił łyk.

— Cudowna. Ta herbata wraca mi życie. Wypijmy ją w spokoju, a później przejdziemy do interesów.

Kathleen, jej stryj i Sollazo, oparci łokciami o blat stołu, obserwowali Barry'ego, który rozkładał mapę w wielkiej sali przedstawiającej wschodnie wybrzeże Irlandii, zarówno samej republiki jak Ulsteru.

— Jesteśmy tutaj, w Ballyburn. Na górze znajduje się Dundalk w hrabstwie Down, a dalej Drumdonald i Scotstown. W tych okolicach właśnie wylądowaliście. Potrzebuję jedynie dokładnej pozycji wraku „Irish Rose”. — Popatrz na Ryana. — Michael, podaj współrzędne jeszcze raz.

Ryan bardzo niechętnie i z pobladłą twarzą podał namiary. Barry trzymał w dłoni linijkę i ołówek.

— Zatem rzecz pewna. Jak sami widzicie, na górze i dole mapy mamy stopnie. — Szybko wyrysował dwie przecinające się linie. — O, tu, wyliczyłem, że ten punkt znajduje się w odległości trzech mil od wyspy Rathlin. Michael, widziałeś o tym?

— Było ciemno.

— No cóż, spójrzmy na mapę admiralicji. Mam taką.

Kolejna mapa była w jeszcze większej skali i obejmowała wybrzeże Down, wyspę Man oraz północno-zachodnią Anglię. Barry dokładnie przyjrzał się mapie.

— Barka poszła na dno w tym miejscu. — Stuknął ołówkiem. — Leży na głębokości jakichś piętnastu, dwudziestu sążni.

— To znaczy mniej więcej dwadzieścia siedem do trzydziestu metrów — stwierdził Sollazo, kiwając głową. — Żaden problem.

Barry również skinął głową.

— Gdy wczoraj wieczorem dzwonił do mnie pański wuj z wiadomością, że już wystartowaliście, oświadczył, że wstępnego nurkowania w celu dokładnego ustalenia pozycji wraku może dokonać pan. Twierdził, że jest pan bardzo doświadczonym nurkiem i umie posługiwać się akwalungiem.

— Od lat nurkuje na Karaibach, głównie w okolicach Virgins w St. Lucia. — Sollazo wzruszył ramionami. — Pływam z Morim. Nurkowanie tutaj nie sprawi nam najmniejszych trudności.

— Pański wuj prosił też, abym zorganizował sprzęt. Znam odpowiedniego człowieka. Można powiedzieć, że sympatyzuje z naszą sprawą. Ma sklep w centrum handlowym na przedmieściach Dublina. Sądzę, że po południu powinniśmy się tam wybrać.

— Doskonale. A Mori w tym czasie będzie dopieszczał naszych przyjaciół. Ale musi mieć broń. Jest pan ją w stanie zorganizować?

— Jeśli dobrze poszukać, znajdzie się cały arsenał. Dopilnuję tego.

— Pieprz się — warknęła Kathleen i szybko opuściła salon.

Kilrea Cottage znajdował się obok klasztoru na przedmieściach osady. Domek otaczał przepyszny ogród pełen kwiatów i krzewów wszelkiego rodzaju. Budynek pochodził z czasów wiktoriańskich, miał spadziste dachy, a w oknach oprawione w ołów witrażowe szyby. Dillon pociągnął za dzwonek, którego dźwięk rozniósł się pogodnym echem. W chwilę później otworzyły się drzwi i w progu stanął Liam Devlin.

— A więc jesteś, młody skurczybyku — przywitał po irlandzku Dillona.

— Jak zawsze do usług — odparł również po irlandzku Dillon.

Devlin odwrócił się do Hannah.

— A pani jest prawą ręką tego starego łobuza Fergusona, słynną główną inspektor Hannah Bernstein. — Obrzucił ją pełnym uznania wzrokiem. — Dillon, skubaniec, zawsze miał w przeszłości szczęście i dopisuje mu do dzisiaj. Tak czy owak *cead mile fal te*, co po irlandzku znaczy tysiąckrotne zaproszenie. Wchodźcie.

Hannah była kompletnie zdumiona i oszołomiona. Spodziewała się ujrzeć osiemdziesięcioletniego starca, a spotkała pełnego energii mężczyznę o nie do końca posiwiałych włosach, w czarnej jedwabnej koszuli i najmodniejszych spodniach od Armaniego. Miał najbardziej niebieskie oczy, jakie widziała, a usta wykrzywił mu ten sam co u Dillona ironiczny grymas. Zupełnie jakby drwił sobie ze świata, który jest zbyt absurdalny, żeby traktować go serio.

Salon był uroczy i bardzo wiktoriański, od płonącego na kominku ognia poczynając, przez meble z mahoni, na malowidłach Atkinsona Grimshawa kończąc. Kiedy Devlin przygotowywał w kuchni herbatę, Hannah z uwagą studiowała obrazy.

— Wielki Boże, czy to naprawdę oryginały?

— Tak, kilka lat temu bardzo hojnie w nie inwestowałem. Starego Grimshawa zawsze darzyłem wielkim uczuciem. Uwielbiam jego nocne sceny. Whistler stwierdził przy jakiejś okazji, że to nieprawda, iż jest mistrzem nokturnów. Wszystko, co umiał, nauczył się właśnie od Grimshawa.

Ponalewał do kubków herbatę, a Hannah powiedziała:
— Mój dziadek ma jeden z jego obrazów. „*Thames Embankment at Night*”.

— O, to człowiek o dobrym smaku. Kim jest?

— Rabinem.

Devlin wybuchnął gromkim śmiechem.

— Jezu, dziewczyno, twój dziadek musi być najbardziej zdumiewającym człowiekiem.

Hannah po prostu zatkało. Miała przed sobą cudownego, najcudowniejszego mężczyznę na świecie. Jednego z najbardziej niecodziennych ludzi, jakich spotkała w życiu.

Devlin zajął miejsce na krześle obok kominka.

— A więc pracujesz teraz dla Angoli, Sean?

— Tak, i dobrze o tym wiesz.

— Czy to panu przeszkadza, panie Devlin? — zapytała Hannah.

— Mów mi po imieniu, Liam, dziewczyno miła. Nic a nic mi to nie przeszkadza. Nie jestem hipokrytą. Sam kiedyś pracowałem dla Fergusona.

— Nic mi o tym nie wspominał — odrzekła Hannah, marszcząc brwi.

— Cóż, po co miałyby o tym mówić. Pewnego razu pragnął wydobyć z francuskiego więzienia na Belle Island amerykańskiego Irlandczyka, Martina Brosnana. A ponieważ byłem przyjacielem Brosnana, nie mogłem mu odmówić współpracy. — Popatrzył na Dillona. — Nie żywił on do ciebie najcieplejszych uczuć, Sean. Powiedział mi kiedyś, iż sądził, że załatwili cię na dobre po tym, jak podczas wojny w Zatoce Perskiej próbowałeś wysadzić w powietrze Brytyjski Gabinet Wojny.

— Cóż, miałem wtedy na sobie kamizelkę nylonowo-tytanową, która zatrzymała pociski — wyjaśnił Dillon.

Devlin wybuchnął śmiechem.

— Ten człowiek żyje dziewięć razy i to ja go wszystkiego nauczyłem. — Potrząsnął głową i dodał ostro: — Wiesz, Sean, stanowisz moją mroczną połowę.

— A ty, Liam, moją słoneczną.

Devlin przez mgnienie oka spoglądał na niego ze zmarszczonym czołem, po czym głośno się roześmiał.

— Zawsze byłeś dobry w potyczkach słownych. — Znów potrząsnął głową. — Ale przejdźmy do sprawy.

Wymienili wszystkie dostępne informacje, a Dillon ponownie drobiazgowo zrelacjonował historię napadu i rejsu „Irish Rose” do Down. Kiedy skończył, Devlin zapalił papierosa i głęboko się zamyślił.

— W porządku. Przede wszystkim nie chcemy, żeby wpłatała się w to Garda. Z całą pewnością przymknęliby Ryana i zaczęli, aż Amerykanie wystąpią z wnioskiem o ekstradycję. Wsadziliby za kratki również Kathleen, Sollaza i jego umiejętnego koleś. To już tylko dla zasady. Lecz tak naprawdę chodziłoby im o coś całkiem innego. Chodziłoby o to, żeby po znalezieniu „Irish Rose” złoto nie trafiło w niepowołane ręce.

— Co więc mamy robić? — zapytała Hannah. — Jeśli Barry i tymczasowa frakcja IRA są zamieszani w tę sprawę...

— Nie sądzę — przerwał jej Devlin. — Gerry Adams, Martin McGuinness i Sinn Fein przykładają ogromną wagę do rokowań pokojowych. Na pewno będą wielkie problemy z wyperswadowaniem provosom złożenia broni, ale w tej chwili nikomu nie zależy na piętrzeniu kłopotów. A sytuacja polityczna jest bardzo delikatna. — Potrząsnął głową. — Nie, mogę założyć się o piątaka, że Rada Wojskowa Tymczasowej IRA nic nie wie o całej aferze.

— Uważasz, że Barry robi to wszystko, żeby zarobić na boku? — zainteresowała się Hannah.

— O, nie. Jack to prawdziwy patriota. Moim zdaniem rozgrywa tę grę potajemnie, bo dobrze zdaje sobie sprawę z tego, że w obecnej sytuacji politycznej rada wojskowa nie zechce ani sobie, ani nikomu przysparzać kłopotów.

— Co zatem radzisz, Liam? — zapytał Dillon.

— Zamierzam spotkać się z aktualnym szefem sztabu i uciąć sobie z nim serdeczną pogawędkę. Znam w Dublinie pub, do którego codziennie chodzi na lunch.

— Ale czy zechce z tobą rozmawiać? — zapytała Hannah.

Devlin znów głośno się roześmiał.

— Dziewczyno miła, ze mną oni wszyscy chcą rozmawiać. Stanowią żywą legendę i jest to okoliczność bardzo użyteczna. Ciebie i jegomościa, z którym tu przyjechałaś, to jednak nie dotyczy. — Odwrócił się do Dillona. — Nastały czasy pokoju, ale istnieją tacy, którzy traktują cię jako zaprzańca pracującego dla Angoli. Dla nich największym marzeniem jest to, żeby wsadzić w ciebie kilka kul.

— To prawda.

— Zabierz panią główną inspektor do Casey'a we wsi. To naprawdę pub w najlepszym angielskim wydaniu. — Przesłał Hannah uśmiech. — Spotkamy się później.

Pub znajdował się na jednym z nabrzeży Liffey, nosił nazwę „Irish Husar” i tłumnie odwiedzali go irlandzcy republikanie. Gdy tuż po południu wszedł do niego Liam Devlin, lokal był już w połowie wypełniony gośćmi. Colum O'Brien, szef Tymczasowej IRA, siedział w łoży w samym końcu sali, pod brodą miał serwetkę, w dłoni trzymał pintowy kufel guinnessa, a przed nim na stole stał smakowicie wyglądający posiłek.

— Wstydziłbyś się, Colum, zamawiać *ragout lancashirski*. To przecież danie angielskie.

O'Brien popatrzył na niego i uśmiechnął się z niekłamana radością.

— Liam, stary łobuzie! Co tu porabiasz?

— Och, przyjechałem do miasta w interesach, a człowiek od czasu do czasu musi się czymś skrzepić. — Zbliżyła się do nich młoda kelnerka i Devlin powiedział: — Poproszę o to samo co ten pan.

— I dużą whiskey Bushmillsa — dodał O'Brien. — Z tym tylko, że Liam Devlin pija najlepsze roczniki.

Młoda kobieta była do głębi poruszona.

— Pan jest Liamem Devlinem? Słyszałam o panu, gdy byłam jeszcze dzieckiem. Myślałam, że pan już dawno nie żyje.

— No proszę, to wyjaśnia wszystko — odparł ze śmiechem Devlin. — Tak czy owak, przynieś mi, dziecko, bushmillsa.

Devlin poruszył kwestie polityczne dopiero wtedy, gdy skończyli jeść i delektowali się zamówioną przez O'Briena herbata.

— W jakim punkcie znajdują się rokowania pokojowe? — zapytał.

— W martwym — wyjaśnił O'Brien. — A to przez ten przeklęty rząd brytyjski, który domaga się, żebyśmy złożyli broń. Tego warunku nie możemy przyjąć. Co za dużo to niezdrowo. Czy twoim zdaniem, Liam, strona przeciwna nie jest również uzbrojona po zęby?

— Podejrzewam, że regularnie spotykasz się z Gerrym Adamsem i McGuinnessem. Jakże zatem jest najodpowiedniejsze słowo?

— Nadzieja, Liam, nadzieja. Każdy, kto sądzi, że Gerry lub Martin nie pragną pokoju, jest głupcem. Oni pragną pokoju, ale pokoju honorowego.

— A co na to lojaliści?

— Z nimi jest trudno. Uważają, nie bez racji, że rząd brytyjski ich sprzedał lub sprzeda, ale muszą pogodzić się z faktem, iż nadejdzie dzień, kiedy i oni zostaną zmuszeni do tego, by znaleźć swe miejsca w zjednoczonej Irlandii. Wtedy tu się wszystko zmieni.

— Dla katolików również — mruknął Devlin. — A swoją drogą, co ze starą gwardią? Co obecnie porabia Jack Barry?

— Od czasu jak przeszedł na emeryturę, a rozmowy pokojowe zmieniły całą sytuację, niewiele. Widuję go czasami, ale niezbyt często. Wiesz, że umarła mu żona?

— Tak, słyszałem. Panie święć nad jej duszą. Czy Jack w dalszym ciągu mieszka na Abbey Road po drugiej stronie parku?

— Z tego co wiem, tak, ale nie wiem nic o tym, co porabia.

— Tak samo jak ja strzyże trawę przed domem. — Devlin wstał. — Cóż, cieszę się z naszej pogawędki, Colum. Mówiliśmy zawsze, że nasz dzień nadejdzie. Nie traćmy zatem nadziei.

Od czasu ostatniej wizyty Liama Devlina w domu Jacka Barry'ego na Abbey Road upłynęły lata. A jednak gdy wjechał na tę ulicę i zatrzymał samochód, wspomnienia wróciły w jednej chwili. Dom odnalazł bez trudu. Uderzył w drzwi kołatką i czekał. Nie zamierzał wcale wypytywać Barry'ego o „Irish Rose”. Zamierzał odegrać rolę starego znajomego, który przypadkowo znalazł się w pobliżu. Przeszedł do niewielkiego ogródka na tyłach domu, żeby zajrzeć przez kuchenne okno.

— Mogę panu w czymś pomóc? — usłyszał czyjś głos.

Odwrócił się i na podwórku sąsiedniej posesji spostrzegł młodą kobietę zdejmującą ze sznura bieliznę.

Devlin przesłał jej szeroki, serdeczny uśmiech.

— Szukam Jacka Barry'ego.

— Widziałam go, jak wcześniej rano wsiadał do ogromnego samochodu kombi, który zazwyczaj trzyma na ulicy przed domem. Zapewne gdzieś pojechał i może być wszędzie. Ma pan do niego jakąś ważną sprawę?

— Nie. Jestem jego starym znajomym, który akurat znalazł się w tych okolicach, to wszystko. Nie wie pani, gdzie może być?

— Większość czasu spędza w domu. To uroczy człowiek. Pracował jako nauczyciel w szkole, później zmarła mu żona. Weekendy spędzali zazwyczaj za miastem. Mieli jakiś domek letniskowy.

— A może wie pani gdzie?

— Obawiam się, że nie.

— No cóż, gdy wróci, proszę mu przekazać, że był tu Charlie Black — skłamał Devlin z czarującym uśmiechem i ruszył w stronę samochodu.

Odjeżdżając, uśmiechnął się pod nosem na myśl, co ta kobieta powiedziałyby na to, że ów uroczy człowiek był w swoim czasie szefem sztabu Tymczasowej IRA.

Magazyn w domu handlowym na przedmieściach Dublina nosił nazwę „Seahorse Supplies”, a jego właścicielem był Tony Bradley, łysiejący mężczyzna w średnim wieku i z wielkim brzuchem piwosza. W młodości aktywnie

działał w IRA, lecz pięć lat spędzone w więzieniu Portlaoise znajdującym się dwadzieścia pięć kilometrów od Dublina skutecznie ostudziło jego zapał. Niemniej pozostał gorącym zwolennikiem sprawy republikańskiej. Po powrocie z podwodnych pól naftowych na Morzu Północnym, gdzie pracował jako nurek, przekazał na cele IRA sporą sumę pieniędzy oraz założył „Seahorse”.

Magazyn był wypełniony najprzeróżniejszego rodzaju sprzętem do nurkowania, a Bradley stał przy stole i przeglądał listę zamówień.

— Jack, tak się cieszę, że cię widzę — powiedziała. — Poza tym to wielki dla mnie zaszczyt.

— Ostatni raz widzieliśmy się w pubie w Ballyburn, kiedy spędzałem weekend na farmie — odrzekł Barry.

— To miło z twojej strony, że będąc w pobliżu wstąpiłeś do mnie. Czym mogę ci służyć?

— Mój znajomy, pan Sollazo, potrzebuje sprzętu do nurkowania. Ekwipunek sprzedajesz i wypożyczasz, prawda?

— Naturalnie — odrzekł Bradley i zwrócił się do Sollaza. — Proszę mi tylko powiedzieć, czego pan potrzebuje.

— Wszystkiego po dwie sztuki — wyjaśnił Sollazo. — Masek, skafandrów, jednego w średnim rozmiarze i jednego w dużym, kapturów, rękawic, płetw, pasów z sześciokilogramowym obciążeniem, reduktorów do butli, kapoków oraz czterech butli z tlenem. Aha, i dwóch komputerów Orca. — Odwrócił się do Barry'ego. — To mówi nurkowi, na jakiej głębokości, jak długo przebywa pod wodą i kiedy powinien wracać na powierzchnię.

— Wspaniale — odezwał się Bradley. — Posłuchaj, Jack, otworzę bramę towarową do magazynu, a ty wprowadź do środka kombi. Załadujemy wszystko tutaj.

Odszedł wołając swego pomocnika. Barry zostawił Sollaza w magazynie, a sam mszył po samochód.

Stał i obserwował, jak Sollazo dokładnie sprawdza każdy element sprzętu.

— Widzę, że przykłada pan wagę do najdrobniejszych szczegółów — zauważył Barry.

Sollazo wzruszył ramionami.

— Zawsze wszystko dokładnie sprawdzam, choć dokonałem już w życiu dwustu pięćdziesięciu nurkowań. Nawet pan sobie nie wyobraża, ilu ludzi rocznie ginie w akwalungu pod wodą, przeważnie przez własną głupotę lub drobne niedopatrzenie. — Uśmiechnął się. — Rozumie pan, panie Barry, kiedy już tam dotrzemy, chcę mieć stuprocentową pewność.

Bradley i jego pomocnik skończyli znosić sprzęt.

— Coś jeszcze? — zapytał Bradley.

— Podwodne reflektory — odparł Sollazo.

— Żaden problem. Mam wszystko — odparł z dumą właściciel magazynu, podszedł do półki i zdjął z niej dwa kartonowe pudła. — Takich lamp halogenowych używa Królewska Marynarka Wojenna. Mają doskonałe baterie i doładowywacze. — Włożył pudełka do kombi i stanął z rękami wspartymi na biodrach. Zmarszczył brwi. — O czymś zapomnieliśmy — stwierdził z uśmiechem. — Już wiem o czym.

Zniknął w głębi magazynu i po chwili przyniósł dwa noże w pochwach z taśmami do przypięcia ich do nogi nurka.

— Jeszcze jedno — odezwał się Barry. — Miałeś kiedyś urządzenie zwane master navigator.

— I wciąż mam — pochwalił się Bradley. — Ale już znacznie nowocześniejsze.

— Moglibyśmy je obejrzeć? — wtrącił Sollazo.

— Oczywiście. — Bradley znów pomknął w głąb magazynu i po kilku chwilach pojawił się z czarnym pudełkiem w ręku. Otworzył je i wyjął master navigatora. — Proszę, oto on.

Sollazo uważnie obejrzał przyrząd, popatrzył na szereg przycisków i ekran, po czym spojrział pytająco na Barry'ego.

— Co się stanie, jeśli wprowadzę, na przykład, dane położenia wraka na dnie morza? — zapytał Irlandczyk.

— To, co się stanie, stanowi właśnie triumf współczesnej technologii — wyjaśnił Bradley. — Do urządzenia dołączona jest instrukcja. Bardzo prosta.

— Nie ma takiej potrzeby — odrzekł Sollazo. — Podam wyliczenia, a pan je wprowadzi i zobaczymy, co będzie.

Wyciągnął z kieszeni notes i podyktował współrzędne pozycji „Irish Rose”. Bradley wprowadził wyliczenia do komputerka. Na ekranie pojawiły się cyfry.

— Proszę, niech pan sam sprawdzi, czy wszystko w porządku.

Sollazo zerknął na ekranik.

— Idealnie — stwierdził.

— Dobrze — powiedział właściciel magazynu i nacisnął niebieski guzik. — Wprowadziłem dane do pamięci. Może je pan uaktywnić, naciskając klawisz czerwony. Rozlegnie się powolne, monotonne popiskiwanie. Gdy zbliżycie się do właściwego miejsca, urządzenie zacznie pikać głośno i szybko. Komputer wyłącza się po ponownym wciśnięciu niebieskiego klawisza.

— No tak, to by było wszystko — powiedział z zadowoleniem Barry. — Tony, przyślij mi rachunek na Abbey Road, a ja natychmiast wystawię ci czek.

— Nie ma pośpiechu, Jack. Zapłacisz przy zwrocie sprzętu.

Bradley odsunął się z drogi, a kiedy Barry i Sollazo mijali go autem, pomachał ręką na pożegnanie.

— Doskonale — stwierdził Sollazo. — Jak dotąd nie powiedziałaś jeszcze nic o łodzi ratowniczej.

— Tym się nie martw. Mówiłem ci, że Ryan, jego bratanica i Sean Dillon wylądowali w okolicach Drumdonald i Scotstown na wybrzeżu Down. Scotstown to mała osada rybacka. Znajduje się tam pub zwany „The Loyalist”, ale jest całkiem czymś innym, niż mogłaby sugerować nazwa. Jego właściciel, Kevin Stringer, jest jednym z naszych ludzi. To właśnie u niego Dillon znalazł schronienie po zatonięciu „Irish Rose”. Porozumiałem się już z Kevinem, a on twierdzi, że znalazł odpowiednią łódź. Sądzę, że powinniśmy jutro wybrać się tam we dwójkę. Możemy zabrać ze sobą ekwipunek. Jeśli łódź okaże się rzeczywiście dobra, Kevin umieści na niej sprzęt, a my później wrócimy. Zabiorę ze sobą trochę semtexu i zapalniki z przekaźnikiem

czasowym na wypadek, gdybyśmy musieli siłą wdzierać się na barcę.

— A później?

— Wrócimy do Scotstown następnego dnia, ale już w komplecie, z Ryanem i dziewczyną. Popłyniemy do wyspy Rathlin i poszukamy tej przeklętej barki.

— Sądzisz, że to nam się uda?

— Jeśli już muszę ruszać się z domu, to zawsze z nadzieją — odparł Jack Barry.

Do Kilrea Cottage Devlin wrócił późnym popołudniem. Gdy wkroczył do salonu, Dillon siedział z zamkniętymi oczyma przy płonącym w kominku ogniu, a Hannah czytała książkę.

Na widok zmęczenia malującego się na twarzy gospodarza zerwała się na równe nogi.

— Pozwolisz, że przygotuję ci filiżankę herbaty.

— O niczym innym nie marzę.

Opadł na krzesło, na którym przed chwilą siedziała Hannah, a Dillon otworzył oczy i dźwignął się sprzed ognia.

— Udało się? — zapytał.

— Cóż, widziałem się z Columem O'Brienem, obecnym szefem sztabu. Jego zdaniem Jack Barry raczej w nic nie jest wplątany. A jeśli chodzi o resztę, zadałem kilka dyskretnych pytań. Jutro będę musiał niektóre rzeczy jeszcze raz sprawdzić.

— I to wszystko?

— Jak na razie, tak.

Kiedy w pokoju pojawiła się Hannah z parującą filiżanką, Devlin wyprostował się na krześle.

— Dziewczyno, jesteś jednym z cudów świata — oświadczył. — Wypiję herbatę, wezmę kąpiel, a potem zapraszam was na kolację.

Sollazo i Barry wrócili na farmę. Zastali w salonie Moriego pochłoniętego lekturą. Giovanni podniósł głowę.

— To kapitalne dziełko — powiedział. — Czytam

właśnie „Historię irlandzkich świętych”. Obok tych chłopców mafia to przedszkole.

— A gdzie tamci? — zapytał z niepokojem Sollazo.

— W kuchni. Ona coś pichci. Jak głupek stałem w ogrodzie w strugach deszczu, kiedy jej stryj wykopywał motyką kartofle i marchew. Później dziewczyna wzięła ze szklarni ogórki, sałatę i pomidory. Ta mała dziwka może okazać się całkiem przydatna.

— O ile wiem, zabiła trzech mężczyzn — burknął Barry.

— Dokładnie — potwierdził Sollazo i wszedł do kuchni.

Roznosił się tam apetyczny zapach. Kathleen stała przy kuchence i mieszała coś w garnkach, a Ryan przygotowywał przy stole sałatkę.

— Masz wiele talentów — oświadczył Sollazo.

— Lepiej ani na chwilę o tym nie zapominaj — odcięła się Kathleen.

Ferguson siedział za biurkiem ze słuchawką telefoniczną przy uchu.

— Rozmawiałem z Dillonem. Nasz kontakt, Devlin, zaczął już szperać, ale jak dotąd bez rezultatów.

— Za wcześnie na jakiegokolwiek nadzieje czy rezultaty — odparł rozparty w swym biurze w suterrenach Białego Domu Blake. — Ale jak pan wie, sprawą żywo interesuje się sam prezydent. Proszę informować mnie o wszystkim na bieżąco, brygadierze.

— Oczywiście.

Ferguson odłożył słuchawkę i rozsiadł się na krześle.

— No, Dillon — mruknął cicho pod nosem. — Muszę mieć wyniki.

Devlin, jako honorowy gość w miejscowym pubie, dostał najlepszą łóżę w rogu lokalu. Oświadczył, że to on złoży zamówienie, więc Dillon i Hannah obserwowali tylko, jak na stół wjeżdża zupa z ziemniaków i soczewicy, a po niej irlandzka szynka w białym sosie z ziemniakami i gotowaną kapustą.

— Proszę mi wybaczyć, panie Devlin, ale jestem Żydówką. Szynka wykluczona.

Devlin natychmiast wyraził skruchę.

— Czy w takim razie może być zwędzony łosoś? — zapytał.

— Z łososiem sobie poradzę.

— Ponieważ jesteś oficerem policji na służbie, muszę zaznaczyć, że nacisk położyłem na słówko „zwędzony”.

— Wielki Boże!

Devlin zwrócił się z kolei do Dillona.

— Jeśli chodzi o ciebie, chłopcze, to wybij sobie z głowy pomysły z krugiem. Mają tu tylko miejscowy szampan po dwanaście funciaków za flaszkę.

— Irlandzki szampan? — zapytała Hannah.

— Cóż, na etykiecie napis jest po francusku.

Dillon obronnym gestem wzniosł ręce.

— Zamawiaj, poddam się.

Kolacja okazała się znakomita, szampan prawie doskonały, a tak interesującej rozmowy Hannah Bernstein nie prowadziła od lat.

— Zatem twój dziadek jest rabinem, ojciec profesorem chirurgii, a ty skończyłaś uniwersytet w Cambridge? — odezwał się Devlin. — Już taki ciężar ciężko dźwigać na barkach, ty na dodatek wybrałaś jeszcze profesję gliny. Skąd ci przyszedł taki pomysł do głowy?

— Chciałam robić coś, co jest warte zachodu. Pieniądze interesowały mnie dużo mniej. Mam ich pod dostatkiem.

— Boże, w niebieskim mundurze musisz wyglądać prześlicznie!

— Proszę, tylko bez seksizmu, panie Devlin.

— Na imię mam Liam i nie chcę ci już tego więcej powtarzać. Ale taka urocza Żydówka... Chodzi mi o to, czy twój tata nie wolałby, żebyś wyszła za męża i miała dużo dzieci?

— Ta urocza Żydówka zastrzeliła Norah Bell — odezwał się Dillon.

Devlin przestał się uśmiechać.

— Jezu, ona była grubą rybą wśród protestantów.

— A ja zabiłem jej narzeczonego, Aherna — dodał

Dillon. — Przyjechali do Londynu wykończyć amerykańskiego prezydenta.

Hannah wyraźnie zeszywniała i Devlin nakrył dłonią jej rękę.

— To nie twoja wina, dziewczyno. To wina świata, w którym przyszło nam żyć. A teraz jeszcze po szklaneczce whiskey Bushmills na dobry sen i do domu.

Wydał barmanowi polecenie, odwrócił się z uśmiechem i nagle zmarszczył brwi.

— Przyszła mi do głowy pewna myśl — powiedział.

— Jaka? — zainteresował się Dillon.

— Muszą wyruszyć na poszukiwania miejsca, w którym spoczywa wrak „Irish Rose”, prawda?

— No, tak. Gdzieś niedaleko wybrzeży Down. Wylądowaliśmy w okolicach Drumdonald i Scotstown.

— Nie, myślę o czymś innym. Myślę o tym, że wyruszą na poszukiwania, co oznacza wyczarterowanie łodzi, a ponadto, czyż nie będą potrzebować sprzętu do nurkowania?

— Naturalnie — zgodził się Dillon, kiwając głową.

— Jak mi powiedziano, w dawnych czasach byłeś specjalistą od nurkowania.

— Pewne zasługi na tym polu mam. Ale o co ci dokładnie chodzi?

— No cóż, skądś muszą wykombinować ekwipunek. W Dublinie nie ma wielu firm trudniących się sprzedażą i wynajmowaniem sprzętu.

— Nie, z całą pewnością nie — zgodził się Dillon.

— Więc co powiesz na to, że na przedmieściach jest pewna firma, która nazywa się „Seahorse Supplies”, a jej właściciel to dawny człowiek IRA, Tony Bradley? Służył pod rozkazami Jacka Barry'ego, później odsiedział pięć lat w więzieniu Portlaoise. Tak zatem, gdybyś był Jackiem Barrym i potrzebował sprzętu do nurkowania, dokąd byś się udał?

— Do „Seahorse Supplies” — wyręczyła Dillona w odpowiedzi Hannah Bernstein.

Devlin uśmiechnął się i wznosił szklanką toast.

— Mądra główka. I tam właśnie udamy się jutro z samego rana. Cierpliwemu wszystko samo wpada w ręce.

13

Następnego dnia o wpół do dziewiątej rano Tony Bradley zaparkował swego land rovera przed magazynem „Seahorse Supplies”. Pracownicy wprawdzie zjawiali się dopiero o dziewiątej, ale Tony lubił przychodzić do pracy wcześniej. Na parkingu stało już sporo innych samochodów należących do właścicieli okolicznych firm. Bradley minął plac i przystanął, żeby wyciągnąć z kieszeni klucze. W wielkiej rozsuwanej bramie mieściły się drzwi, przez które można było łatwiej dostać się do środka. Gdy przekręcił w zamku klucz, zza pleców dobiegł go odgłos czyichś kroków.

— Równy z ciebie chłop, Tony.

Bradley odwrócił się i ujrzał trzy osoby. Ale pierwszego rozpoznał Devlina.

— Wielki Boże, Liam Devlin.

— I inny stary znajomy. Z całą pewnością nie zapomniałeś Seana Dillona.

Bradleya ogarnął taki lęk, że poczuł skurcz żołądka. Wiedział, że sprawa nie przedstawia się zbyt różowo.

— Sean, kopę lat. — Zerknął nerwowo na Hannah. — A kim jest ta pani?

— Jest po prostu z nami i tyle — odrzekł Dillon. Popchnął go w stronę drzwi. — A teraz wpuść nas.

Bradleya ogarniał coraz większy strach.

— O co chodzi? Nic nie zrobiłem.

— Siadaj — warknął Dillon i popchnął go z kolei na kartonowe pudło.

— Jedno, dwa pytania, a potem już nas tu nie ma — wyjaśnił Devlin. — Był u ciebie Jack Barry.

Celowo powiedział to pewnym siebie tonem, co odniosło natychmiastowy skutek.

— Zgadza się — odrzekł skwapliwie Bradley. — Wczoraj po południu.

— Żeby kupić sprzęt do nurkowania?

— Tak. Towarzyszył mu Amerykanin, pan Sollazo, specjalista od nurkowania. Wynajęli całą masę ekwipunku. Pomyślałem sobie, że ma to związek z organizacją Jacka.

— Obawiam się, że nie — odparł Devlin. — Jack ostatnio stał się trochę nieposłuszny. Niegrzeczny. Colum O'Brien i rada wojskowa nie będą z niego zadowoleni.

— Mój Boże! — wykrzyknął Bradley. — Nie wiedziałem o tym.

— Jesteś, bracie, w poważnych opałach. Tak więc lepiej się popraw. Colum O'Brien nic jeszcze nie wie o twoim udziale w sprawie, więc może będę w stanie ci pomóc.

— Zrobię wszystko — jęknął Bradley.

Devlin odwrócił się do Dillona.

— Znasz się na nurkowaniu, prawda?

Dillon zapalił papierosa i popatrzył na Bradleya.

— Powiedz nam, co wzięli.

Bradley szybko wymienił wypożyczony sprzęt.

— To chyba wszystko... — urwał i dodał szybko: — Nie, nie, zapomniałem jeszcze o master navigatorze. Dałem im najnowszy model.

— Powiedziałeś, jak się go używa? — zapytał Dillon.

— Więcej. Amerykanin podał mi pewne dane, a ja wprowadziłem je do pamięci komputera. To urządzenia samosterujące. Prowadzą cię prościutko do celu.

— Jakie ci podał współrzędne? — wtrąciła Hannah.

— A bo to pamiętam! Szereg cholernych cyfr. — Wyrażnie się denerwował i był szczerze zmartwiony. — Powiedziałem wam wszystko, co wiem.

— Z wyjątkiem tego, dokąd pojechali po wyjściu od ciebie — zauważył Devlin.

— Barry mieszka na Abbey Road. Wszyscy to wiedzą.

— Tylko że jego tam nie ma — odparł łagodnie Devlin. — Może ty nam powiesz, gdzie obecnie przebywa?

— A skąd to niby mam wiedzieć! — wybuchnął Bradley. Dillon wyciągnął walthera z tłumikiem Carswella.

— Zastanawiam się, czy pocisk w lewej rzepce kolanowej nie poprawi ci pamięci.

— Na Boga, Sean! — przeraził się nie na żarty Bradley i w jednej chwili wszystko sobie przypomniał. — Chwileczkę, poczekajcie. Ostatni raz spotkałem Jacka Barry'ego w pubie w Ballyburn. Wracałem z Dundalk i zatrzymałem się w tej wiosce, żeby coś przekąsić. Jack siedział w rogu baru.

— I co się wydarzyło?

— Ucieliśmy sobie pogawędkę, a on powiedział, że niedaleko wioski ma starą farmę. Zamierzał wrócić do niej piechotą, ale ja go podwoziłem. To stary i bardzo zniszczony dom. Barry mówił, że od czasu śmierci żony rzadko w nim bywa. — Właściciel magazynu rozpaczliwie szukał w pamięci dalszych szczegółów. — Na bramie, przed którą go wysadziłem, wisiała tablica z napisem „Farma Wiktorii”. Utkwiło mi to w pamięci, ponieważ Barry żartował, iż to imię z rodziny królewskiej Angoli.

Na twarzy Bradleya perliły się grube krople potu.

— No i co, nie było to wcale takie trudne, prawda? — odezwał się Devlin.

— Prawda, cała prawda i tylko prawda — wtrącił cicho Dillon. — Lepiej dla ciebie, mój miły kolego Tony, żeby tak właśnie było, bo w przeciwnym razie wrócę i zaopiekuję się twoją lewą rzepką.

Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi w bramie. Idąca obok niego Hannah szepnęła:

— Kawał skurwysyna z ciebie, Dillon.

— Wiem, ale to skutkuje, dziewczyno miła, i tylko to się liczy.

Devlin uśmiechnął się i objął ramieniem Bradleya.

— Głowa do góry, Tony. Do tego raczej nie dojdzie. Lecz jeśli w dalszym ciągu będziesz trzymał stronę Barry'ego lub klepał o naszej wizycie, za nic nie ręczę. Obawiam się, że Dillon rzeczywiście może wpaść w złość, a sam wiesz najlepiej, co to znaczy.

— Przysięgam, nie puszczę pary z ust.

— Zatem bywaj — powiedział Devlin i wymaszerował energicznym krokiem z magazynu.

Dillon i Hannah czekali obok jego srebrzystego sedana toyoty.

— Gra się zaczęła, jak mawiał Sherlock. Tak zatem do Ballyburn. Ale za kierownicą siądziesz ty. Ja już jestem za stary na takie imprezy.

Dillon wsunął się do samochodu, a Devlin otworzył przed Hannah tylne drzwi.

— Nie wyglądasz na zachwyconą. Nie podobało ci się jego zachowanie w magazynie.

— Nigdy nie przepadałam za jego metodami.

— No cóż, ten nasz Sean zawsze był twardzielem.

Obszedł samochód i zajął miejsce obok Hannah.

Obecni na farmie Wiktorii śniadanie zjedli wspólnie w kuchni. Kathleen pozbierała naczynia ze stołu, w czym, o dziwo, pomagał jej Mori, podczas gdy Ryan, Barry i Sollazo przeszli do salonu. Dziewczyna była przekonana, że Mori też podaży ich śladem, ale on nalał do zlewu gorącej wody i zaczął wkładać do niej brudne talerze.

— Pozwól, że trochę się pomoczą. Będziemy mieli mniej roboty.

— A skąd ty o tym wiesz, wielki niezdaro? — zapytała. Mori roześmiał się.

— Mój ojciec miał restaurację w Palermo. Jako dziecko nieustannie pracowałem w kuchni. Później zostałem kelnerem.

— A na końcu wzięłeś się za spluwę.

— Lepiej płatne zajęcie — odparł cicho, wzruszając ramionami.

Kiedy weszła do salonu, trójka mężczyzn pochylała się nad mapą.

— O, tutaj — mówił Barry. — Do Dundalk, a następnie przez granicę. Nie napotkamy żadnych trudności, ponieważ trwają rozmowy pokojowe. Granicę przekroczymy gładko.

— I później prosto do Scotstown? — zainteresował się Sollazo.

— Prosto. My dotrzemy tam w dwie godziny, najwyżej w dwie i pół.

— Co znaczy „my”? — zapytała Kathleen.

— Sollazo i ja — wyjaśnił Barry. — Wy zostaniecie tutaj pod czułą opieką Moriego.

— Masz wielki tupet.

— Tak, ale to ja tu dowodzę. Wraz z panem Sollazem zawieziemy tam sprzęt do nurkowania. Kevin Stringer z „The Loyalist” twierdzi, że znalazł już dla nas odpowiednią łódź. Sprawdzimy. Jeśli tak rzeczywiście jest, Kevin przechowa ekwipunek, a my wrócimy po was. Około piątej będziemy w domu.

Kathleen obrzuciła go płonącym wzrokiem, po czym popatrzyła na stryja. Ten jednak wzruszył tylko obojętnie ramionami.

— Wszystko w porządku, Kathleen.

— Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, jutro rano wszyscy wyruszymy do Scotstown — dodał Barry.

— Ach, róbcie, co chcecie — warknęła Kathleen i gwałtownie opuściła salon.

Toyota zjechała na wolnym biegu ze wzgórza w okolicy Ballyburn. Przed otwartą bramą zrobioną z pięciu metalowych sztab i ozdobioną napisem „Farma Wiktorii”, za którą majaczyły w głębi zabudowania gospodarcze, Dillon zwolnił.

— Zatrzymaj się na poboczu drogi — polecił Davlin. — W schowku mam lornetkę. — Wyciągnął szkła Zeissa. — Poczekaj, niech się dobrze przyjrę.

Stanął obok toyoty, wyregulował ostrość i skierował lornetkę na zaparkowane na podwórku farmy kombi. W tej samej chwili otworzyły się drzwi budynku i z domu wyszli wszyscy: Barry, Sollazo, Mori i Ryanowie.

— No proszę, mamy tu całe towarzystwo — powiedział Devlin. — Jack Barry na czele. Popatrz, Sean.

Dillon przejął lornetkę, ponownie nastawił ostrość, po czym skinął głową.

— Barry, Michael i słodziutka Kathleen.

Z toyoty wysiadła Hannah i Dillon natychmiast przekazał jej szkła. Przez chwilę obserwowała krzątającą się przy kombi grupkę osób.

— Ci dwaj to Sollazo i jego goryl, Giovanni Mori — mruknęła do Devlina. — Ich zdjęcia przesłał nam faksem Blake Johnson. — Nagle znieruchomiała. — Barry i Sollazo wsiadają do kombi. Pozostali wracają do domu.

— Natychmiast się stąd wynośmy — stwierdził Devlin.

Wskoczyli do samochodu. Sean szybko uruchomił silnik. Po przebyciu kilkuset metrów skręcił w boczną drogę i zatrzymał auto.

— Dajmy im kilka minut. Może będą tędy przejeżdżać. Jeśli nie, zawrócimy, dogonimy ich i wsiądziemy im na ogon.

W chwilę później wyglądająca przez tylne okno Hannah powiedziała:

— Nadjeżdżają.

— Przy odrobinie szczęścia zaprowadzą nas do celu — oświadczył Devlin. — Za nimi, Sean.

Dillon trzymał się z dala od kombi, Devlin pełnił rolę obserwatora, a duży ruch na szosie zapewniał im anonimowość. Od Droghedy dzieliło ich trzydzieści kilometrów, po kolejnych trzydziestu, w niecałą godzinę od chwili rozpoczęcia jazdy, minęli Dundalk.

— Niebawem granica — odezwał się do Hannah Devlin. — Jeśli rzeczywiście zmierzamy na wybrzeże Down, a wszystko na to wskazuje, miniemy ją w Warrenpoint. Pojedziemy do Rostrevor i dalej, do Kilkeel, gdzie dostaniemy się na szosę prowadzącą wzdłuż wybrzeża.

— A nią do Drumdonald i Scotstown, w okolice, gdzie zatonąła „Irish Rose” — dodał Dillon.

— Jak się nazywa ten pub w Scotstown, w którym się schroniłeś? — zapytała Hannah.

— „The Loyalist”. — Dillon wybuchnął śmiechem. — Nazwa kompletnie nie na miejscu. Jego właściciel, Kevin

Stringer, od lat pracuje dla Barry'ego. — Sean zmarszczył brwi i zwrócił się do Devlina. — A co ty o tym myślisz?

— Brzmi bardzo obiecująco. Zobaczymy. Teraz trochę się zdrzemnę, a wy, młodzi, miejcie oko na wszystko.

Za Warrenpoint ruch na szosie znacznie zmaleł, ale ciągle autostradą sunęły samochody osobowe i, od czasu do czasu, ciężarówki, które zasłaniały trzymający się daleko za kombi pojazd Dillona. Zaczęło padać, deszcz zacinął od strony gór Mourne.

— Deszcz leje aż do morza, jak mówi stara piosenka — zauważył Devlin. — Wspaniały widok.

— Niewątpliwie — zgodziła się Hannah.

Od kombi dzieliły ich dwa samochody osobowe i wielka, rolnicza ciężarówka.

— Jeśli zmierzamy do Scotstown lub podobnej osady, możemy mieć niejaki kłopoty — zauważył Devlin. — Tutejsze wioski rybackie to tylko molo, przystań i kilka kutrów. Każdy obcy widoczny jest jak na dłoni.

— Musimy zatem zachowywać wielką ostrożność — odparł Dillon. — Pożyjemy, zobaczymy.

Deszcz przeszedł w solidną ulewę i siedzący za kierownicą kombi Barry zaklął:

— Szlag by trafił ten kraj.

— Zgadzam się w zupełności — odparł Sollazo.

— Dojeżdżamy do Kilkeel. Niebawem miniemy dużą przydrożną restaurację. Nie wiem jak pan, ale mnie filiżanka herbaty i kanapka z bekonem zrobiłyby bardzo dobrze.

— W pełni popieram ten pomysł — odrzekł Sollazo.

Niebawem dotarli na miejsce i Barry skręcił na parking. Stało tam kilkanaście ciężarówek i parę aut osobowych. Przy restauracji mieściła się również stacja benzynowa oraz warsztat samochodowy z szyldem „Patrick Murphy & Son”. Lokal znajdował się po drugiej stronie parkingu. Barry

i Sollazo przebyli dystans biegiem i schronili się przed deszczem pod dach.

Dillon wprowadził toyotę między dwie ciężarówki i wyłączył silnik.

— Idę na zwiady — oświadczyła Hannah. — I tak zresztą muszę pójść do toalety.

Wysiadła z auta i ruszyła spiesznie w strugach deszczu.

— Miła dziewczyna — zauważył Devlin.

— Kiedyś uratowała mi życie, choć w akcji sama dostała kulę — odparł Dillon.

— Jezu — westchnął Devlin. — Miła Żydóweczka.

— Ferguson twierdzi, że po tym, jak zastrzeliła Norah Bell, tę kurwę, która wpakowała mi w plecy dwie kulki, Hannah oświadczyła: „Wcale nie jestem miłą Żydóweczka. Jestem Żydóweczka żywcem wyjętą ze Starego Testamentu”.

Devlin wybuchnął śmiechem.

— Boże drogi, gdybym nie miał siedemdziesięciu pięciu lat, po prostu bym się w niej zakochał.

— Siedemdziesięciu pięciu? — wykrzyknął Dillon. — Ale łżesz!

Wróciła Hannah i wsunęła do samochodu głowę przez okno.

— Rozgościli się na dobre. Widziałam, jak Barry składał kelnerce zamówienie. Liam, posłuchaj, zastanawiałam się nad tym, co mówiłeś. O tym, że będziemy widoczni jak na dłoni. Ale to dotyczy głównie was. Jeśli rzeczywiście jedziemy do Scotstown, Kevin Stringer rozpozna ciebie, Sean, a może nawet i Liama.

— Może mnie poznać — przyznał Devlin. — W tych stronach jestem znaną postacią, bo tu się urodziłem. — Skrzywił się. — Czasami bardzo trudno być żywą legendą.

— Ale mnie to nie dotyczy — oświadczyła Hannah. — Jestem zwykłą angielską turystką, a w każdym razie kimś takim mogę być. Nad warsztatem widziałam tablicę infor-

mującą, że można tam również wynająć samochód. Podaj mi torebkę, a ja pójdę i zobaczę, co się da zrobić. Jeśli nasi przyjaciele odjadą przed moim powrotem, po prostu za nimi jedźcie. Ruszę za wami drogą prowadzącą wzdłuż wybrzeża na Drumdonald i Scotstown. Znajdę was bez trudu.

— Zatem w drogę, dziewczyno — powiedział Devlin, wręczając jej torebkę.

W warsztacie trwały właśnie prace przy jakimś samochodzie. W oszklonej kabinie siedział drobny człowieczek w tweedowym garniturze i czapce. Na widok Hannah wstał z krzesła i wyszedł ze swego biura.

— Patrick Murphy — przedstawił się. — Czym mogę służyć, panienko?

— Wybrałam się z przyjaciółmi na wycieczkę, ale oni muszą wracać do Belfastu. Wyszadzili mnie tutaj, ponieważ w Warrenpoint poinformowano nas, że można u was wypożyczyć samochód.

— Zgadza się. Na jak długo?

— Na dwa lub trzy dni. Chcę zwiedzić wybrzeże Down. Tak dla zabicia czasu. Może mi pan pomóc?

— No cóż, nie mam tu wspaniałych aut, ale mogę zaproponować sedana renault, jeśli naturalnie nie ma pani nic przeciwko Francji.

— Nic a nic.

Ruszyła przez garaż za właścicielem zakładu i obejrzała samochód.

— Jest po przeglądzie i ma pełen bak paliwa — wyjaśnił Murphy.

— Doskonale. — Postanowiła ubarwić trochę swoją historię. — Jak wrócę, będę chciała dotrzeć do Belfastu.

— To żaden problem. Prowadzę również przedsiębiorstwo taksówkowe. Zawieziemy panią do Warrenpoint. Tam złapie pani pociąg. A teraz proszę o prawo jazdy i załatwimy formalności. W jaki sposób chce pani zapłacić?

Otworzyła torebkę, wyjęła z niej prawo jazdy i przejrzała karty kredytowe.

— Odpowiadają panu American Express?

Właściciel zakładu uśmiechnął się.

— Cóż, jak to mówią w telewizji, byłoby nieźle.

Z garażu wyjechała w chwili, gdy Barry i Sollazo zmierzali do kombi. Zatrzymała samochód za toyotą i dała krótki sygnał klaksonem. Dillon odwrócił się i machnął ręką na znak, żeby ruszała. Hannah wcisnęła się między ich samochód a ciężarówkę i ruszyła za kombi, które właśnie skręcało z parkingu na szosę. Toyota pojechała na szarym końcu.

Zlewane potokami deszczu Scotstown było jak wymarłe. Licząca trzydzieści lub czterdzieści domów osada, przystań, z tuzin kutrów rybackich; wszystko to tonęło w wilgotnej, lepkiej mgle. Wznoszące się nad wioską wzgórze porastał niewielki las. Hannah zatrzymała samochód na skraju drogi. Dostrzegła w dole kombi, które skręcało właśnie na parking przed pubem. Za renault zatrzymała się toyota i wysiedli z niej Dillon z Devlinem.

— Bardzo dawno tu nie byłem — odezwał się Dillon. — Ale miałem rację. To jest właśnie „The Loyalist” i zapewne wciąż jeszcze prowadzi go Kevin Stringer, człowiek Jacka Barry'ego.

— Lepiej popatrzmy na przystań — poradził Devlin, podnosząc do oczu lornetkę. — Same kutry... nie, poczekajcie. W pewnej odległości stoi na kotwicy łódź motorowa. Jest pomalowana na siwo i ma około dziesięciu, dwunastu metrów. Na moje oko wygląda obiecująco. Zobacz zresztą sam.

Dillon skierował lornetkę na przystań.

— Może i masz rację.

— Na pewno mam.

Hannah odebrała od Dillona szkła i sama zaczęła obserwować przez nie łódź. Skinęła głową.

— Zgadzam się z tobą, Liam, ale uważam, że należy przyjrzeć się jej dokładniej. Wybiorę się tam w charakterze turystki. Ale najpierw wstąpię do pubu na herbatę z kanapką.

— A my mamy umierać tu z głodu? — zaprotestował Dillon.

— Po prostu tym razem nie masz szczęścia, Dillon — odparła Hannah, wsiadła do renault i odjechała.

W saloniku na zapleczu lokalu Kevin Stringer mocno uściskał Barry'ego.

— Nawet nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę z naszego spotkania.

— Ja też, Kevin. A to jest mój współpracownik, pan Sollazo z Nowego Jorku. Masz dla nas tę łódź?

— Mam. „Avenger”. Piękna motorówka, którą jeden z moich przyjaciół kupił do połowów rekinów, ale te akurat wyniosły się w inne strony.

Sollazo wybuchnął śmiechem.

— To mi się podoba.

— Jak daleko zamierzacie popłynąć? — zapytał Stringer.

— Na wyspę Rathlin — odparł Barry. — Ktoś na niej mieszka?

— Od lat nikt.

— To daleko stąd?

— Zaledwie trzy lub cztery mile.

— Doskonale, rzućmy okiem na tę łódź.

— Proszę bardzo — odrzekł Stringer. — Ale najpierw musicie czegoś się napić i coś zjeść.

— W dalszym ciągu tak dobrze gotujesz? — zainteresował się Barry.

— Wszyscy musimy z czegoś żyć, Jack. Wraz z postępującym procesem pokojowym czasy się zmieniają. Napływa do nas coraz więcej turystów, wielu Amerykanów, takich jak pan, panie Sollazo. Przygotowałem nawet kilka pokoi gościnnych. Latem mam tyle pracy, że czasami sam nie wiem, w co ręce włożyć. Ale przejdźmy do baru. Podam

najlepszą duszoną baraninę z ziemniakami i cebulą, jaką można dostać w tym kraju.

W barze siedziało nad kuflami i szklaneczkami kilkunastu stałych bywalców. Barry i Sollazo zajęli miejsce przy stoliku obok wykuszowego okna, jedli mięso i popijali guinnessa. Po drugiej stronie sali Hannah Bernstein gwałtownie gestykulowała do barmana.

— Macie jakieś kanapki?

Natychmiast podszedł do niej Kevin Stringer z twarzą rozjaśnioną najserdeczniejszym uśmiechem.

— Cokolwiek pani sobie zażyczy.

— W porządku, poproszę o sałatkę.

— Nie ma sprawy. Turystka?

— Tak.

— Podać coś do picia?

— Poproszę wódkę z tonikiem.

— Za chwileczkę przyniosę. Proszę się rozgościć.

Na stojaku przy drzwiach wisiało kilka gazet. Hannah wzięła jedną, usiadła przy stoliku w odległym końcu sali, z dala od okna. Barry odwrócony był do niej plecami, więc tylko Sollazo zwrócił na nią uwagę. Milutka — pomyślał. W oczach nieznamomej było coś osobliwego, lecz Sollazo zawsze przepadał za kobietami w okularach.

W godzinę później Sollazo, Barry i Stringer zeszli na przystań. Stringer poprowadził ich po pochylni na zielony ponton z zamontowanym silnikiem zewnętrznym.

— Wchodźcie — polecił.

Sollazo i Barry wsiedli do łódki. Stringer zdjął cumę i również wskoczył do środka. Uruchomił silnik i ponton zaczął się oddalać. Hannah, która opuściła pub i schodziła w kierunku przystani, bacznie ich obserwowała.

Devlin ze wzgórza spoglądał przez lornetkę na płynący ponton.

— Miałem rację — powiedział z lekkim zadowoleniem.

niem. — Płyną do tej tak obiecującej łodzi — stwierdził, wskazując głową morze. — Właśnie wchodzą na pokład. Zobacz.

Dillon przyłożył lornetkę do oczu, chwilę obserwował pokład łodzi, po czym skierował szkła na nabrzeże i na stojącą tam Hannah Bernstein.

— Uważaj, dziewczyno miła, uważaj — powiedział cicho.

Na pokładzie „Avengera” Barry i Sollazo, pod przewodnictwem Stringera, zaglądali w każdy kąt łodzi.

— Jedna kabina, dwie koje, salonik z ławkami, które mogą służyć za dwie kolejne prycze, kuchenka i toaleta. To wszystko.

Wędrówkę skończyli w sterówce.

— Wygląda tak, jakby dni jej świetności dawno minęły — zauważył Sollazo.

— Wygląd nie ma tu nic do rzeczy. Prezentuje się nędznie, ale posiada stalowy kadłub wykonany przez Akerboon. Silnik na benzynę Penta, dwie śruby. Maksymalna prędkość: dwadzieścia pięć węzłów. Ma sondę głębinową, radar, automatyczne sterowanie. Wszystko, czego potrzebujecie.

Barry odwrócił się do Sollaza.

— Odpowiada?

— Brzmi zachęcająco.

Barry skinął głową i odezwał się do Stringera.

— Doskonale, Kevin. W twoim garażu rozładujemy kombi, a ty później przeniesiesz sprzęt na pokład. My wracamy do Dublina. Wrócimy jutro przed południem i wypłyniemy w morze.

— Dobrze, Jack.

Podeszli do relingu i Sollazo wskoczył do pontonu.

— To ważne, Jack, prawda? — zapytał z ożywieniem Stringer. — Ważne dla ruchu. Czyżby wracały wielkie dni?

— Rozumiem, o co ci chodzi — odparł Barry. — Niech piekło pochłonie pokój.

Hannah zatrzymała renault obok toyoty na szczycie wzgórza i wysiadła z samochodu.

— Wrócili z łodzi i weszli do pubu.

Dillon wzniośł lornetkę.

— Kombi właśnie odjeżdża. Ale to już nieistotne, bo mogli pojechać tylko jedną drogą. Dogonimy ich.

— Jeśli odjeżdżają, to i wrócą — zauważył rozsądnie Devlin.

— Sądzę, że powinnam tu zostać, aby ich powitać — odezwała się Hannah. — Liam, czy masz w samochodzie jakąś torbę?

— Mam. — Devlin otworzył bagażnik i wyciągnął z niego podróżny neseser. — Niestety pusty.

— To nic. Wynajmę pokój w „The Loyalist” i będę udawała turystkę. Oni tu wrócą.

— A my wraz z nimi — dodał Dillon.

Devlin położył dłonie na ramionach Hannah.

— Uważaj na siebie. Nie chcielibyśmy cię stracić.

— Nie martw się. — Sięgnęła po bagaż. — Poradzę sobie.

— Hannah, jesteś jednym z cudów świata. — Dillon pocałował ją w oba policzki, a następnie delikatnie w usta.

Oczy Bernstein rozszerzyły się.

— Niech cię diabli, Dillon, to zdarzyło się po raz pierwszy — burknęła, wsiadła do renault i ruszyła w stronę wioski.

Dziesięć minut później rozradowany Kevin Stringer pokazywał Hannah sypialnię z widokiem na przystań.

— Na jak długo zamierza pani się u nas zatrzymać? — zapytał.

- Dwie noce, może trzy. Jestem turystką. Z Belfastu.

— Wielkie miasto. Nie mamy tu takich wygod, ale łazienkę i wszystko, co potrzebne, znajdzie pani obok.

— Cudownie.

— Zobaczmy się później. Jeśli pani sobie życzy, kolację przygotuję na dziewiętnastą — oświadczył właściciel pubu i opuścił pokój.

Dillon dogonił kombi po kwadransie i posuwał się w sporej odległości od niego.

— Co twoim zdaniem kombinują?

— Przyjechali na inspekcję, a przy okazji obejrzeć Łódź. Zostawili też zapewne sprzęt do nurkowania. Teraz wracają do Ballyburn. Najprawdopodobniej jutro się tu pojawią.

— A my za nimi. I co dalej? — zapytał Dillon.

— To już zależy od ciebie i od tej młodej damy, którą zostawiliśmy w wiosce. Sean, ona reprezentuje policję. Scotstown leży w Ulsterze, a to część Zjednoczonego Królestwa. Wszystko zależy od was i od Fergusona. — Devlin rozparł się w fotelu. — Może jakaś mała strzelanina, kto wie? Ale mnie to już nie dotyczy. Starzeję się, Sean. Naciskający spust palec nie pracuje już u mnie jak dawniej. Zawiódłbym cię.

— Partacz.

— Swoją działkę wykonałem. Powodzenia, i niech Bóg cię błogosławi, ale na mnie nie licz.

Dochodziła szesnasta i na farmie Wiktorii Kathleen zdejmowała z ognia kipiący imbryk. Ryan siedział przy stole, a Mori przebywał w salonie.

Dziewczyna popatrzyła na zegarek.

— Wrócą za godzinę — stwierdziła. — Jeśli mamy to zrobić, powinniśmy to zrobić teraz.

— Skoro twierdzisz, że się uda... — odmruknął Ryan.

— Posłuchaj, stryju Michaelu — powiedziała, sięgając po buteleczkę z pastylkami. — Trzy tabletki dazane sprawią, że wystąpią u ciebie symptomy anginy pectoris. Ich skutek będzie natychmiastowy i zbiegnie się w czasie z powrotem Barry'ego i Sollaza. Jack Barry nie zostawi cię tutaj, żebyś umarł. To nie w jego stylu.

— Rozumiem, że masz nadzieję, że nie jest?

— Posłuchaj, jeśli nawet nic nie zrobią, doktor Sied mówiła, że po paru dniach objawy same ustąpią. Z drugiej strony, jeśli Barry usłucha mnie i odwiezie cię do szpitala, stanie przed nami ogromna szansa.

Ryan siedział chwilę w milczeniu i wpatrywał się w bratanicę. W końcu wybuchnął śmiechem.

— Och, do licha, czy mamy coś do stracenia?

Kathleen otworzyła fiolkę, wysypała na dłoń trzy tabletki, wzięła szklankę z wodą i podeszła do Ryana.

— A więc proszę, stryju Michaelu.

Pierwsze objawy choroby wystąpiły po półgodzinie. Ryan siedział przy kuchennym stole, dłońmi obejmował głowę i obficie się pocił. W kwadrans później zaczął drzeć.

— Mori, chodź tu! — zawołała Kathleen.

Sycylijczyk pojawił się w kuchni natychmiast.

— O co chodzi?

— Atak dusznicy. Zdarzało mu się to już wcześniej. Zanieś go do salonu na kanapę.

Mori dźwignął Ryana zza stołu i objął ramieniem. Ruszyli przez kuchnię, a następnie korytarzem do salonu. Za nimi postępowała Kathleen ze szklanką wody. Ryan wyglądał przeraźliwie, twarz miał szarą jak popiół i dziewczynę po raz pierwszy ogarnęły wątpliwości.

— Stryju Michaelu, wypij to, proszę — powiedziała, przykładając mu brzeg szklanki do warg.

W tym momencie stary mężczyzna zaczął straszliwie dygotać. Bardziej, znacznie bardziej, niż Kathleen się spodziewała. W tej samej też chwili do pokoju wkroczył Barry, a za nim Sollazo.

— No Boga, co się tu dzieje?

— Znów dostał ataku — wyjaśniła Kathleen. — Koniecznie musi iść do szpitala.

— Nie bądź głupia — warknął Sollazo i odwrócił się do Barry'ego. — Szpital wykluczony.

Barry przyklęknął i położył Ryanowi dłoń na czole.

— Jest w fatalnym stanie — stwierdził, wstał i popatrzył na Moriego. — Zanieś go do kombi. — Znów odwrócił się do Sollaza. — Wszystko w porządku. Pod Dublinem znajduje się prywatna klinika, z której usług korzystaliśmy przez wiele lat. Przyzwoici lekarze, doskonałe

warunki. Tam go zawieziemy. To dwadzieścia pięć minut drogi stąd.

Stojący obok toyoty i obserwujący wszystko przez lornetkę Devlin powiedział:

— Coś się tam dzieje. Sollazo i ten typek Mori wynieśli właśnie z domu Ryana. Wkładają go do kombi. Wygląda na to, że Ryan nie jest w stanie iść o własnych siłach.

— Daj mi popatrzeć. — Dillon odebrał lornetkę. — Do auta wsiadają wszyscy, również Barry i Kathleen. Bądźmy w każdej chwili gotowi do drogi.

Wsunął się za kierownicę, a Devlin zajął miejsce obok niego. W chwilę później kombi skręciło w główną drogę; Dillon za nim.

Automat w budce telefonicznej w wiosce nie działał, a Hannah koniecznie musiała skontaktować się z Fergusonem. Podjęła zatem ryzyko. Wróciła do pubu i poszła do swego pokoju. W „The Loyalist” zainstalowano zwyczajny system, gdzie wyjście uzyskiwało się poprzez wykręcenie dziewiątki. Następnie Hannah wybrała bezpośredni numer Fergusonu w Ministerstwie Obrony.

Tak się jednak niefortunnie złożyło, że Kevin Stringer siedział przy biurku w swym gabinecie i zajmował się księgowością. Zaintrygowała go duża liczba cyfr wybranego numeru. Sięgnął zatem po słuchawkę głównego telefonu w centralce i cichutko ją podniósł.

— Z brygadierem Fergusonem, proszę. Tu główna inspektor Bernstein.

W chwilę później Stinger usłyszał męski głos:

— Tu Ferguson. Co się stało, pani główna inspektor?

— Zatrzymałam się w pubie „The Loyalist” w Scotstown na wybrzeżu Down. Dotarliśmy tu tropem Barry'ego i Sollaza. Mają zacumowaną w przystani łódź i zgromadzony sprzęt do nurkowania. Teraz wrócili do domu Barry'ego pod Dublinem, gdzie zostali Ryanowie. Śledzą ich Dillon i Devlin.

— Spodziewacie się, że wrócą?
— Prawdopodobnie jutro. Ja tu nocuję jako angielska turystka. Rodzaj kobiety samotnej.

— No cóż, tylko, na Boga, uważaj na siebie.

— A czy kiedyś nie uważałam?

Odłożyła słuchawkę. W biurze Stringer dłuższą chwilę siedział głęboko zamyślony, po czym zadzwonił do domu Barry'ego w Ballyburn. Nikt nie odbierał telefonu. Jeszcze chwilę siedział i myślał, po czym otworzył szufladę biurka i wyciągnął automatycznego browninga.

Do uszu siedzącej przy toalecie Hannah dotarł cichy dźwięk. Odwróciła się. Drzwi do jej pokoju były otwarte, a w progu stał Stringer z browningiem w dłoni.

— Pani główna inspektor, prawda? Jaka pani prowadzi grę?

14

Napis nad bramą wjazdową głosił „Klinika Roselea”. Kombi minęło bramę, a Dillon zatrzymał toyotę po drugiej stronie szosy.

— O co, do diabła, w tym wszystkim chodzi?

— Nie jestem pewien — odparł Devlin. — Ale na moje wyczucie wydarzyło się coś, czego nikt nie przewidział.

Mori, Sollazo, Barry i Kathleen siedzieli w recepcji i czekali. Dziewczyna była bardzo roztrzęsiona i Barry obejmował ją ramieniem.

— Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Facet, który prowadzi tę klinikę, doktor Ali Hassan, jest wybitnym specjalistą. To egipski Irlandczyk — próbował zażartować. — W ciągu ostatnich dwudziestu lat wyciągnął z bojowników IRA więcej kul, niż większość lekarzy jadło w ciągu całego życia ciepłych posiłków.

— To moja wina — odparła. — Pan tego nie rozumie.

— Dziewczyno, nie wariuj. Twój stryj od dawna ma kłopoty z sercem, sama o tym najlepiej wiesz.

Pojawił się Hassan, drobny Arab o brązowej skórze, przybrany w biały fartuch i ze stetoskopem na szyi.

— Co z nim? — zapytał Barry.

— Niedobrze, wręcz fatalnie. — Hassan odwrócił się do Kathleen. — Pani stryj od dawna choruje na anginę pectoris, prawda? Tak mi powiedział.

— Od dawna.

— Ale ten atak jest wyjątkowo silny. Nie rozumiem tego. Jakże zażywa lekarstwa?

— Dazane.

— Dobry Boże, czy przypadkiem nie przedawkował? — Kathleen wpatrywała się w lekarza z twarzą białą jak kość. — Pytam, czy nie przedawkował? — ponowił ostrzejszym tonem pytanie Hassan.

Kathleen powoli skinęła głową.

— O szesnastej zażył trzy tabletki.

— O rety!

Lekarz odwrócił się i pobiegł korytarzem. Kathleen ruszyła za nim. Za nią Barry i Sollazo. W recepcji został tylko Mori.

Targany drgawkami Ryan leżał na łóżku na oddziale intensywnej terapii, a wokół niego krzatali się gorączkowo doktor Hassan i pielęgniarz. Kathleen, Barry i Sollazo zagłądali do izolatki przez szklaną ścianę. Barry mocno ścisnął ramię dziewczyny. Nagle Ryanowi z gardła dobył się okropny bulgot, chory podskoczył na łóżku, a następnie jego ciało zwiotczało i uszło z niego życie.

Na korytarz wyszedł doktor Hassan.

— Obawiam się, że nie żyje — powiedział.

— To nieprawda! — krzyknęła rozpaczliwie Kathleen, rzucając się w jego stronę. — To niemożliwe.

— Dziewczyno, trzymaj się, to nie twoja wina — powiedział Barry, jeszcze mocniej obejmując Kathleen.

— Moja, moja. Jestem wykwalifikowaną pielęgniarką i powinnam była to przewidzieć. Sprawdzałam zresztą wszystko w szpitalu Green Rapids. Lekarka poinformowała mnie, że trzy tabletki dazane sprowadzą atak dusznicy, ale tylko na kilka dni. Zamierzaliśmy w ten sposób uciec, nie rozumiecie? Wy oddajecie go do szpitala, a my mamy okazję wyrwać się na wolność.

Kathleen kompletnie się załamała i Barry przekazał ją Sollazowi.

— Odprowadź ją do samochodu. Ja zajmę się sprawami tutaj.

Kiedy Sollazo zabrał już dziewczynę, Barry odwrócił się do Hassana.

— Ali, byłeś wiernym przyjacielem IRA i bardzo to doceniamy. Teraz czeka cię kolejne zadanie specjalne.

— Rozumiem, Jack.

— Zawieźcie go wieczorem do krematorium i spalcie. Żadnego nazwiska, żadnego dokumentu.

— Zrobię, jak sobie życzysz.

— Równy z ciebie chłop — stwierdził Barry; odwrócił się i wyszedł.

W toyocie Dillon i Devlin obserwowali odjazd kombi.

— Tylko trzech i dziewczyna — odezwał się Dillon. — Brakuje Ryana. Co się dzieje?

— Znam to miejsce — odparł Devlin. — To azyl dla bojowników IRA. Klinikę tę prowadzi piekielnie zdolny chirurg, Egipcjanin, Ali Hassan. Może powinniśmy złożyć mu wizytę?

Ali Hassan przebywał w swym gabinecie, paliła się tylko lampa na biurku i lekarz był świadom tego, że otwierają się drzwi. Podniósł głowę i ujrzał Devlina, a za jego plecami Dillona.

— Witaj, Ali — powiedział Liam. — Pamiętasz mnie? Liam Devlin. Przed osiemnastoma laty wyciągnąłeś ze mnie kulę.

— Mój Boże, pan Devlin! — wykrzyknął Hassan.

— A to mój przyjaciel, Sean Dillon, który dla naszej sprawy zrobił tyle samo co ja.

— Pan Dillon — mruknął niepewnie lekarz.

— Pojawiło się tu kilku naszych znajomych, wśród nich pan Ryan — odezwał się Dillon. — Odjechali bez niego. Dlaczego?

— To chyba jakaś pomyłka — zaprzeczył desperacko Hassan.

Dillon wyciągnął walthera.

— No cóż, ta zabawka mówi mi, że kłamiesz. Proszę więc pomyśleć jeszcze raz.

Ali Hassan pomyślał, po czym o wszystkim opowiedział.

Na farmie Wiktorii, gdy szlochająca nieustannie Kathleen przebywała w sypialni, a Barry, Sollazo i Mori nalali sobie właśnie whiskey, zadzwonił telefon.

— Dzięki Bogu, że cię złapałem, Jack — odezwał się w słuchawce głos Kevina Stringera. — Coś się dzieje.

Zaczął mówić. Kiedy skończył, Barry powiedział:

— Dobrze jej pilnuj, Kevin. Natychmiast do ciebie jedziemy.

— Spokojna głowa, Jack, przypilnuję.

Barry odłożył słuchawkę i odwrócił się do Sollaza.

— Przypominasz sobie kobietę w okularach, która jadła dziś lunch w „The Loyalist”?

— Jasne — odrzekł Sollazo. — Przystojna kobietka w spodniemie od Armaniego.

— Jest nie tylko detektywem głównym inspektorem, ale pracuje też dla brygadiera Charlesa Fergusona, eksperta do specjalnych zadań wywiadowczych premiera. Domyślam się, kto za tym wszystkim stoi. Sean Dillon.

— Jezu! — westchnął Sollazo. — Co my teraz zrobimy?

— Wynosimy się stąd do wszystkich diabłów. Nie pytaj mnie, co się dzieje, bo sam jeszcze tego nie wiem, lecz natychmiast wyjeżdżamy do Scotstown, a jutro rano poszukamy wraka „Irish Rose”. — Barry odwrócił się do Moriego. — Bierz dziewczynę.

Sycylijczyk popatrzył na swego szefa i Sollazo skinął głową.

— Rób, co ci mówi.

Devlin i Dillon siedzieli w toyocie i obserwowali odjazd kombi.

— No i masz — odezwał się Liam. — Podejrzewam, że niefortunna śmierć Ryana przyspieszyła przebieg wypadków.

- Lepiej już za nimi jedźmy — odpowiedział Dillon.
- Nie ma pośpiechu, Sean. Najpierw pojedziemy do mnie. Ostatecznie wiemy, gdzie ich szukać.

W Kilrea Cottage Devlin siedział przy płonącym na kominku ogniu ze szklaneczkę whiskey Bushmills w dłoni. Dillon krzątał się po pokoju, w jednej dłoni trzymał jednego walthera, a w drugiej zapasowego z kabury przy kostce. Podciągnął nogawkę spodni, postawił stopę na krześle i przymocował do nogi olstro. Dragi pistolet wsunął z tyłu za pasek od spodni.

— Sean — odezwał się Devlin. — Walther jest również moją ulubioną bronią. Jeden leży w szufladzie biurka. Podaj mi go.

Dillon podał mu broń.

— Włóż do kieszeni — polecił Liam.

— Po co?

— Sean, chłopie, jestem już stary. Kiedy zaczną świstać kule, stanę się tylko zawadą. Tak więc teraz jesteś już sam. Jedyne, co mogę dla ciebie zrobić, to dać ci bardzo dobrą radę. Masz w kieszeni pistolet. Przeszukując cię, Barry natychmiast go znajdzie. Sprawdzi również ci plecy, ponieważ wie, że tam najchętniej trzymasz broń. Tak zatem znajdzie drugiego walthera. To powinno go zadowolić, a tobie da szansę, że zostaniesz z pistoletem w kaburze przy kostce. — Devlin uśmiechnął się. — To oczywiście tylko domniemanie. Może Barry wcale nie będzie miał okazji cię przeszukać, ale kto wie?

— Niech cię Bóg błogosławi, Liam — powiedział Dillon. — Jesteś najlepszy.

— Zrób im tam piekło, Sean — odparł Liam Devlin. — A teraz już się wynoś. Zadzwoń do Fergusona i przekażę mu najnowsze wieści.

Była czwarta nad ranem i Hannah Bernstein spała niespokojnym snem na kanapie w niewielkim saloniku na zapleczu „The Loyalist”. W oknie tkwiły grube kraty,

a ponadto Stringer zamknął drzwi na klucz. Obudził ją warkot samochodu zajeżdżającego na podwórko. Usiadła na kanapie i nadsłuchiwała dochodzących zza okna głosów. Po chwili drzwi się otworzyły i w progu stanął Stringer.

Za nim weszli pozostali: Barry, Sollazo, Mori i Kathleen. Dziewczyna miała śmiertelnie bladą i opuchniętą od płaczu twarz.

Właściciel pubu wyjął z kurtki walthera, którego odebrał Hannah i wręczył broń Barry'emu.

— Miała to w torebce.

Jack zważył w dłoni pistolet, wsunął go do kieszeni i spojrzał na Hannah.

— A zatem główna inspektor Hannah Bernstein pracuje dla starego brytana Charliego Fergusona?

— Skoro tak pan twierdzi.

— Oczywiście, że twierdę. To była wielka nierozwaga telefonować z pokoju, mając pod bokiem kogoś tak wścibskiego jak Kevin.

— Wszyscy popełniamy błędy.

— Wspominała coś pani o Devlinie i Seanie Dillonie? Spodziewam się, że już wężą w okolicy.

— Proszę posłuchać, panie Barry. To koniec, czy nie rozumie pan tego? Wywiad amerykański zainteresował się już pobylem pana Sollazo w Anglii. I to zainteresował się tym Biały Dom.

— Kłamie — odezwał się Sollazo. — To niemożliwe.

— Wiedzą o wszystkim. Jak pan myśli, w jaki sposób brygadier Ferguson wszedł do tej gry? — Potrząsnęła głową. — To niemożliwe, aby Biały Dom i Downing Street stały z boku i przyglądały się, jak złoto wpada w niewłaściwe ręce. Rozumiem, panie Barry, że Sollazo wszedł w ten interes z chciwości. Ale nie pan. Z taką ilością pieniędzy Tymczasowa IRA może prowadzić wojnę tak długo, jak zechce.

— Zastrzelcie tę sukę — powiedziała tępym głosem Kathleen.

— Chętnie się tym zajmę — zaofiarował się Mori.

Barry pokręcił głową.

— Będzie użyteczna jako rodzaj zakładniczki. — Znów

pokręcił głową. — Zabawne, jak ten stary lis Liam Devlin zrobił ze mnie głupca. Ale dlaczego? Dlaczego Liam?

— Pokój, panie Barry — wyjaśniła pogodnie Hannah. — To hasło jest ostatnio bardzo modne. — Pokoju pragnie większość ludzi.

— Do diabła z tą układną kowersacją! — wybuchnął Sollazo. — Co teraz?

— Może powinniśmy się stąd wynosić do wszystkich diabłów, dopóki jeszcze możemy — zasugerował Mori.

Barry potrząsnął odmownie głową.

— Na mój wdech Ferguson przysłał panią główną inspektor i Dillona na rozpoznanie, a Devlina dodał im jako specjalistę od spraw lokalnych. Żadna Garda, żadna RUC. Nie na tym etapie. Chcieli dowiedzieć się, gdzie spoczywa wrak „Irish Rose”. Kiedy już Ferguson dowie się tego, sprawę przejmie w swoje ręce ekipa ratowników Królewskiej Marynarki Wojennej.

— Nam udało się zdobyć tę informację — odezwał się z goryczą Sollazo. — A oni wiedzą, gdzie jesteśmy.

— Tak, ale wciąż nie wiedzą, gdzie jest „Irish Rose”. Tak czy owak, moim zdaniem, powinniśmy natychmiast wypłynąć w morze i poszukać wraka. Do licha, człowieku, jeśli złoto jest osiągalne, możemy wyciągnąć nawet kilka sztab i dać nogę. Milion, dwa miliony... to sporo jak na poranną robótkę.

Nieoczekiwanie na twarzy Sollaza pojawił się uśmiech.

— Do diabła, dlaczego nie? Ryzykowałem całe życie. Za późno, by się wycofywać. Tylko co z Dillonem i Devlinem?

— W swoim czasie Liam Devlin był w naszym interesie najlepszy. Tyle że teraz ma już osiemdziesiąt pięć lat. Dillon, ten to twardziel.

— Na mnie za słaby — wtrącił Mori.

— Cóż, byłoby to interesujące spotkanie. Ale do niego nie dojdzie. Pani główna inspektor stanowi odpowiednią zakładniczkę na wypadek, gdyby pojawili się tu Dillon i Devlin. — Barry popatrzył na Stringera. — W porządku, Kevin, wczesne śniadanko i o świcie ruszamy. Ty zostaniesz na straży fortecy.

Ferguson kończył rozmowę z Blake'em Johnsonem na zastrzeżonej linii telefonicznej.

— Co stanie się teraz, gdy Ryan nie żyje? — zapytał Amerykanin. — Twierdzi pan, że z chwilą jego śmierci nikt już nie zna położenia wraku?

— Wcale tak nie twierdzę. Gdyby tak było, po co wracaliby do Scotstown? Jak wspominałem, działa tam potajemnie moja główna inspektor, a pozostałych śledzi Dillon. To człowiek o niewyczerpanej energii i niebywałej pomysłowości. On wszystko dokładnie przesortuje i dowie się, gdzie zatonąła ta przeklęta barka.

— A co później?

— Później to już robota dla służb ratowniczych Królewskiej Marynarki Wojennej. Zadanie wdzięczne i dyskretne. Przeprowadzą je pod pozorem ćwiczeń. — Roześmiał się. — Jedno jest pewne. Nie ma możliwości, by nasi przyjaciele zdążyli zorganizować jakąkolwiek akcję, aby wydobyć to złoto. Nie teraz.

— Prezydent będzie rad, gdy to usłyszy.

— Podobnie jak nasz premier, kiedy powiem mu o tym z rana. Będę was, naturalnie, o wszystkim informował na bieżąco.

— Doceniam to, panie brygadierze.

Siedzący w swym mieszkaniu przy płonącym kominku Ferguson odłożył słuchawkę, przeszedł do barku i nalał sobie porcję whiskey.

— No, Dillon — mruknął pod nosem. — Dobierz się tym draniom do tyłków.

Dillon znajdował się właśnie na szczycie górującego nad wioską wzgórza. Toyotę ukrył między drzewami. Przez chwilę obserwował przez lornetkę front budynku, w którym mieścił się „The Loyalist”, a następnie skierował szkła na stojącą na kotwicy „Avenger”.

— Co tam porabiasz, Hannah, moja miłości? — mruknął pod nosem. — Nie zdziwiłbym się, gdybyś o tak wczesnej porze smacznie spała.

Wstawał świt, dzień zapowiadał się szary i ponury,

wszystko otulała lepka, mokra mgła, z nieba siał uporczywy deszcz. Sean zapalił papierosa i zaczął zastanawiać się, jak ma wszystko rozegrać. W tej samej chwili otworzyły się drzwi pubu i z domu wyszli Jack Barry, Kathleen, Sollazo, a między nimi Mori, który prowadził Hannah Berenstein. Stojący w progu Stringer zamienił z Barrym kilka słów, po czym zniknął w budynku.

— Matko święta — jęknął Dillon i obserwował przez lornetkę, jak idą po nabrzeżu, a potem schodzą po pochylni do zielonego pontonu. Łódka odbiła, zagrzmiał silnik i ponton zaczął oddalać się od przystani.

Dillon wsiadł do toyoty i uruchomił silnik.

Kevin Stringer, zaparzając w kuchni kolejny dzbanek herbaty, usłyszał cichy szcęk otwieranych tylnych drzwi. Odwrócił się i ujrzał uśmiechniętego Dillona.

— Dobry Boże, to ty, Sean? — zapytał czując, że kompletnie zasycha mu w gardle.

— Kopę lat, Kevin. Co się tu wyprawia?

— O co ci chodzi?

Dillon wyciągnął z kieszeni walthera.

— To cacko działa bardzo cicho, a ty mnie znasz. Lepiej opowiedz mi całą historię, bo w przeciwnym razie wyjdiesz stąd o kulach.

— Proszę, Sean, jestem tylko pośrednikiem. Podśluchałem rozmowę telefoniczną tej kobiety. Przedstawiła się jako główny inspektor i rozmawiała z brygadierem Fergusonem. Wspomniała o tobie i Liamie Devlinie.

— A więc, jak mówią w kiepskich filmach, wszystko jasne.

— Michael Ryan nie żyje — powiedział Stringer. — Atak serca.

— Wiem. Wiem o tym. A zatem oni popłynęli do „Irish Rose”.

— Tak.

— A główna inspektor?

— Jack oświadczył, że jeśli się pojawisz, będzie doskonałą zakładniczką. Bratanica Ryana prosiła, żeby ją zastrzelić. Ten bydlak Mori chciał to zrobić od razu.

— Naprawdę? Nie możemy do tego dopuścić, więc chodźmy na przystań, zanim odpłyną.

Na łodzi Barry zajął miejsce przy sterze, obie kobiety usiadły na ławkach, a Sollazo z Morim udali się na rufę. Wyciągali właśnie kotwicę, kiedy od strony przystani dobiegł ich po wodzie głos Stringera:

— Jack, jest tutaj Dillon.

— Jezus, Maria, Józefie święty! — wykrzyknął Jack Barry i wyłączył silnik.

Wyszedł na pokład i stanął przy relingu, gdzie natychmiast dołączyli do niego Sollazo i Mori.

— Czy to on? — zapytał Sollazo.

— Jak zawsze — mruknął Barry i wrzasnął: — Czy to ty, Sean?

— A któż by inny? — odkrzyknął Dillon. — Porozmawiamy?

— Już do ciebie płynę. — Barry odwrócił się do Moriego. — Przyciągnij ponton. — Pokręcił głową. — Skończony wariat.

— Mówisz tak, jakbyś go lubił — zauważył Sollazo.

— Był dla mnie jak syn. Nigdy nie zapomnę naszych wspólnych chwil w Derry. W tamtych dniach uczyliśmy brytyjskich spadochroniarzy finezyjnego tańca na linie.

Mori przysłonił oczy dłonią.

— Na moje oko nie wygląda zbyt imponująco.

— Gdybyś był w szczytowej formie, a on po trzecim ataku febry, to i tak zgniółłby cię jak pluskwę — odparł Barry i wskoczył do pontonu.

Odepchnął się od łodzi i uruchomił silnik.

Gdy ponton dobił do przystani, Dillon palił papierosa.

— Świetnie wyglądasz, Jack — pochwalił. — Czas obszedł się z tobą nad wyraz litościwie.

— Z tobą jeszcze lepiej, młody skurczybyku. Gdzie jest Liam Devlin?

— Wrócił do Kilrea. Ma osiemdziesiąt pięć lat i jest trochę za stary na strzelaniny.

— W swoim czasie był najlepszy.
— A zatem spotkaliśmy się — zmienił temat Dillon. — I co? Dopiąłeś swego, Jack, lecz teraz już wszystko to straciło sens.

— Niezupełnie, Sean. Gdy znajdziemy wrak, a znajdziemy go na pewno, będą tam czekać sztaby złota. — Wzruszył ramionami. — Bardzo pracowity poranek może nam przynieść milion albo dwa. Dobra psu mucha.

— O, zawsze byłeś człowiekiem praktycznym — stwierdził Dillon. — Jak miewa się Hannah Bernstein?

— Doskonale. Lubię ją. To zdolna kobietka.

— Też ją lubię. Wypuść ją. Weź za nią mnie.

— Dlaczego miałbym to zrobić?

— Pozostały mi wszystkie umiejętności z dawnych czasów. Potrafię prowadzić samolot, Jack, ale jestem również najlepszym nurkiem, jakiego spotkałeś w życiu. W porcie bejruckim wysadzałem w powietrze dla Izraelczyków okręty OWP.

— Kawał łobuza z ciebie — odparł Barry i wybuchnął śmiechem. — Nie, Sean, Hannah Bernstein jest zbyt dla nas cenna, żeby wypuszczać ją z rąk.

— Na Boga, przecież muszę wybrać się z wami na tę przejażdżkę.

— Dobra myśl, ale najpierw muszę cię sprawdzić. — Barry wyciągnął browninga. — Kevin, przeszukaj mu kieszenie.

Stringer spełnił polecenie i znalazł walthera.

— Zadowolony? — zapytał Dillon.

— A czy kiedykolwiek byłem? — odparł z uśmiechem Barry. — Kevin, pod kurtką na plecach. To jego ulubione miejsce.

Stringer znalazł drugiego walthera.

— Miałeś rację, Jack — stwierdził, oddając broń.

— Przeważnie ją mam — powiedział z dumą Barry. — Wracaj do fortecy, Kevin. — Uśmiechnął się do Dillona. — Wsiadaj, Sean. Sądzę, że przyjmę cię do pracy.

Dillon przeskoczył reling pierwszy. Barry rzucił Moriemu cumę i też wszedł na pokład. Gdy ze sterówki wyłoniły się obie kobiety, Sean natychmiast podszedł do Hannah.

— Dziewczyno miła, nic ci nie zrobili?

— Nie, wszystko w porządku.

Dillon zerknął na Moriego.

— Jezu Chryste, wygląda tak, jakby dopiero dziś rano zaczął chodzić na dwóch nogach. Jeśli zaczniesz sprawiać ci kłopoty, powiedz mi, a ja już rozdzielę jego dwie osobowości i poradzę sobie z każdą z nich z osobna.

Mori wybuchnął gniewem, lecz Sollazo natychmiast przywołał go do porządku.

— Uspokój się, Giovanni — powiedział, po czym odwrócił się do Barry'ego. — Sprawdziłeś go?

— Walther w kieszeni, drugi na plecach za paskiem od spodni. Zapamiętałem to z dawnych czasów. Mam poza tym dobrą nowinę. Sean jest mistrzem w nurkowaniu. Zarabiał grube pieniądze, wysadzając pod wodą różne rzeczy. Nie uważasz, że powinniśmy go zatrudnić?

Sollazo uśmiechnął się.

— Skoro pomnoży to urobek naszej porannej pracy, dlaczego nie?

— Doskonale, podnoście kotwicę.

Kathleen, która od dłuższej chwili obserwowała go w milczeniu, teraz podeszła do Dillona z dziwnym, oszołomionym wyrazem twarzy.

— Martin, to ty, prawda?

Było w tym coś osobliwego i coś bardzo nie w porządku.

— Jak zawsze do usług, Kate — odparł cicho Dillon. — Przykro mi z powodu Michaela.

— Zabiłam go. To ja przekonałam go, że powinien przedawkować lekarstwo. Doktor Sieed powiedziała, że nic się nie stanie, że nastąpi tylko kilkudniowy atak anginy pectoris. — Przeciągnęła dłonią po twarzy. — On umarł, Martinie, i to ja go zabiłam. Czyż to nie straszne?

Hannah objęła ją ramieniem.

— Chodźmy, kochanie, do kabiny — powiedziała i zabrała ją z pokładu.

Zagrzmiały silniki. Łódź wyruszyła w morze.

— Brakowało nam do szczęścia tylko wariatki — bu-
rknął Mori.

— Synu, powiedz mi, czy dużo pracujesz nad tym, żeby
być takim kawałkiem gówna? A może przychodzi ci to
samo z siebie? — zapytał Dillon, odwrócił się i dołączył do
stojącego przy kole sterowym Barry'ego.

Nie było rzeczą niemożliwą wyciągnąć z kabury przy-
kostce walthera i zastrzelić w ciągu kilku sekund Barry'ego,
Moriego i Sollaza. Wymagało to jednak odpowiedniej
chwili, a fakt, że na pokładzie pojawiła się nieoczekiwanie
Hannah, wcale sprawy nie ułatwiał. Bernstein stanęła pod
zadaszeniem, kryjąc się tam przed deszczem i Dillon przesłał
jej uśmiech.

— Wielka szkoda, Jack, że skończyliśmy na wchodzeniu
w układy z mętami — odezwał się do Barry'ego.

— Wiem o tym, synu, ale jedno nie uległo zmianie.
Wszystko, co wyciągnę z morza, pójdzie dla organizacji,
której służyliśmy przez długie lata. Pieniądze na broń.

— Czasy się zmieniły, Jack.

— Nie jestem tego taki pewien.

Dillon westchnął.

— W porządku. Najlepiej będzie, jeśli wszystko im
opowiesz. Dokąd płyniemy?

— W okolice wyspy Rathlin.

— A pozycję wskaże nam master navigator?

Barry przesłał mu pełne zdumienia spojrzenie.

— Czy istnieje coś, o czym nie wiesz?

— Jack, dzięki Liamowi weszliśmy w tę sprawę równie
głęboko jak wy. A swoją drogą, na jakiej głębokości
osiadł wrak?

— Wedle mapy admiralicji głębokość w okolicach wyspy
Rathlin waha się od dwudziestu siedmiu do trzydziestu
sześciu metrów.

— To nieźle. Pozostaje problem, w jakiej pozycji spo-
czywa „Irish Rose”.

Dołączył do nich Sollazo.

— Daleko jeszcze? — zapytał.

— Pół mili — odparł Barry. — Uruchomiłem navigatora. Wręczył urządzenie Sollazowi. Komputerek pikał w regularnych odstępach.

— O, działa — ucieszył się Sollazo.

— Im bliżej celu, tym dźwięk będzie bardziej natarczywy, aż w końcu przejdzie w ciągły pisk.

— Trzymajmy kciuki — mruknął Sollazo, oddał Barry'emu navigatora i przeniósł wzrok na Dillona. — Nurkować miałem ja i Mori, lecz skoro jesteś pan takim cudem... — Wzruszył ramionami. — Niech pan osobiście sprawdzi ekwipunek.

— Z największą przyjemnością — odparł Dillon i ruszył za Sycyljczykiem.

Kiedy we mgle zamajaczyły brzegi wyspy Rathlin, Barry zmniejszył obroty silnika i łódź posuwała się wolno po wyjątkowo spokojnej wodzie. Wydawany przez master navigatora dźwięk brzmiał coraz bardziej natarczywie i nieoczekiwanie przekształcił się w wysoki, nieustanny pisk.

— To tu! — zawołał Barry. — Rzucić kotwicę!

Mori i Sollazo pobiegli na rufę. Po lewej burcie przy relingu stała Kathleen i przez chwilę Dillon został sam na sam z Hannah.

— Mam broń — szepnął. — Barry znalazł przy mnie dwa pistolety, lecz ten stary lis Devlin dał mi trzeci. Mam go w kaburze przy kostce.

— Uważaj — odparła. — Nie teraz. Mogłoby się to skończyć okropną jatką.

— Niczym się nie przejmuj, dziewczyno miła. Chcę zanurkować i osobiście się rozejrzeć, jak mówił nasz stary przyjaciel.

Kotwica opadła z brzękiem łańcucha i „Avenger” zniechęciła. Zapadła cisza. Ze sterówki wyłonił się Barry.

— Jesteśmy na miejscu. Do roboty.

Sollazo odwrócił się do Dillona.

— Przygotujmy się. Ja pierwszy.

Odwrócił się na pięcie i zniknął w kabinie.

Kiedy ponownie pojawił się na pokładzie, miał na sobie kombinezon, pas z obciążeniem i kamizelkę ratunkową.

— Twoja kolej — powiedział do Dillona.

Sean ruszył zejściówką do kabiny, tam rozebrał się do bielizny i odpiął z kostki kaburę. Dostrzegł szafkę z napisem „Rakiety sygnalizacyjne”. Otworzył ją i wsunął do środka walthera. Gdy sięgał po akwalung, na schodach zejściówki załomotały kroki i do kabiny zajrzał Sollazo.

— Ruszaj się, nie mamy czasu.

Dillon niezdarnie ubrał się w kombinezon, a na głowę nałożył kaptur. Podciągnął skarpety, po czym wziął pas z obciążeniem i owinąwszy się nim, zacisnął taśmy z „rzepami”. Na koniec sięgnął po pochwę z nożem.

— To zostaw — warknął Sollazo. — Jesteś ostatnim człowiekiem na ziemi, którego chciałbym widzieć z niebezpieczną bronią.

— Jak tam chcesz.

Zabrał pneumatyczny pływak i komputer Orca, po czym bez słowa wyszedł na pokład, gdzie, kryjąc się przed deszczem pod brezentowym zadaszeniem, wszyscy już na niego czekali. Sollazo nie odstępował go na krok.

— Wszystko przemyślałem — oświadczył. — Musimy działać bardzo rozsądnie. Jeśli wrak spoczywa na głębokości trzydziestu sześciu metrów, mamy niewiele czasu. Ty, Dillon, zanurkujesz pierwszy i sprawdzisz, jak rzecz ma się naprawdę.

— Z całą przyjemnością — odparł z uśmiechem Sean, któremu taki pomysł bardzo przypadł do gustu.

Z wprawą świadcząca o wieloletniej praktyce podłączył do butli tlenowej wąż, założył zbiornik na plecy i pozapinał „rzepy”. Usiadł, włożył płetwy, odebrał od Moriego lampę halogenową, owinął jej ramię wokół nadgarstka prawej ręki. Przechylił się przez reling, zamoczył w wodzie maskę, wsunął ją na twarz, odwrócił się i usiadł na poręczy.

Uniósł kciuk.

— Idący na śmierć pozdrawia was plus wszystkie inne głupoty wymyślone przez starożytnych Rzymian — oświadczył, włożył do ust końcówkę przewodu tlenowego, sprawdził, czy tlen przepływa prawidłowo i przez plecy fiknął do wody.

Zanurkował pod rufą, odnalazł naprężoną linę kotwicy i zaczął z jej pomocą schodzić pod wodę, zatrzymując się co cztery i pół metra, żeby skompensować ciśnienie w uszach. Woda była zdumiewająco przejrzysta, a jednocześnie osobiście mroczna. Pomagając sobie liną kotwiczną i zerkając co chwila na orcę, schodził coraz głębiej. Dziewięć metrów, dwanaście, aż w końcu na głębokości osiemnastu, mimo że nie zapalił jeszcze lampy, dostrzegł w otaczającym go półmroku leżącą na boku barcę.

Jednostka spoczywała na gładkim, piaszczystym, łagodnie obniżającym się dnie na głębokości dwudziestu siedmiu metrów. Miejscami w prądach wodnych kołysały się falując lekko olbrzymie liście wodorosli.

Dillon podpłynął do dziobu wraka i zapalił lampę halogenową. Mimo przylegających do kadłuba pąkli, w jaskrawym świetle wyraźnie było widać napis „Irish Rose”. Dillona naszała dziwaczna refleksja, że to on właśnie częściowo przyczynił się do tego, co się tutaj wydarzyło.

Skierował się z kolei na rozdartą siłą eksplozji rufę i tam dostrzegł spoczywającą obok wraka ciężarówkę. Eksplozja wyrwała ją z klamer, którymi przytwierdzona została do pokładu, ale ku zdumieniu Dillona, samochód stał w normalnej pozycji na swych sześciu kołach.

Podpłynął do tyłu samochodu, przesunął w górę klamkę tylnych drzwi i pociągnął je z całych sił. Ani drgnęły. Spróbował jeszcze raz, ale z takim samym skutkiem. Nie było sensu marnować cennego czasu, więc zawrócił i skierował się ku powierzchni.

Wspiął się po niewielkiej, bocznej drabince na pokład, ściągnął maskę i wypluł ustnik. Wszyscy stali na pokładzie i czekali na jego pierwsze słowa.

— Jezu, Sean, powiedz nam. Powiedz, choćby nowiny były najgorsze. — Barry błagalnym tonem przerwał milczenie.

— O, leży na dnie — odparł leniwie Dillon. — A co więcej, na głębokości zaledwie dwudziestu siedmiu metrów. Da to nam więcej czasu na operacje pod wodą.

- A ciężarówka? — zapytał Sollazo.
- Też tam jest. Najwidoczniej podczas eksplozji puściły mocowania, jakimi przyczepiona była do pokładu, i teraz stoi normalnie na kołach obok wraka.
- Cudownie — stwierdził Sollazo.
- Nie rozumiem tylko jednej rzeczy. Gdy porywaliśmy ciężarówkę, użyliśmy urządzenia elektronicznego o nazwie Howler, które wyłączyło wszelkie systemy zabezpieczające tak, że puściły zamki.
- I co z tego? — zapytał Sollazo.
- Nie mogłem otworzyć tylnych drzwi.
- Zapewne na skutek eksplozji elektronika ponownie zadziałała — powiedział Sollazo, beztrąsco machając ręką. — A może to drzwi się wypaczyły i zacięły? Mamy ze sobą semtex i zapalniki z przekaźnikiem czasowym. Zejdziemy na dno i wysadzimy drzwi.
- Świetnie — odparł Dillon. — Tylko tak musicie nastawić zapalnik, żebym miał czas się wycofać.
- Przykucnął obok niego Barry, w dłoni trzymał kostkę materiału wybuchowego.
- Masz, Sean. A to zapalnik nastawiony na trzy minuty.
- Wkład Czechosłowacji do kultury ogólnoswiatowej — mruknął Dillon.
- Poradzisz sobie?
- A czy ryba umie latać?
- Uważaj na siebie, Sean — wtrąciła Hannah.
- A czy kiedykolwiek tego nie robiłem?
- Wciągnął na twarz maskę, usiadł na relingu i zrobił fikołka do tyłu.

Znów zszedł przy linie kotwicznej, ponieważ był to najprostszy i najłatwiejszy sposób dostania się do spoczywającej na dnie ciężarówki. Umocował plastikową kostkę semtexu do klamki, po czym złamał zapalnik. Zaczęło cicho syczeć, a Dillon ruszył jak najszybciej ku powierzchni. Gdy był przy drabince, Barry wyciągnął dłoń i pomógł mu wydostać się na pokład. Sean usiadł, a pozostali podeszli do relingu. W chwilę później woda straszliwie się zakot-

łowała, na powierzchnię wypłynęło kilka martwych ryb. Niebawem wszystko się uspokoiło.

Dillon wyszczerzył zęby do Sollaza.

— Nic nie mów, niech zgadnę — powiedział. — Znów ma m i ś ć pierwszy.

Ciężarówkę mocno przesunęło na bok, ale pojazd wciąż stał na kołach. Tylne drzwi zostały roztrzaskane eksplozją. Jedno skrzydło zwiślało na zawiasie, drugie siła wybuchu odrzuciła na kilka metrów. W wodzie unosiły się wiry piasku i mułu. Dillon podpłynął do samochodu i zapalił lampę halogenową. Doznał potężnego wstrząsu. Samochód był pusty.

Zatrzymał się przy drabinie, wyciągnął ustnik i popatrzył w górę, na przechylonych przez reling ludzi.

— Jack, nie spodoba ci się to, co mam do powiedzenia, ale tam nie ma nic.

— Jak to nie ma nic? — zapytał Barry.

— Chodzi mi o to, że ciężarówka jest pusta.

— Nie może być pusta — odrzekł Barry. — Mówiłeś, że po napadzie zajrzałeś na tył i złoto tam było.

— Zgadza się, było. Ale teraz go nie ma.

Na twarz Kathleen wystąpiły ogniste wypieki, oczy miała niczym czarne dziury.

— Ktoś musiał się tam dostać wcześniej.

— Niemożliwe — odrzekł Dillon. — Drzwi były zatrzaśnięte na głucho i nie nosiły śladu włamania.

— Mori, pomóż mi — powiedział Sollazo, sięgając po przewód tlenowy i butlę. — Dillon, zanurkujesz jeszcze raz, ale tym razem ja popłynę z tobą. Sądzę, że po prostu kłamiesz.

— Rób, jak ci pasuje — odparł Sean, zanurzył się pod wodę i zaczął schodzić po kotwicznej linie.

Unosił się nad roztrzaskaną rufą „Irish Rose”, trzymał się relingu i czekał, aż dołączy do niego Sollazo. Sycylijczyk chwilę odpoczywał przy poręczy, po czym ruszył w stronę ciężarówki. Dillon popłynął za nim.

Sollazo zatrzymał się przed wyrwanymi drzwiami i zerknął do środka. Odwrócił się, popatrzył na Dillona, bardzo pewny siebie. Ruszył do pogrążonego z ciemnościach wnętrza samochodu. Płynący za nim Irlandczyk wyciągnął nóż z pochwy przypiętej do nogi Sollaza i przeciął Sycylijczykowi przewód tlenowy.

W wodzie zawirowały wielkie bąble powietrza. Sollazo gwałtownie się odwrócił, oczy miał wytrzeszczone. Chwycił się za gardło i zaczął płynąć w górę. Dillon złapał go za kostkę i pociągnął do dna. Sollazo zdumiewająco szybko przestał kopać nogami wodę i niebawem unosił się nieruchomo z rozpostartymi ramionami. Dillon ściągnął mu maskę i Sollazo gapił się prosto w wieczność. Irlandczyk chwycił go za ramię i ruszył na powierzchnię.

Wynurzające się na powierzchnię po prawej burcie ciało Sollaza pierwsza zauważyła Kathleen Ryan.

— Popatrzcie na to! — zawołała.

Do stojącej przy relingu dziewczyny zbliżyła się Hannah.

— Boże drogi!

Podbiegli do nich Barry i Mori. Sycylijczyk bez chwili wahania zdjął kurtkę i buty, przeskoczył przez poręcz i podpłynął do Sollaza. Objął go ramieniem, chwilę trwał w bezruchu, po czym odwrócił się i spojrzął do góry.

— Nie żyje.

Trzy metry od powierzchni morza Dillon puścił ciało, a sam przepłynął pod drabinką na lewą burtę. Tam się wynurzył, odpiął nadmuchiwaną kurtkę i butlę tlenową, puścił je swobodnie na wodę, ściągnął maskę i płetwy, po czym wyjrzał ostrożnie na pokład. Barry, Kathleen i Hannah stali skupieni przy relingu. Dotarło do niego wołanie Moriego.

— Rzućcie mi linę.

Dillon cichutko wspiął się na pokład i przemknął zejściówką do kabiny. Otworzył szafkę z napisem „Rakiety świetlne”, wyciągnął z niej walthera, po czym wrócił na pokład.

Stojący obok Hannah i Kathleen Barry przymocowywał kapok do liny ratowniczej. Kiedy wreszcie wrzucił go do wody, Dillon powiedział:

— Łatwo poszło, Jack.

Stał u wejścia do zejściówki. Groźna postać w czarnym skafandrze nurka i z waltherem w prawym ręku.

— Podejdz do mnie, Hannah.

Bernstein spełniła polecenie. Barry, wciąż przechylony przez reling, popatrzył przez ramię w stronę Dillona.

— Wciąż jesteś ósmym cudem świata, prawda, Sean?

— Nie rób tego, Jack — ostrzegł cicho Dillon.

Ale Barry, niepomny na jego słowa, wykonał półobrót, w dłoni trzymał browninga. Dillon dwukrotnie wystrzelił, trafiając go prosto w serce. Barry osunął się na reling, by po chwili wpaść do morza. Na pokładzie został tylko jego browning.

Dillon podbiegł do poręczy, w wyciągniętej dłoni trzymał pistolet. Mori, obejmując ramieniem Sollaza gapił się na niego z wody. Dillon dokładnie wymierzył i trafił go między oczy. Zapadła martwa cisza maćona jedynie krzykiem mew kołujących nad nimi we mgle. Sean usiadł, opierając się plecami o reling.

— Jezu, wszystko oddałbym za papierosa.

Hannah przyklęknęła przy nim na jednym kolanie.

— Nic ci się nie stało, Sean?

— Martin, pchnij w moją stronę walthera — rozległ się osobiwie martwy głos Kathleen.

Dillon, który położył broń obok siebie na deskach pokładu, podniósł głowę, a Hannah się odwróciła. Kathleen stała z browningiem Barry'ego. Na jej twarzy malowało się kompletne szaleństwo.

— Nie tu, Martin, przede wszystkim nie tu. Z mego stryja był kawał spryciarza. Stary chytrus wyznał mi całą prawdę dopiero po latach. Ono na mnie czeka, polecę za morze, aby je dostać. Już niebawem, Martin, niebawem.

— Wiem, Kate, wiem.

— Nie mogłabym cię skrzywdzić, Martinie, mój słodziutki Martinie, więc musisz zejść do kabiny. Oboje tam zejdziecie.

— Sądzę, że tak musimy zrobić — odezwała się Hannah.
— Będzie, jak chcesz, Kate — zgodził się Dillon i z uśmiechem kopnął w jej stronę walthera.

Pierwsza zejściówką ruszyła Hannah, za nią Dillon.

— Zamknijcie za sobą drzwi — poleciła Kathleen.

Kiedy zastosowali się do polecenia, w zejściówce rozległy się kroki dziewczyny, a następnie zgrzyt obracanego w zamku klucza. W dwie czy trzy minuty później dotarł do nich odgłos uruchamianego silnika zielonego pontonu.

— Co teraz? — zapytała Hannah.

— Proste, jej już tu nie ma — wyjaśnił Dillon. — Łodzie takie jak ta mają z przodu luk prowadzący na pokład. Za chwilę wrócę.

Przeszedł do kuchenki. Pokrywę wężu miał prosto nad głową. Stanął na taborecie, odpiął klamry mocujące i przecisnął się przez otwór. W chwilę później Hannah usłyszała jego kroki w zejściówce, a następnie otworzyły się drzwi. Wyszła za Dillonem na pokład. Natychmiast dostrzegli znikający we mgle zielony ponton. Dillon przeszedł do sterówki, uruchomił silnik i skierował łódź w stronę Scotstown.

— Zajmij się sterem, a ja pójdę się przebrać — powiedział do Hannah.

— Sean, ona zwariowała — oświadczyła po jego powrocie Bernstein. — Kompletnie straciła rozum.

— Zawsze była trochę stuknięta — zgodził się Dillon. — Zawsze było w niej coś bardzo nie tak, tylko nie wiedziałem co. Teraz uważa, że zabiła swego stryja.... O, czy ten płaszcz na wieszaku to prochowiec Barry'ego? Jeśli tak, odzyskamy dwa walthery, które mi zabrał. — Przeszukał kieszenie płaszcz. — No proszę, są, jeden dla ciebie, drugi dla mnie. Teraz zajmę się sterem.

— Co miała na myśli mówiąc, że nie ma tu złota?

— Pamiętasz, jak przeglądając kartoteki i wycinki prasowe, mówiłem ci, że coś mi w nich nie gra?

— Pamiętam.

— Dopiero teraz wszystko zrozumiałem. Michael Ryan

ukrył w Folly's End bliźniaczą ciężarówkę, którą Benny miał odstawić na szosę, żeby na jakiś czas zmylić pościg.

— I co z tego?

— W pierwszej chwili nie dotarło do mnie, że ani w policyjnych raportach, ani w wycinkach prasowych nie było wzmianki o tej ciężarówce. Dlaczego?

— Och, mój Boże! — wykrzyknęła Hannah.

— No właśnie. Po napadzie ja z Kathleen pojechaliśmy na „Irish Rose” motocyklem, a Michael zrabowanym samochodem. Spóźnił się. Twierdził, że miał kłopoty z automatycznym ssaniem.

— Co było nieprawdą?

— Oczywiście. Spóźnił się, ponieważ pojechał do Folly's End i zamienił ciężarówkę. Złoto wcale nie zatoneło wraz z barką, bo nigdy go na pokładzie nie było. Zamknięto je w skrytce na tyłach stodoły na farmie w Folly's End. Czyż to nie najlepszy figiel, jaki spłątano nam od lat?

OKRĘG JEZIOR

1995

15

Ponton z wyłączonym silnikiem wynurzył się z mgły i dobił do przystani. Nie trując się nawet jego cumowaniem, Kathleen wspięła się na nabrzeże i ruszyła do „The Loyalist”. Obeszła budynek i na tylnym dziedzińcu spostrzegła kombi Barry'ego. Spróbowała otworzyć samochód, ale drzwi były zamknięte. Przez chwilę stała w bezruchu, zastanawiając się, co ma dalej czynić. Musiała się koniecznie wydostać z tej osady, musiała coś zrobić. Ruszyła do tylnych drzwi pubu.

Kevin Stringer siedział przy stole w kuchni, pił herbatę i czytał gazetę z poprzedniego dnia. Popatrzył na Kathleen ze zdumieniem.

— Co ty tu robisz?

— Potrzebuję kluczyków do kombi. Gdzie je trzymasz?

— Tam gdzie zwykle. Na tablicy.

Kathleen zdjęła je z haczyka, wsunęła do kieszeni.

— Muszę zabrać też z sypialni torbę. Wezmę ją i znikam.

Opuściła kuchnię, zostawiając w niej oszołomionego Stringera. W pubie panowała cisza, pierwsi pracownicy pojawić się mieli dopiero za kilka godzin i z jakiegoś powodu Stringera ogarnął strach.

Usłyszał kroki na schodach, a po chwili w kuchni ponownie zjawiła się Kathleen. Pozbyła się dwurzędowej kurtki, w której była na łodzi, zamiast niej włożyła płaszcz przeciwdeszczowy i stary, czarny берет. Na lewym ramieniu niosła torbę.

— Gdzie jest Ladytown? — zapytała.
— Po drugiej stronie Newcastle, nad zatoką Dundrum.
Musisz cały czas jechać drogą wzdłuż wybrzeża.

— Czy to daleko?
— Jakies trzydzieści pięć kilometrów.
— Doskonale. Uciekam.

Wyraźnie straciła już swój amerykański akcent, przechodząc na ciężki belfastski, jakim mówiła w młodości.

Stringer wstał od stołu i zagroził jej drogę.

— Co tu się, do diabła, dzieje? Gdzie jest Jack?
— Nie żyje. Zabił go Martin, Martin Keogh. Zabił również Sollaza i tego drugiego faceta. Ciągłe jest z tamtą kobietą na łodzi. Zamknęłam ich w kabinie i wróciłam pontonem.

Mówiła płaskim, monotonnym głosem i Stringer poczuł dziwaczny zawrót głowy.

— Nie Keogh... Dillon. Chyba straciłaś rozum. Nie mogą być martwi. Nie wszyscy trzej.

— Nie żyją. A ja się stąd wynoszę.

— Nigdzie nie pójdziesz — powiedział, kładąc jej dłonie na ramionach.

Oczy w bladej twarzy Kathleen rozbłysły gniewem.

— Zabieraj łapska, brudny taigu! — wrzasnęła.

Z prawej kieszeni płaszcza wyrwała browninga, przyłożyła muszkę do boku właściciela pubu i pociągnęła za spust.

Stringer straszliwie jęknął i zatoczył się do tyłu.

— Niech cię szlag, co mi robisz?!

Wystrzeliła ponownie, a on upadł na stół i po chwili osunął się na podłogę.

— Idźże sobie z Panem Bogiem! — mruknęła. — Już niejednego z was sprzątnęłam.

Włożyła ponownie browninga do kieszeni i wyszła z domu. W kilka chwil później jechała ciągnącą się wzdłuż wybrzeża szosą.

Dillon wprowadził „Avengera” do przystani. Hannah, z cumą w rękach, zeskoczyła na nabrzeże. Sean wyłączył silnik, przeskoczył przez reling i przyciągnął łódź.

— W porządku, ruszajmy.

Chwytał Hannah za rękę i pobiegli przez zmywaną deszczem ulicę, okrążyli budynek pubu, po czym zatrzymali się na tylnym dziedzińcu. Hannah zerknęła ostrożnie przez okno do kuchni.

— Wygląda na to, że w środku nikogo nie ma — stwierdziła. — Zniknęło również kombi.

— W porządku, wchodzimy — warknął Dillon i wyciągnął walthera.

W kuchni unosiła się cierpka woń kordytu, a przy stole leżał na podłodze Stringer. Hannah przyklęknęła i zbadała puls. Uniosła twarz, potrząsnęła głową.

— Nie żyje — powiedziała i podniosła się. — Ta dziewczyna nie bierze jeńców. Ciekawe, dokąd pojechała.

— Posłuchaj, dała stryjowi tabletki, żeby wyrwać go z łap Barry'ego i spółki. Chciała dostarczyć go do szpitala, skąd mieli nadzieję uciec. Umarł, a ona wini siebie za jego śmierć. Ale ucieka i zamierza przejąć całe złoto.

— Do Okręgu Jezior w Anglii?

— A gdzie indziej? Ale jak się tam dostanie?

— Polecą do Manchesteru, potem wynajmie samochód.

— Równie dobrze może polecieć samolotem którejs z prywatnych linii lotniczych. Na tutejszym wybrzeżu zostało wiele starych pasów startowych pamiętających jeszcze czasy drugiej wojny światowej. Musimy tylko zerknąć do *Pooley's Flight Guide*.

— Tak, to możliwe — przyznała Hannah. — Ta dziwaczna uwaga, jaką zrobiła na łodzi. „Ono na mnie czeka...”

— „I przelecę przez morze, żeby je dostać” — uzupełnił Dillon.

— Sean, zdajesz sobie sprawę z tego, że ona jest szalona? Zauważyłeś, że kompletnie straciła amerykański akcent?

— Wiem. Teraz mówi z czystym akcentem belfastskim, tak jak mówiła będąc szesnastoletnią dziewczyną, którą uratowałem przed dziesięciu laty w ciemnej uliczce. Ale tamte czasy minęły bezpowrotnie. Przejdźmy do biura i zadzwońmy do Fergusona.

Obudzili Fergusona, który spał w swym mieszkaniu przy Cavendish Square. Brygadier usiadł w łóżku i spokojnie wysłuchał tego, co miała mu do przekazania Hannah.

— Podaj mi swój numer telefonu — zażądał, gdy skończyła mówić. — Daj mi kwadrans.

Odłożył słuchawkę, ponownie ją podniósł i wykręcił numer swego biura w Ministerstwie Obrony.

— Tu Ferguson — powiedział, kiedy zgłosił się oficer dyżurny. — Połącz mnie z informacją lotniczą.

Hannah natychmiast odebrała telefon.

— Brygadier?

— W odległości zaledwie szesnastu kilometrów od was, w Crossgar, na wybrzeżu Down, znajduje się baza ratownicza lotnictwa morskiego Królewskiej Marynarki Wojennej. Już na was czekają. Stamtąd helikopter Sea King przewiezie was do bazy ratowniczej lotnictwa morskiego w Whitefire na wybrzeżu w Okręgu Jezior, nie opodal St Bees.

— A co później?

— Wyjeżdżam natychmiast do bazy RAF-u w Farley. Będę tam za trzydzieści minut. Czekaj już na mnie gotowy do lotu learjet Ministerstwa Obrony. Twierdzą, że do Whitefire dotrzemy w czterdzieści pięć minut. Stamtąd śmigłowcem polecimy prosto do Folly's End.

— Wspaniale, nie mogę się już doczekać naszego spotkania.

— Tylko bez sentymentów proszę, pani główna inspektor — odparł Ferguson. — Po prostu ruszajcie dupska — dodał i odłożył słuchawkę.

— Co mówił? — zapytał Dillon.

Szybko przekazała mu instrukcje otrzymane od Fergusona.

— A co ze Stringerem? — zapytała po chwili.

— Niech znajdą go pracownicy pubu. Z RUC Ferguson załatwi wszystko później. A teraz w drogę, dziewczyno miła.

Otworzył drzwi i pierwszy wyszedł z pubu.

Kathleen bez trudu trafiła do Ladytown i zatrzymała samochód na głównym placu wioski. Wsiadła z auta i zaczepiła starszą kobietę, która wyszła na spacer z pudłem na smyczy.

— Może pani wie, czy gdzieś w okolicy znajduje się lotnisko?

— Naturalnie, moja droga. Lądowisko Tony'ego McGuire'a.

— Gdzie to jest?

— Około trzech kilometrów stąd — odparła kobieta. — Zaraz pani wyjaśnię.

I szczegółowo opisała drogę.

Było to ponure, chylące się ku ruinie i zaniedbane miejsce. Napis na bramie głosił „Taksówki powietrzne McGuire'a”, lecz farba na szyldzie mocno się łuszczyła, a wąska, dojazdowa asfaltówka pełna była dziur. Po tej wyboistej drodze Kathleen dotarła do budynku biurowego. Dostrzegła wieżę kontrolną i dwa hangary, ale ani jednego samolotu.

Zaparkowała przed budyneczkiem, który przypominał barak Nissen* z czasów drugiej wojny światowej. Drzwi baraku otworzyły się i w progu pojawił się niski, żyłasty mężczyzna w dżinsach i starej czarnej, skórzanej kurtce lotniczej. Siwe włosy miał króciutko obcięte, twarz czujną.

— Czym mogę służyć?

— Pan jest Tony McGuire?

— A kto go szuka?

— Bratanica Michaela Ryana, Kathleen.

— Od lat już nie miałem żadnych wieści o Michaelu — odrzekł McGuire. — Myślałem, że nie żyje.

— Żyje i ma się świetnie. Czekam na mnie w Okręgu Jezior w Anglii. Powiedział mi, że jeśli będę musiała natychmiast tam przyjechać, powinnam zgłosić się do Tony'ego McGuire'a.

* Barak z blachy falistej o betonowej podłodze przeznaczony na kwatery dla żołnierzy.

— Naprawdę tak powiedział?

— O, tak, powiedział również, że w dawnych czasach bardzo często korzystał z pańskich usług.

Mężczyzna stał w milczeniu i spoglądał na Kathleen spod zmarszczonych brwi.

— Wejźmy do środka — powiedział w końcu.

W biurze był piecyk, od którego rura biegła prosto do sufitu. W jednym z kątów stało łóżko polowe, stół z mapami i zawalone papierami biurko. McGuire zapalił papierosa.

— Zatem czego dokładnie pani chce?

— Dostać się szybko do Okręgu Jezior.

— Kiedy zamierza tam pani lecieć?

— Zaraz.

Popatrzył na nią wyraźnie zaskoczony.

— To dość niecodzienne zlecenie.

— Ma pan samolot, prawda?

Po chwili wahania skinął głową.

— W tej chwili tylko jeden. Bank, na poczet długów, zarekwirował mi najlepszą maszynę, conquestę, ale została mi cessa 310.

— A więc możemy lecieć?

— Pokażę pani.

Wyszedł z biura i zaprowadził Kathleen do jednego z hangarów. Pchnął zardzewiałe wrota, za którymi stał niewielki, dwusilnikowy samolot.

— Ile czasu potrzebuje pan, żeby dolecieć do Okręgu Jezior?

— Około godziny.

— Świetnie. Lecimy.

— Zaraz, zaraz, nie tak szybko — odparł. — Przede wszystkim muszę zatankować paliwo. Mogę zrobić to tylko ręcznie, więc zajmie mi to trochę czasu. — Odwrócił się i popatrzył w niebo. — Poza tym pogoda jest niepewna. Powinniśmy poczekać i zobaczyć, czy się nie przejaśni. — Znów spojrzął na Kathleen. — Wtedy zdecydujemy, jak mamy lecieć.

— Jak najbliższe miejsca zwanego Marsh End. Leży na południe od Ravenglass.

— W porządku, wróćmy do biura, a ja sprawdzę wszystko w *Polley's Flight Guide*. Rejestrują w nim każde lądowisko i pas startowy w Zjednoczonym Królestwie.

Dłuższą chwilę kartkował przewodnik, po czym go odłożył.

— Przypominam sobie pewne miejsce. W Laldale. Podczas drugiej wojny światowej lotnictwo RAF-u wykorzystywało to pole do awaryjnych lądowań. Byłem tam raz przed piętnastu laty. Pamiętam jedynie rozpadające się baraki i pas startowy.

— Możemy tam polecieć?

— Cóż, najpierw należałoby się zgłosić na jakimś lotnisku ze służbą celną i ochroną.

— Trzy tysiące dolarów i lecimy prosto do celu — odparła hardo Kathleen.

Odsłoniła podwójne dno torby i wyjęła na światło dzienne kilkanaście paczek amerykańskich dolarów, których suma znacznie przewyższała zaproponowaną kwotę. McGuire'owi na ten widok zaschło w gardle. Przełknął ślinę i z trudem wydobywając z siebie głos, powiedział:

— Polityka? Wiem, że stryj pani i jego ludzie bawili się w politykę. Ale ja nie chcę mieć kłopotów. Chodzi mi o to, że tamte czasy dawno minęły i...

— Pięć tysięcy — ucięła Kathleen, pokazując mu pieniądze. — Mówił pan, że ile czasu zajmie droga?

— Godzinę.

— A zatem godzinę tam i godzinę z powrotem. Powiedziałabym, że pięć tysięcy dolarów to bardzo dobra taryfa. Niech pan tankuje samolot, a ja w tym czasie przeliczę pieniądze.

Usiadła za biurkiem i zaczęła liczyć banknoty. McGuire spoglądał na nią jak cielec w malowane wrota i oblizywał usta.

— W porządku, zostawiam panią samą. Idę napełnić baki.

Prawie pobiegł po asfaltowym, pełnym dziur pasie startowym do hangaru. Ale przed oczyma ciągle majaczył mu obraz wyciąganych z torby paczek banknotów.

W tym samym czasie helikopter Sea King wylądował w bazie lotniczej ratownictwa morskiego w Whitefire. Rotory znieruchomiały i z maszyny wysiadł Dillon i Hannah Bernstein. Natychmiast podjechał do nich range rover, z którego wysiadł komandor porucznik Królewskiej Marynarki Wojennej.

— Nazywam się Murray. Państwo są ludźmi brygadiera Fergusona?

— Zgadza się — powiedziała Hannah.

— Będzie tu za dziesięć minut. Zapraszam do mesy na kawę.

Dillon i Hannah bez słowa zajęli miejsca w range roverze. Samochód natychmiast ruszył pasem startowym.

Gdy Tony McGuire wrócił do biura, Kathleen siedziała przy piecu.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

Dziewczyna skinęła głową.

— Pańskie pięć tysięcy dolarów czeka na stole — powiedziała i lotnik zgarnął banknoty obiema rękami. — Proszę przeliczyć.

— Do licha, wierzę pani.

Podszedł do stojącej w kącie staroświeckiej kasy pancерnej, otworzył ją i schował pieniądze.

— Możemy już lecieć? — zapytała.

— Dlaczego nie?

Odwrócił się i ruszył przodem.

— Czy nikt nas po drodze nie będzie ścigał? — zapytała Kathleen, kiedy znaleźli się przy hangarze.

— Jasne, że nie — odparł McGuire. — Nie strzeżonej przestrzeni powietrznej jest więcej, niż się ludziom wydaje, a jeśli do Okręgu Jezior wlecimy na pułapie niższym niż sto osiemdziesiąt metrów, nie wykryje nas żaden radar.

— Rozumiem.

Weszli do hangaru. Kathleen wspięła się na skrzydło, a następnie zajęła miejsce w kabinie, dokładnie za pilotem. Po niej wsunął się McGuire i zatrzasnął drzwiczki. Uruchoił jeden silnik, następnie drugi.

— Wszystko w porządku? — zapytał, a gdy Kathleen skinęła głową, dodał: — No to w drogę.

Wykołował z hangaru i samolot, podskakując na nierównościach asfaltu, ruszył na koniec pasa, gdzie pilot ustawił maszynę pod wiatr. Cessna nabrała rozpędu, a gdy McGuire zwiększył obroty silnika, samolot unióś się nad ziemię i poleciał prosto w mgłę i wicher.

W mesie oficerskiej na lotnisku w Whitefire Dillon i Hannah pili właśnie herbatę, kiedy w progu w towarzystwie porucznika komandora Murraya stanął Ferguson.

— Są tutaj, brygadierze — powiedział Murray.

Ferguson przesłał mu szeroki uśmiech.

— Komandorze, pragnę zamienić z mymi ludźmi kilka słów. Dziesięć minut? Później polecimy sea kingiem do celu, który pokazałem panu na mapie.

— Jak pan sobie życzy, brygadierze.

Murray zasalutował i odszedł. Ferguson odwrócił się do Dillona i Hannah. Na jego twarzy gościł pogodny uśmiech.

— Czy to herbata? Też chętnie bym się napił, pani główna inspektor.

— Oczywiście, zaraz podam.

Hannah znalazła czystą filiżankę i napełniła ją herbatą.

— Dobrze się bawiłeś, Dillon, prawda?

— Cóż, rzekłbym, iż było to trochę skomplikowane.

Ferguson odebrał od Bernstein herbatę.

— I jak zwykle twój normalny współczynnik zabijalności? Barry, Sollazo i Mori. Dillon, naprawdę przypominasz mi krawca z bajki Braci Grimm, który chlubił się, że zabił trzy jednym ciosem. Z tym że w jego przypadku okazało się, iż są to tylko muchy siedzące na kromce chleba z dżemem.

— Jezu, brygadierze, czyżbym znów pana rozczarował?

- Nie bądź niemądry, Dillon. Co z dziewczyną?
- Kompletnie jej odbiło — wtrąciła się do rozmowy Hannah Bernstein. — Już dawniej była szalona, ale ta historia ze śmiercią jej stryja zupełnie zmała jej rozum.
- Zatem sądzicie, że pojedzie do Folly's End?
- Poza tą farmą nie ma dokąd iść — odparł Dillon.
- Dobrze, spokojnie — Ferguson odstawił filiżankę na stół. — Polecimy tam i wszystko sobie sprawdzimy na miejscu.

Mary Power karmiła kury na podwórku, a koło jej nóg kręcił się czarno-biały owczarek. Było późne popołudnie i niebo na horyzoncie ciemniało. Uporała się z ptactwem i ruszyła na poszukiwania Benny'ego. Zastała go w stodole, gdzie przy stole o blacie ustawionym na koziołkach czyścił lufy strzelby.

— Tu jesteś. Czy doglądałeś już owiec na północnej łące?

Skwapliwie pokiwał głową.

— Zegnałem je z pastwiska i umieściłem w zagrodzie — powiedział, pedantycznie cedząc słowa.

— Jesteś dobrym chłopcem, Benny.

Sięgnął po pudełko z nabojami, wyjął dwa pociski, wsunął je do luf i złożył strzelbę. Przez chwilę celował dokładnie w Mary i kobieta pacnęła go dłonią w bok głowy, po czym zdecydowanie odsunęła lufę w bok.

— Już ci mówiłam. Nigdy w nikogo nie celuj. Karabiny są złe.

— Ależ w każdej chwili może znów pojawić się lis — odparł powoli Benny. — Ostatnim razem zabił dwanaście kur.

— W porządku, zabijesz łachmytę, jak jeszcze raz się tu pojawi, lecz nie zastrzel przy tym mnie — odparła. — A teraz zrób sobie przerwę. Przygotowałam ci kubek herbaty i przepyszne ciasto owocowe.

Benny odłożył dubeltówkę na stół i ruszył za Mary Power.

Cessna 310 nadleciała znad morza na wysokości stu dwudziestu metrów, przechyliła się na prawe skrzydło, w kilka chwil później dotknęła kołami pasa startowego w Laldale i podkołowała na sam jego koniec. McGuire ustawił maszynę pod wiatr i wyłączył silniki. Kathleen sięgnęła do klamki, ale ubiegł ją pilot, uprzejmie otwierając przed nią drzwi.

— Proszę, niech pani wysiada pierwsza.

Wyszła na skrzydło, a następnie po niewielkiej drabince pasażerskiej opuściła się na lądowisko. Po chwili obok niej stanął McGuire. Góry zasnuwała mgła, deszcz przeszedł w uporczywą mżawkę.

— Wie pani, dokąd iść? — zapytał pilot.

— Oczywiście. Pójdę na piechotę.

— Jest pani pewna, że wszystko w porządku?

— To niecałe sześć kilometrów.

— Ale ja myślę o pieniądzach, które ma pani w torbie. A jeśli wydarzy się coś niespodziewanego?

Mówiąc to, zerwał jej torbę z ramienia.

Oparł się o bok samolotu, grzebał chwilę na dnie torby, aż w końcu natrafił na pliki pieniędzy.

— Jezu Chryste! — wykrzyknął.

— Skurwysyn! — wrzasnęła Kathleen. — Wszyscy jesteście skurwysynami!

Wyrwała z kieszeni browninga i dwukrotnie strzeliła pilotowi w serce.

McGuire upadł na skrzydło samolotu, po czym osunął się na ziemię. Kathleen wyjęła mu z rąk torbę, przerzuciła ją przez ramię i odeszła.

W Folly's End Benny wrzucał właśnie widłami siano na strych w stodole, kiedy pojawiła się Mary Power.

— Przygotowałam gulasz z jagnięcia. Czy chcesz do niego kluski?

Benny skwapliwie pokiwał głową.

— Bardzo proszę.

W tej chwili powietrze wypełnił hałas, nieprawdopodobny ryk silników. Przerażona Mary odwróciła się na pięcie

i wybiegła ze stodoły. Benny ruszył za nią. Na przylegającej do farmy łące lądował helikopter Sea King. Rotory znieruchomiały i z maszyny wysiedli Charles Ferguson, Hannah Bernstein oraz Dillon.

— Martin? Martin Keogh? To pan? — wykrzyknęła zdumiona Mary na widok biegnącego w jej stronę Seana.

— We własnej osobie, Mary. Czy była tu Kathleen? Kathleen Ryan?

Starsza kobieta popatrzyła na niego ze zdumieniem.

— Nie. A powinna?

Dillon spojrział na stojącego przy helikopterze Fergusona i pokręcił głową. Brygadier pochylił się w stronę kabiny i powiedział coś do pilota. Następnie odszedł od maszyny, która uniosła się w powietrze i odleciała.

Ferguson zbliżył się do stojącej w drzwiach stodoły obok Benny'ego Mary Power i uśmiechnął się.

— Kim pan jest? — zapytała kobieta. — Co się dzieje?

— Jestem brygadier Charles Ferguson, pani Power. Czy ciężarówka ciągle jeszcze jest w stodole?

Mary śmiertelnie pobladła.

— Ciężarówka? — szepnęła.

— Tak, ciężarówka. Czy ciągle jeszcze jest w stodole? — powtórzył cierpliwie brygadier.

— O, tak — ucieszył się Benny. — Ciężarówka czeka w stodole na powrót stryja Michaela. Benny pokaże.

Odwrócił się i wbiegł do stodoły.

Rozpadało się na dobre i Kathleen Ryan brnęła wzdłuż drogi Eskdale; dziwna, samotna i żałosna figurka w prochowcu i berecie, z rękami głęboko wciśniętymi w kieszenie płaszcza. Dotarła do bramy z napisem „Folly's End”, zatrzymała się na chwilę, po czym skręciła w kierunku farmy.

Choć panował już półmrok i wielkimi krokami nadchodziła noc, w domu nie paliło się żadne światło. Kathleen stanęła na podwórku i zaczęła przypominać sobie, jak to miejsce wyglądało przed dziesięcioma laty. Pomyślała o stryju i Martinie, uniosła dłoń do twarzy. Czy działo się

to wtedy, czy teraz? W tej samej chwili dostrzegła w drzwiach stodoły błysk światła.

Mary Power i Benny siedzieli przy ustawionym na koziołkach stole. Benny czyścił stare siodło kucyka, a Mary przyglądała się, jak pracuje. Skrzypnęły drzwi i niewielki przeciąg poruszył źdźbłami siana. Mary uniosła głowę i ujrzała stojącą w progu Kathleen.

— A więc wróciłaś, Kathleen Ryan?

— Musiałam — odparła dziewczyna. — Tak było ustalone na samym początku. Macie jeszcze tę ciężarówkę?

— O, tak, jest tu cały czas. Twój stryj zmienił plan. Poleciał Benny'emu nie zostawiać na drodze drugiej ciężarówki. Po napadzie przyjechał tutaj i podmienił samochody.

— Wiem, mówił mi o tym. Obawiał się, że załoga „Irish Rose” spróbuje odebrać nam złoto. Co więcej, spodziewał się licznych problemów ze strony rady wojskowej w Ulsterze. Istniał pewien człowiek nazwiskiem Reid... — Kathleen wzruszyła ramionami, wyglądała na bardzo zmęczoną. — Sprowadziłby nam na głowy masę kłopotów. Mogę zobaczyć ciężarówkę?

— Benny pokaże! — krzyknął chłopak, zerwał się od stołu i ruszył w głąb stodoły.

Odsunął olbrzymie bele siana, jakby nic nie ważyły, i pchnął fałszywą ścianę. Kathleen ruszyła w tamtą stronę, zdjęła rygle, otworzyła drzwi i miała przed oczyma skrzynie ze złotem.

— Jeśli się nie mylę, panna Ryan — dobiegł ją głos Fergusona.

Odwróciła się gwałtownie i ujrzała brygadiera, Hannah Bernstein i Dillona. Gapiła się na nich tępo i wtedy drgnęło coś w jej pamięci.

— Martin, to ty?

— Zawsze ten sam, Kate.

— Przybyłam tu, Martin, przyszłam po złoto zgodnie z wolą stryja Michaela. Pobjemy IRA w jej własnej grze.

— To już koniec, Kate — odparł. — Teraz mamy pokój. Musimy dać mu szansę.

— Pokój? — Zmarszczyła brwi, jakby pomysł ten kompletnie nie mieścił się jej w głowie. Po chwili rozbłysły jej oczy. — Pokój z taigami? — Była niczym anioł zemsty. Wyciągnęła browninga z kieszeni prochowca. — Martin, uratowałeś mnie wtedy w ciemnej alei przed tymi skurwysynami, pamiętasz?

— Oczywiście, że pamiętam.

— Ale nie było cię innym razem, kiedy miałam piętnaście lat, a tych skurwysynów było czterech. — Sprawiała takie wrażenie, jakby dławily ją własne słowa. — Odrażające, cuchnące taigi. Niech ich piekło pochłonie za to, co mi zrobili. A stryj Michael wszczął za nimi pościg. Każdego z nich osobiście zabił. — Browning zadrżał jej w dłoni. — Musimy zerwać się do walki. Musimy stanąć twarzą w twarz z tymi katolickimi skurwielami.

Dopiero w tej chwili Dillon pojął, jak bardzo jest szalona, lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, wtrącił się Benny. Zrobił kilka chaotycznych kroków do przodu, wymachiwał ramionami jak wiatrak, minę miał nieszczęśliwą.

— Nie, Kathleen, karabiny są złe. Nie wolno celować. Położył dłonie na ramionach dziewczyny.

— Wynoś się, Benny! — wrzasnęła, zacisnęła konwulsyjnie palec na spuście browninga i strzeliła w Benny'ego. Ten krzyknął i przewrócił się na plecy.

— Nie! — zaskowyczała Mary Power.

Porwała ze stołu dubeltówkę, odciągnęła kurki i wypaliła z obu luf. Kathleen uniosło w powietrze, po czym jej ciało zważyło się na plecy na bele siana, browning wypadł z dłoni. Dillon doskoczył do niej jednym susem i przyklęknął na kolanie. Chwyciła go za rękę.

— Martin, to ty?

Zadrżała, po czym jej ciało zwiotczało i znieruchomiało.

Obok trzymającego wciąż martwą dłoń Kathleen Dillona przykucnęła Hannah.

— Ona nie żyje, Sean.

— Tak, wiem.

Benny w jakiś niewiarygodny sposób dźwignął się z klepiska. Przyciskał dłoń do boku, spomiędzy palców sączyła

mu się krew. Był kompletnie osłupiały i oszołomiony. Hannah szybko obejrzała jego ranę.

— Dostał prosto w bok, ale to rana wylotowa. Będzie żył.

Ferguson delikatnie wyjął strzelbę z rąk Mary Power.

— Boże drogi, co ja zrobiłam? — jęknęła kobieta.

— To nie pani wina, moja droga — odrzekł Ferguson. — Nie musi się pani niczym martwić. Zajmę się tym osobiście. — Odwrócił się do Hannah. — Byłbym zobowiązany, pani główna inspektor, gdyby zaprowadziła ją pani do domu. I Benny'ego. Proszę to zrobić.

Hannah objęła Mary Power i ruszyła z nią do wyjścia. Po drodze wolną ręką chwyciła dłoń Benny'ego. Dillon nie odrywał wzroku od Kathleen Ryan.

— Ty nieszczęsna, niemądra kurko. Zawsze wiedziałem, że jest coś więcej.

— Sea kingowi dałem godzinę — dotarł do niego głos Fergusona. — Niebawem przyleci. Z tobą wszystko w porządku?

— Jasne, brygadierze. — Dillon znalazł w kieszeni papierosa i zapalił go. — Zgodzi się pan ze mną, że to koniec cudownego dnia, prawda?

Odwrócił się na pięcie i opuścił stodołę.